tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 3 (1358)
12-18.01.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Krzysztof Wasilewski
Imperialna twarz Ameryki

Afera karabinowa
Jak Amerykanie wsadzali Polaków do więzienia

Prof. Stanisław Obirek dla **ZDANIA**
Pontyfikat Jana Pawła II zgubił Kościół w Polsce

Wojciech Kuczok
Najlepsi bramkarze świata

POLITYKA PAŁY

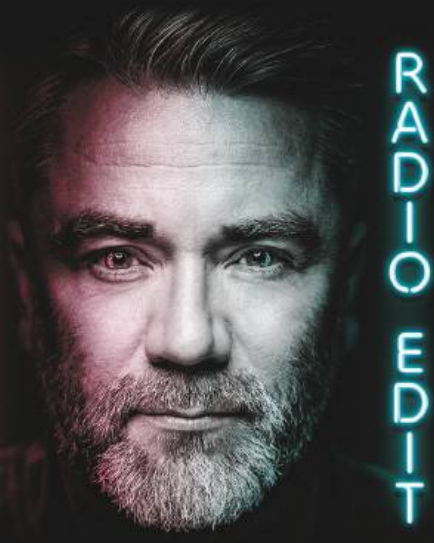
WENEZUELA 2026
BOLIWIA 2019
SYRIA 2014
LIBIA 2011
IRAK 2003
AFGANISTAN 2001
JUGOSŁAWIA 1995
SOMALIA 1992
IRAK 1991
PANAMA 1989
GRENADA 1983
LIBAN 1982
SALWADOR 1980-1992
CHILE 1973
DOMINIKANA 1965
BRAZYLIA 1964
EKWADOR 1963
KUBA 1961
LIBAN 1958
WIETNAM 1955
GWATEMALA 1954
IRAN 1953
KOREA 1950
DOMINIKANA 1916-1924
HAITI 1915-1934
NIKARAGUA 1912-1933
HONDURAS 1903-1925
PANAMA 1903-1914



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 03
9 771509 311607

eprasa.pl/4360eb2774

KUBA BADACH

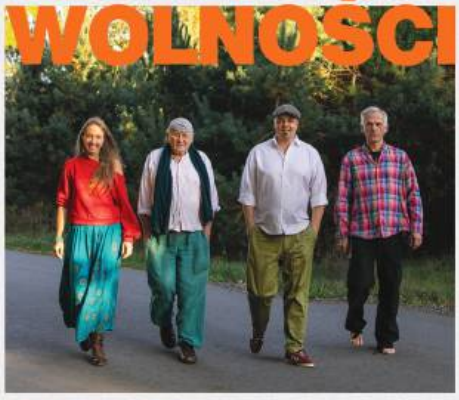


RADIO EDIT

trasa koncertowa

18.02	WROCŁAW	*NARODOWE FORUM MUZYKI*
3.03	SZCZECIN	*FILHARMONIA IM. MIECZYSŁAWA KARŁOWICZA*
10.03	KRAKÓW	*ICE*
11.03	BIELSKO-BIAŁA	*CAVATINA HALL*
17.03	RZESZÓW	*FILHARMONIA PODKARPACKA*
18.03	LUBLIN	*CENTRUM SPOTKANIA KULTUR*
22.03	ŁÓDŹ	*WYTWÓRNIA*
26.03	TORUŃ	*CKK JORDANKI*
27.03	POZNAŃ	*SALA ZIEMII*
28.03	WARSZAWA	*STODOŁA*
29.03	GDAŃSK	*STARY MANEŻ*

SALON WOLNOŚCI



KLEYFF I WIELKIE NIE WIEM ORAZ PRZYJACIELE

3 MARCA KLUB STODOŁA



WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET

● 24.03.2026

KLUB STODOŁA WARSZAWA



BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl 4360eb2774



Robert Walenciak

MÓJ PRZEGLĄD

Nieobliczalny lider

USA z racji swojego potencjału są niekwestionowanym liderem świata zachodniego. Kłopot w tym, że ten lider zaczyna postępować w sposób nieobliczalny, łamiąc przyjęte zobowiązania i zasady. Europa zaczyna pytać: czy Ameryka nam zagraża? Czy możemy na niej polegać?

Zatrzymanie Nicolása Madura otworzyło nam rok 2026. Nie, nie zamierzam płakać po Madurze, bo łamał demokrację, wsadzał przeciwników politycznych do więzienia, nie uznawał wyników wyborów. Ale, jak widzimy, nie w imię obrony demokracji Amerykanie go porwali i przewieźli do Nowego Jorku. Reżim rządzący w Wenezueli został na miejscu, w zamian ma oddać amerykańskim koncernom kontrolę nad złożami ropy i pewnie innymi surowcami i słuchać amerykańskiego ambasadora. A czy będzie rządził twardo, czy łagodnie – to już nikogo nie obchodzi. Oto wróciliśmy do pierwszych lat XX w., do doktryny Monroego i do zasady: to nic, że łajdak, ważne, że nasz łajdak. Że na nim zarabiamy.

Ameryka nie jest już busolą demokratycznego, liberalnego świata, ceniącego prawa człowieka i wolną gospodarkę. Ma twarz Donalda Trumpa, który podśmiewa się z demokratycznych przywódców, wdzięczy do autokratów i patrzy na świat jak na magazyn z rozmaitymi dobrami – z ropą, surowcami strategicznymi, zasobami przemysłowymi. I wszystko to chce zagarnąć. Łakome dziecko w sklepie z cukierkami.

Wrogiem dla niego stała się Europa. Chce jej odebrać Grenlandię, już to zapowiedział. Czekamy więc na kolejną inwazję. Że będzie to oznaczało koniec NATO? Kogo to w administracji Trumpa interesuje? Rok temu, gdy przejmował władzę, zaczął od ataków na Europę. Od ceł, od żądań gospodarczego podporządkowania i inwestowania w amerykański sprzęt wojenny. De facto żądał haraczu. Jednocześnie groził wycofaniem wojsk z Europy. Spokojnie – to były niepoważne groźby, wiadomo bowiem, że ich nie wycofa, gdyż są gwarancją specjalnego traktowania Ameryki przez europejskich przywódców. W świecie, który buduje Trump, najważniejsze są siła i interesy, miliardy, które można zarobić. Wojsko jest więc jak policjant – pilnuje, by ład służył Ameryce, interesom jej firm. Dlatego Trump wycofuje się z organizacji międzynarodowych, podważa dotychczasowe ustalenia i tak chętnie prowadzi z Rosją rozmowy o wspólnych interesach. I wspólnych zyskach. Do czego te rozmowy doprowadzą? Do jakich związków Rosji i USA? To pytanie do wszystkich, którzy nosili czerwone czapeczki z napisem Trump.

Ten nowy amerykański ład ma ograniczenia – silnych, takich jak Chiny, Rosja, Indie, nie dotyczy. Nie jest to więc żaden ład, ale budowa systemu wpływów, zawsze płynnego, de facto systemu kolonialnego. Czy Trumpowi uda się go zbudować? Jak bardzo ucierpi na tym Europa? Jakie zagrożenia to handlowanie wpływami stwarza dla Polski? Czy możemy czuć się bezpiecznie? To pytania zrodzone w roku poprzednim, ale dziś, w roku 2026, są jeszcze bardziej aktualne.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 4360eb2774

W NUMERZE

ZAGRANICA
8 Imperialna twarz Ameryki
Powrót do dyplomacji grubej pałki
13 Szykuje się historyczny proces
Korespondencja z USA
32 Zabójcze selfie
Popisy bezmyślności z telefonem w ręku
34 Republika ubóstwa
Korespondencja z Francji

KRAJ
17 Afera karabinowa
Amerykańska prowokacja wobec Polaków
20 Przyjaciółka warta miliony
Małgorzata Raczyńska
– dużo zmyśleń, duża kasa
24 Zbawienie jest tylko poza Kościołem
– rozmowa ze Stanisławem Obirkiem
42 Zima z białą laską
Dla niewidomych śnieg to zagrożenie

OPINIE
28 Paweł Siergiejczyk
Od Paczkowskiego do Nawrockiego

MEDIA
37 TVP a oczekiwania lojalnego widza 60+
Jaka oferta dla największej grupy widzów?

SPORT
40 Jak żagle na wiatrach
Najlepsi bramkarze świata

KULTURA
44 Andrzej Dudziński
Przypadek artysty niemożliwego
46 Dylematy harnasia
Na planie serialu „Janosik”
49 Qulturalia
66 Świat wizji Zdzisława Beksińskiego

ZWIERZĘTA
50 Zaczęło się od jeży
– rozmowa z Przemysławem Baranem

PSYCHOLOGIA
54 Rozbroić wstyd
– rozmowa
z dr Angeliką Kleszczewską-Albińską

OBSERWACJE
57 Bułgaria dla narciarzy
Kraj nie tylko na lato
60 Czy pismo zdradza nasz charakter
Pułapki psychologicznej analizy

FELIETONY I KOMENTARZE
3 Robert Walenciak
Nieobliczalny lider
19 Stanisław Filipowicz
Czy leci z nami pilot?
23 Andrzej Szahaj
Amerykańska lekcja
31 Roman Kurkiewicz
Powojnia już nie ma, podobnie z PIP
43 Tomasz Jastrun
Coś się kończy
53 Wojciech Kuczok
Pielgrzym hultaj



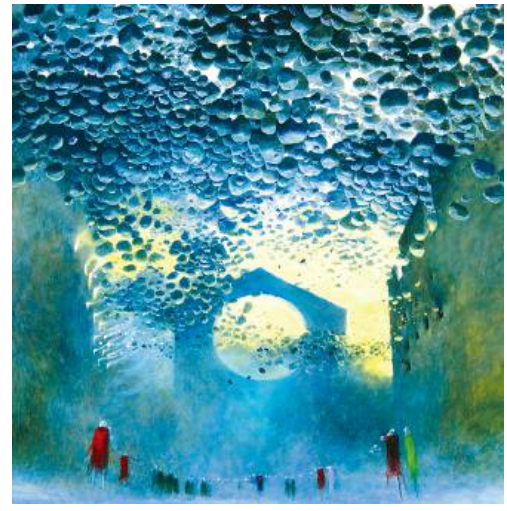
32
ZAGRANICA

ZABÓJCZE SELFIE
Popisy bezmyślności z telefonem w ręku

40
SPORT



JAK ŻAGLE NA WIATRACH
Najlepsi bramkarze świata



66
GALERIA

ŚWIAT WIZJI ZDZISŁAWA BEKSIŃSKIEGO

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. AP/EAST NEWS



eprasa.pl 4360eb2774



Nie oddajmy polityki radykałom

Po lekturze wywiadu z panem prezydentem Kwaśniewskim doszedłem do wniosku, że bez młodych kadr lewica w Polsce nie ma przyszłości. Obserwując moich młodych znajomych, chcących wprowadzić nową jakość w strukturach lewicy, widzę, że są oni blokowani i często niedopuszczani do głosu przez starszych towarzyszy. Obecna elita lewicy myśli nie o przyszłości Polski, lecz w większości o teraźniejszości i własnym interesie. Niestety, takie podejście do młodych zniechęca ich do aktywnej działalności. Dlatego przyszłość lewicy w Polsce widzę w czarnych barwach. A w tym ciekawym wywiadzie brakuje mi stosunku pana prezydenta do wojny w Ukrainie i do chorej polskiej rusofobii.

Witold Misztela

•

Krzyczenie o przynależności do PZPR rzeczywiście nie ma sensu, nie te czasy, ale wytykanie wad „ludziom Solidarności" nie ma sensu podwójnie. Przede wszystkim dlatego, że ci, którzy są bezczelni i pełni wad, to ludzie, którzy już dawno zdradzili ideały Solidarności, choć się pod nie podpinają. W skali milionów członków związku tych parudziesięciu polityków obecnej prawicy to nic. Takie uogólnianie przez pana prezydenta jest i szkodliwe, i wątpliwe, i bardzo smutne. I całkowicie nieprawdziwe. Nie chcę pisać o bezczelnej niesprawiedliwości, bo pana szanuję. Ale takimi opowieściami nie głosi pan prawdy, a sam dokłada do pieca polaryzacji, która idee Solidarności wpycha w łapy prawicy, co jest jeszcze jednym dramatem, wszak i Sierpień '80, i cała Solidarność to jednak idee bardziej ponadpartyjne. Zgadzam się: nie możemy oddawać polityki radykałom, ale wpychanie pamięci Solidarności w łapy radykałów jest nie tylko przeciwko pamięci, ale i przeciwko Polsce.

Krzysztof Myszak Mączkowski

•

Ma pan prezydent wady, jak każdy, ale szacunek dla pana. Najlepsze lata dla Polski to te, gdy był pan prezydentem. Powiem też, że chyba najlepsze lata dla Polski to te, gdy rządziła lub współrządziła szeroko pojęta lewica. Lewica ma w sobie jakoś mniej butności i kłótliwości.

Mateusz Michalak

Orędzie wojenne



Red. Jerzy Domański pisze w felietonie: „Budżet Kancelarii Prezydenta RP już jest rekordowy. I bez sensu". I postuluje: „Warto pytać pałacowych urzędników, za co im płacimy". A ja chciałbym zadać pytanie, kto decyduje o ilości pieniędzy przeznaczanych na budżet Kancelarii Prezydenta RP i na inne podobne wydatki.

Józef Brzozowski



Trump jest wynaturzeniem

USA muszą dominować, trzeba wziąć za pysk wszystkich chinoli, rusów, Madurów i innych – co nie, Donald? Nawet jak zginie 150 mln Amerykanów, to po wojnie pozostanie drugie 150 mln, co wystarczy, by opanować świat. Polska będzie walczyć u boku USA. PiS już złożyło śluby wierności Trumpowi.

Paweł Stawicki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski



Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy 25 stycznia zagra już po raz 34.
Z tej okazji Poczta Polska i Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych wydały znaczek, który będzie można kupić na specjalnych aukcjach.
W tym roku celem zbiórki jest wsparcie diagnostyki i leczenia chorób przewodu pokarmowego u dzieci.

eprasa.pl 4360eb2774

Już 2,5 mln osób (6,6% społeczeństwa) żyje w skrajnym ubóstwie. Są wśród nich osoby samotne, które mają miesięcznie na utrzymanie mniej niż 900 zł, a czteroosobowa rodzina mniej niż 3140 zł.

•

Ponad 60% badanych uważa, że nadanie Państwowej Inspekcji Pracy nowych uprawnień do przekształcania umów cywilnoprawnych w stosunek pracy to dobre rozwiązanie **(„Rzeczpospolita")**.

•

Od ponad 20 lat, czyli także za rządów PiS, zasiłki rodzinne nie były waloryzowane i obecnie wynoszą od 95 do 135 zł miesięcznie na dziecko, w zależności od jego wieku.

•

51% imigrantów z Ukrainy, którzy znaleźli się w Polsce przed 2022 r., i **24% uchodźców chce zostać tu na stałe.** 37% imigrantów przedwojennych i 56% uchodźców nie ma jeszcze sprecyzowanych planów **(raport NBP)**.

•

50,9 mln biletów za ok. 1,16 mld zł sprzedały w ubiegłym roku kina w Polsce. Najpopularniejsze filmy kinowe to **„Minecraft: Film"** (2,85 mln widzów), **„Dom dobry"** (2,38 mln) i **„Zwierzogród 2"** (2,27 mln).

•

Zaczął się proces polityka PiS Ryszarda Czarneckiego. Zarzuca mu się podawanie w Parlamencie Europejskim nieprawdy we wnioskach o zwrot kosztów podróży w latach 2009-2013. Fałszywe miejsca zamieszkania i nieistniejące samochody przysporzyły mu z tzw. kilometrówek 850 tys. zł. Czarnecki ma też zarzuty korupcyjne w aferze Collegium Humanum.

•

Katarzyna G., która ma na koncie 10 tys. hejterskich wpisów w mediach społecznościowych, szkalujących zamordowaną przez jej syna dziewczynę i rodzinę ofiary, została skazana przez sędzię Emilię Dolińską z Sądu Okręgowego w Płocku na 150 tys. zł grzywny i trzykrotne przeprosiny na pierwszych stronach kilku gazet.

•

Według Amnesty International w 2025 r. **w Arabii Saudyjskiej wykonano wyroki śmierci na 356 osobach.** W większości były to kary za przestępstwa narkotykowe i dotyczyły cudzoziemców, głównie z Egiptu, Somalii i Etiopii. Skazani są rozstrzeliwani, ścinani mieczem, a nawet ukrzyżowywani.

•

367 tys. osób miało w Polsce w 2024 r. **pozwolenie na broń,** w tym 140 tys. myśliwych, 94 tys. kolekcjonerów i ok. 44 tys. do ochrony osobistej.

•

Tylko sześć gmin w Polsce zdołało przyjąć plany ogólne, a i tak w czterech zostały uchylone przez wojewodę.

•

Z bezrobociem na poziomie 3,2% jesteśmy drugim po Malcie (3,1%) krajem z najniższym bezrobociem w Unii Europejskiej.

•

Wśród 274 tys. pielęgniarek i położnych zatrudnionych w opiece zdrowotnej jest tylko 1681 cudzoziemek. W tym 1540 z Ukrainy.

•

46% ośmiolatków ma podwyższony poziom cholesterolu całkowitego **(Instytut Matki i Dziecka).**

•

W 2024 r. urodziło się 19 750 dzieci, których jedno z rodziców jest cudzoziemcem.

PRZEBŁYSKI

Teolog od Nawrockiego w RPP

Kumpel tu, kumpel tam. Polityka kadrowa Nawrockiego jest tak prosta jak ustawki kiboli, w których brał udział.

A że kumple z ustawek najczęściej siedzą albo uciekają przed policją, zostaje mu zasób kadrowy z dawnej roboty, czyli z IPN. Oni z bejsbolami wprawdzie nie latali, ale trudno ich zaliczyć do fachowców. Jednego z nich rzucił Nawrocki do Rady Polityki Pieniężnej, do której może nominować trzy z dziewięciu osób. Przez sześć lat jej członkiem będzie Marcin Zarzecki, członek Rady Programowej IPN. Teolog i socjolog religii, związany z Uniwersytetem Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Pracował m.in. nad wykorzystaniem internetu do przygotowania „wirtualnej wspólnoty parafialnej". Tak sobie Nawrocki wyobraża walkę z deficytem budżetowym, makroekonomię, politykę pieniężną i takie tam. Po co kompetencje, liczy się lojalność. I posłuszność.





Szefernaker – skromny milioner

Jak wygląda dekada Pawła Szefernakera? Zaczął od sukcesu w polityce, bo w 2015 r. został posłem PiS. I od skromnych 15 tys. zł oszczędności. Tyle przynajmniej wtedy zadeklarował. Po 10 latach ten oszczędny polityk wpisał do deklaracji w 2025 r. 1,33 mln zł. Szefernaker może powiedzieć, że w jego partii, czyli PiS, były nie takie kariery finansowe. To prawda. Na szczycie piramidy są Daniel Obajtek, były wójt Pcimia, i Mateusz Morawiecki. Gdzie tam do nich Szefernakerowi z mieszkaniem za 1,195 mln zł plus miejscem garażowym za 40 tys. zł.

Już nie jest posłem, ale szefem gabinetu Nawrockiego. Większa kasa za więcej kłamstw. I większy wstyd.

Omamy Marcina Romanowskiego



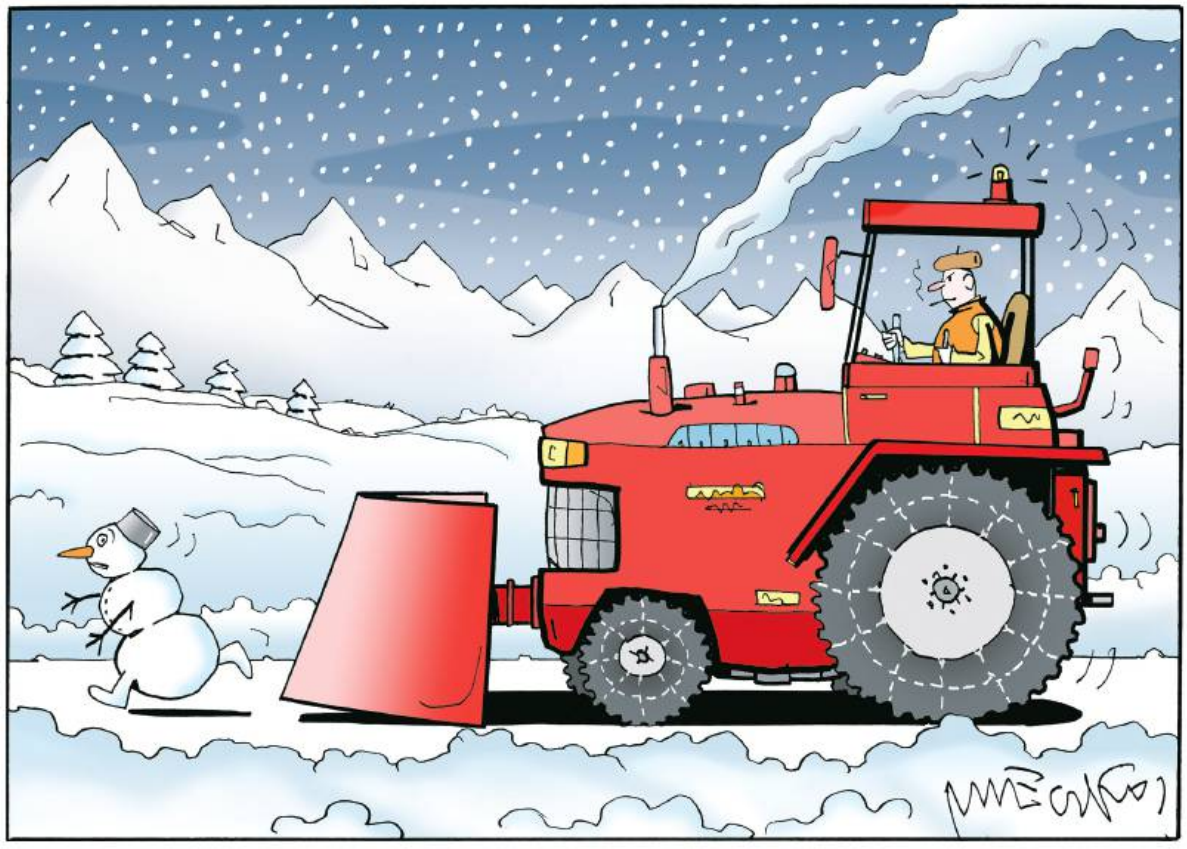
Stargane nerwy i panika to stan, w jakim znajduje się dziś Marcin Romanowski. Wynalazek Ziobry i jego zastępca, szerzej znany z licznych afer wokół Funduszu Sprawiedliwości. A najbardziej z ucieczki na Węgry. Czerwone wino i gulasz nie poprawiają mu samopoczucia. To, co mówi dla „Naszego Dziennika", to jakieś omamy. Choćby takie zdanko: „Działania obecnego kolaboracyjnego, marionetkowego rządu Tuska". Lub inne: „Luksemburska sędziokracja i neobolszewicy kontynuują marsz przez instytucje".

Romanowskiemu na kolejne miesiące warto zadedykować to, co sam powiedział: „W Polsce funkcjonuje system, w którym kryminaliści wykorzystują cały aparat państwa, w tym sądy i służby specjalne, do represji wobec tej części opozycji, która najbardziej zagraża tej kryminalnej władzy". Bardzo trafne. Tak dokładnie było za rządów Ziobry… i Romanowskiego.

FOT. GRZEGORZ JAKUBOSKI/KPRP, PRZEMYSŁAW KELLER/KPRP, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4360eb2774

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego ludzie tak chętnie nagrywają filmiki na media społecznościowe?

DR KONRAD MAJ,
psycholog społeczny, Uniwersytet SWPS

Myślę, że to najłatwiejsze wytłumaczenie: ludzie chcą zdobyć poklask innych, ale niekoniecznie musi tak być. Chętnie też nagrywają filmiki, bo daje im to poczucie bezpieczeństwa i kontroli w stresującej sytuacji. W przypadku ludzkich tragedii wejście w rolę dokumentującego pozwala zredukować lęk i uniknąć bezczynności, a zarazem chroni przed ryzykiem fizycznym czy prawnym, jakie niesie interwencja. Żyjemy w kulturze ciągłej dokumentacji. Jeśli czegoś nie ma na wideo, wielu uznaje, że „to się nie wydarzyło". Sięganie po telefon stało się normą przy ważnych lub dramatycznych zdarzeniach. Nagrywanie zawęża uwagę, osłabia refleksję i sprzyja efektowi widza: odpowiedzialność się rozmywa, bo „ktoś inny na pewno pomoże". Ekran działa jak psychologiczna szyba: dystansuje emocjonalnie, dehumanizuje sytuację i zamienia tragedię w kontent. To często forma ucieczki od odpowiedzialności, jednocześnie wpisująca się w społeczną fascynację cudzym nieszczęściem.

DR MAGDALENA ŁUŻNIAK-PIECHA,
psycholożka społeczna

Po pierwsze, fascynują nas zdarzenia negatywne, takie jak wypadki, katastrofy, nieszczęścia, bo tak działa mózg. Atawistycznie jesteśmy zaprogramowani, by wyłapywać informacje o zagrożeniach, ponieważ przez tysiące lat to pomagało przetrwać. Dlatego zwalniamy przy wypadkach i dlatego „sprzedają się" złe newsy. Ewolucja cywilizacyjna wyprzedziła ewolucję mózgu, który wciąż reaguje według dawnych schematów. To sprawia, że zamiast uciekać lub pomagać, ludzie się przyglądają i rejestrują zdarzenie. Po drugie, nagrywanie i publikowanie filmów w mediach społecznościowych daje poczucie bycia ważnym, posiadania informacji istotnej dla innych. Z perspektywy racjonalnej to często bez sensu, ale z perspektywy „gadziej" części mózgu stanowi mechanizm głęboko zakorzeniony i trudny do kontrolowania.

DR AGNIESZKA CAŁEK,
medioznawczyni, Instytut Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej UJ

Odpowiedź jest prosta: bo mogą! Większość użytkowników niemal nie rozstaje się ze smartfonami. A to narzędzia łatwe w obsłudze, niewymagające zaawansowanych kompetencji technologicznych. By efektywnie używać takiego sprzętu, nie trzeba rozumieć, jak on działa. Nagranie wideo i jego publikacja w mediach społecznościowych to kilka ruchów na ekranie. Tworzenie nagrań jest też mniej wymagające czasowo i intelektualnie od przygotowania tekstu. Sam proces pisania już daje szansę zastanowienia się nad przekazem, jego formą i sensem. Dlatego, doceniając możliwości nagrywania i publikowania wideo, warto pomyśleć, czy naprawdę wszystko trzeba rejestrować i zamieszczać w mediach społecznościowych.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 4360eb2774

Imperialna twarz Ameryki

Bezpośredni atak na Wenezuelę oznacza powrót Waszyngtonu do dyplomacji grubej pałki



Inwazja wojsk amerykańskich na Grenadę, październik 1983 r.

Krzysztof Wasilewski

Atak Stanów Zjednoczonych na Wenezuelę z początku 2026 r. zaszokował świat. Dla jednych był to akt sprawiedliwości, w imię której brutalny dyktator został pojmany i postawiony przed sądem. Dla drugich to nieusprawiedliwiona ingerencja hegemona w sprawy wewnętrzne niepodległego państwa. Jeśli jednak zna się historię zaangażowania USA na półkuli zachodniej, o żadnym zaskoczeniu nie może być mowy.

„Był to jeden z najbardziej zdumiewających, skutecznych i potężnych pokazów amerykańskiej potęgi militarnej oraz kompetencji wojskowych w historii Stanów Zjednoczonych", zaczął konferencję prasową 3 stycznia Donald Trump. W jej trakcie on sam oraz jego współpracownicy wielokrotnie powtarzali, że operacja „Absolutna Determinacja" miała na celu nie tylko pojmanie prezydenta Wenezueli Nicolása Madura, ale również zademonstrowanie „powrotu USA do Ameryki Łacińskiej".

Świat zrozumiał to przesłanie. Mimo początkowych zastrzeżeń większość europejskich liderów z satysfakcją przyjęła upadek reżimu, wyrażając zarazem nadzieje na demokratyzację kraju. Ale sama administracja Trumpa szybko te nadzieje zweryfikowała. Już dwa dni po ataku na Wenezuelę, 5 stycznia, Departament Stanu opublikował na platformie X ostrzeżenie: „To jest nasza półkula, a prezydent Trump nie pozwoli, aby nasze bezpieczeństwo było zagrożone".

Także podczas wspomnianej konferencji mówiono o demokracji jak najmniej. Amerykański prezydent nawet nie starał się ukryć, że nadrzędnym celem było odzyskanie przez USA kontroli nad wenezuelskimi złożami ropy, uznawanymi za jedne z najbogatszych na świecie.

eprasa.pl 4360eb2774

„Pieniądze wydobywane z ziemi są bardzo znaczące. Odzyskamy wszystko, co wydamy", z dumą zapowiedział Trump. Co prawda, wciąż nie wiadomo, jak w praktyce ma wyglądać amerykańskie administrowanie Wenezuelą, lecz jedno jest pewne – będzie ono z korzyścią dla biznesowych przyjaciół obecnego gospodarza Białego Domu.

Doktryna Monroego wiecznie żywa

„Pozostaniemy w Wenezueli, będziemy rządzić tym krajem do czasu, aż będziemy mogli przeprowadzić właściwe przekazanie władzy", wyjaśnił swój plan Trump. Mówiąc to, amerykański prezydent powołał się na doktrynę Monroego, o której podczas konferencji wspominali też jego współpracownicy. Ogłoszona w 1823 r. przez ówczesnego prezydenta USA Jamesa Monroego przyznawała Stanom Zjednoczonym prawo do ingerowania w sprawy państw półkuli zachodniej w celu zapobieżenia rozpanoszeniu się tam europejskich mocarstw. Był to czas upadku imperium hiszpańskiego, zasadne wydały się więc obawy, czy o jego dawne kolonie nie pokuszą się Wielka Brytania lub Francja. Jednak zapisy doktryny otwarcie wyrażały również imperialne zakusy młodej demokracji, z których ta nigdy nie zrezygnowała. Stąd powoływanie się na nią także ponad dwa stulecia później, w zupełnie już innej rzeczywistości geopolitycznej.

Jak zaznacza historyk Jay Sexton, słowa Monroego służyły każdej kolejnej administracji prezydenckiej do usprawiedliwienia własnych działań w regionie: „Był to niekończący się projekt. Od momentu jego ogłoszenia w 1823 r. Amerykanie tworzyli większe, coraz bardziej złożone struktury, wciąż modyfikując jego znaczenie". Szybko też doktryna Monroego przekształciła się z deklaracji rzucającej wyzwanie europejskim imperiom w manifest polityczno-biznesowy. Najpierw powoływali się na nią właściciele niewolników, później przedsiębiorstwa rolnicze i naftowe.

Doktryna Monroego dała pretekst do interwencji wojsk amerykańskich już pod koniec 1835 r. Decyzją ówczesnego prezydenta Andrew Jacksona (którego przykład często przywołuje Donald Trump) Korpus Piechoty Morskiej przybył do Peru, aby chronić interesy USA w czasie toczącej się tam wojny domowej. Ówcześni marines stacjonowali w młodym państwie aż do zakończenia konfliktu rok później.

Interwencję w Peru można uznać za przymiarkę do dalszej ekspansji, której kulminacja nastąpiła w 1846 r. Wówczas to Stany Zjednoczone przyłączyły Teksas – pozostający do tej pory w granicach Meksyku. W konsekwencji krwawej, trwającej trzy lata wojny USA wzbogaciły się o ponad 804 tys. km kw. kosztem południowego sąsiada.

W 1846 r. Stany Zjednoczone przyłączyły Teksas pozostający do tej pory w granicach Meksyku.

Sukces w wojnie z Meksykiem rozniecił w amerykańskich sercach ambicje rozszerzania swoich interesów na dalsze państwa. W 1855 r. obywatel USA, lekarz William Walker, zebrał oddział najemników i na dwa lata przejął władzę w Nikaragui. Niewątpliwie była to samowolka, co jednak nie zmienia faktu, że jego rządy zostały wkrótce uznane przez Waszyngton za legalne, a zachęcony w ten sposób Walker planował podbój pozostałych państw regionu. Jak zwykle w takich sytuacjach mógł on liczyć na wsparcie amerykańskiego biznesu.

Rok po eskapadzie Walkera Stany Zjednoczone już oficjalnie wysłały swoje wojska do Panamy, by chronić amerykańskie przedsiębiorstwa przed nacjonalizacją. Była to pierwsza z pięciu (jak dotąd) interwencji USA w tym kraju. W 1885 r. Waszyngton powtórzył ten sam scenariusz w Gwatemali.

Wiek XIX został zakończony zwycięską wojną z Hiszpanią, w wyniku której USA zdobyły kontrolę nad Kubą i poszerzyły swoje zamorskie terytoria o Guam, Portoryko, Filipiny i Hawaje. Wszędzie tam amerykańscy żołnierze chronili nie tyle demokrację, ile prywatny biznes. Na potwierdzenie tego w 1912 r. oddział piechoty wylądował na Kubie, aby stłumić protesty czarnoskórej społeczności, sprzeciwiającej się dyskryminacji rasowej. W tym samym czasie amerykańscy marines trafili do Nikaragui, gdzie pozostali przez kolejne dwie dekady.

Dyplomacja kanonierek

Wcześniej, bo w 1905 r., prezydent Theodore Roosevelt (kolejny, na którym wzoruje się Donald Trump) ogłosił modyfikację doktryny Monroego. Odtąd USA zamierzały pełnić funkcje porządkowe już nie tylko w Ameryce Południowej, ale również w regionie Karaibów. „Mów łagodnie, ale zawsze trzymaj grubą pałkę. Wtedy zajdziesz daleko", radził Roosevelt. Tak zwana dyplomacja grubej pałki lub dyplomacja kanonierek długo znamionowała politykę Stanów Zjednoczonych na całej półkuli zachodniej, budząc nie tyle szacunek tamtejszych państw, ile strach i nieufność.

Od 1914 r., czyli za kadencji Thomasa Woodrowa Wilsona, rozpoczął się ponadczteroletni okres interwencji USA w wewnętrzne sprawy Meksyku. W reakcji na zawirowania u swojego południowego sąsiada Stany Zjednoczone zaczęły hojnie wspierać tych polityków, którzy gwarantowali zabezpieczenie amerykańskich inwestycji przed zakusami lewicowych populistów. Nie trzeba dodawać, że demokracja i emancypacja ludu znajdowały się na marginesie zainteresowań Departamentu Stanu.

Podobny cel przyświecał okupacji Dominikany (1916-1924), którą Waszyngton na niemal 20 lat przekształcił w swój protektorat. Ochrona plantacji bananów należących do United Fruit Company (UFC) była zaś powodem kolejnej interwencji USA w Panamie w 1918 r.

eprasa.pl 4360eb2774

United Fruit Company

UFC stała się symbolem gospodarczej eksploatacji regionu przez Stany Zjednoczone. Jej rolę w obalaniu i ustanawianiu rządów w Ameryce Południowej doskonale spuentował chilijski poeta Pablo Neruda: „United Fruit Company zarezerwowała dla siebie najsoczystszy kawałek; środkowe wybrzeże mojego świata, delikatną talię Ameryki".

O wpływie UFC na życie milionów ludzi pisał także amerykański dziennikarz Dan Koeppel, który poświęcił jej jedną ze swoich książek: „Szkody wyrządzone Ameryce Łacińskiej przez United Fruit były niewyobrażalne i (...) niemożliwe do naprawienia. Dyktatorskie rządy, które spółka ustanowiła w Gwatemali i Hondurasie, sprawowały władzę nad tymi krajami przez dziesięciolecia, wyzwalając kolejne fale nadużyć, zabójstw, a nawet ludobójstwa. W Gwatemali szwadrony śmierci sponsorowane przez następców rządów zainstalowanych dzięki bananom przemierzały wieś, zabijając każdego, kogo podejrzewano o bycie – lub nawet możliwość stania się – sympatykiem lewicy. Oznaczało to praktycznie wszystkich pracujących na plantacjach bananów oraz ich rodziny".

Po II wojnie światowej Waszyngton mniej chętnie angażował się w bezpośrednie interwencje, preferując zakulisowe działania służb. W 1954 r. w obawie przed nacjonalizacją przemysłu w Gwatemali przez tamtejsze demokratyczne władze CIA przeprowadziła udany zamach stanu. Rządy objęła wojskowa dyktatura, którą oskarża się o śmierć niemal 250 tys. obywateli w ciągu czterech dekad. Junta mogła jednak liczyć na wsparcie USA w zamian za parasol bezpieczeństwa nad plantacjami UFC. Przez całe lata 50. i 60. XX w. amerykańskie służby inspirowały i finansowały kolejne próby obalenia Fidela Castro na Kubie, lecz bez powodzenia.

Chociaż na początku lat 60. to właśnie Kuba pozostawała dla Waszyngtonu priorytetem, amerykańscy przywódcy znaleźli czas na podsycanie konfliktów politycznych również w Kolumbii, co ostatecznie doprowadziło do wybuchu wojny domowej. Jak zwykle chodziło o ochronę interesów United Fruit Company, którym zagrażała obiecywana przez rosnących w siłę lewicowych polityków nacjonalizacja. Tym samym rozpoczął się w Kolumbii okres wewnętrznych starć, który z przerwami trwa do tej pory. Szacuje się, że w wyniku dotychczasowych walk mogło zginąć nawet pół miliona osób. W 1964 r., w obawie przed upaństwowieniem przemysłu paliwowego, USA wsparły kolejny przewrót wojskowy. Podobny scenariusz Amerykanie rozpisali dla Chile, Urugwaju, Salwadoru, Nikaragui i Hondurasu, gdzie w latach 70. i 80. dolary finansowały liczne prawicowe dyktatury.

Wenezuela dostarcza Stanom Zjednoczonym tyle samo ropy naftowej, co wszystkie państwa Zatoki Perskiej łącznie.

InPost Paczkomat 24/7

Zamów prenumeratę PRZEGLĄDU

KWARTALNA 140 zł PÓŁROCZNA 280 zł ROCZNA 570 zł

Przegląd

DARMOWA dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK!

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl i zobacz, jakie to proste!

eprasa.pl 4360eb2774

Walka z komunizmem

„Nie rozumiem, dlaczego mamy stać i przypatrywać się, jak jeden kraj za drugim staje się komunistyczny z powodu nieodpowiedzialności jego własnych obywateli”. Tak wsparcie Stanów Zjednoczonych dla przewrotu w Chile w 1973 r. skomentował Henry Kissinger, doradca ds. bezpieczeństwa w administracji Richarda Nixona i sekretarz stanu za prezydentury Geralda Forda. Z kolei o Kubie mówił: „Jeśli zdecydujemy się użyć siły militarnej, musi ona odnieść sukces. Nie powinno być działań połowicznych – nie otrzymalibyśmy żadnej nagrody za umiarkowane użycie wojska”. Przedstawiona przez niego wykładnia doktryny Monroego przetrwała do dziś.

Pewien wyłom w amerykańskim podejściu do spraw regionu stanowiły lata rządów Jimmy’ego Cartera (1977-1981). Jako prezydent poważnie traktował prawa człowieka, co jednak nie uchroniło go od powtórzenia niektórych błędów jego poprzedników. Brak większych sukcesów w polityce krajowej i zagranicznej sprawił, że do Białego Domu szybko powrócili republikanie, czyli Ronald Reagan i George Bush. Ci zaś ze zdwojoną siłą prowadzili politykę „dziel i rządź” przy pomocy CIA.

W latach 1898-1994 USA ingerowały w wewnętrzne sprawy państw regionu co najmniej 41 razy, w tym odbyło się 17 bezpośrednich inwazji z wykorzystaniem wojska.

„Region Karaibów jest kluczowym strategicznym i handlowym szlakiem dla Stanów Zjednoczonych. To dosłownie nasza trzecia granica”, tłumaczył Reagan, dodając: „Musimy pomóc naszym karaibskim przyjaciołom uchronić siebie od niebezpiecznych zewnętrznych sił, które chcą nałożyć na nie obcą ideologię za pomocą przemocy i terroryzmu”. Oczywiście o tym, kto i jak zagrażał Karaibom, decydował Waszyngton.

W październiku 1983 r. prezydent Reagan dał zielone światło amerykańskiemu desantowi na niewielką Grenadę, z zadaniem obalenia prawomocnego rządu. Pretekstem do inwazji na wyspę stała się rozbudowa lotniska, które – zdaniem USA – mogło posłużyć celom militarnym ZSRR. Jak fałszywa była to narracja, świadczy fakt, że po udanym zamachu stanu sami Amerykanie dokończyli jego budowę, tym razem już jako inwestycję w turystykę.

Sześć lat później, w grudniu 1989 r., prezydent Bush (były dyrektor CIA) wysłał ponad 27 tys. żołnierzy po raz kolejny do Panamy. Celem było aresztowanie prezydenta Manuela Noriegi, podejrzanego o udział w kartelu narkotykowym. Noriega faktycznie od wielu lat czerpał zyski z handlu narkotykami, lecz dopóki przy okazji zwalczał komunistyczną partyzantkę w regionie, mógł liczyć na wsparcie i parasol ochronny CIA. Gdy jednak ich drogi się rozeszły,



eprasa.pl 4360eb2774



W grudniu 1989 r. prezydent Bush wysłał ponad 27 tys. żołnierzy do Panamy.

Amerykanie zdecydowali się pozbyć balastu. Noriedze nie pomogło nawet schronienie się w nuncjaturze apostolskiej w Panamie, skąd został wykurzony głośną muzyką heavymetalową.

Wsparcie militarne i szwadrony śmierci

Kiedy w ostatniej dekadzie XX w. mówiono o końcu historii w Europie, w Ameryce Południowej i na Karaibach wydawała się ona powtarzać bez końca. Za sprawą Stanów Zjednoczonych. Tym razem zagrożenie komunistyczne, które w oficjalnej narracji miało usprawiedliwiać wcześniejsze działania Waszyngtonu, ustąpiło walce z przemytem narkotyków i terroryzmem. W 1990 r. amerykańskie dolary pomogły w ustawieniu wyborów parlamentarnych i prezydenckich w Nikaragui. Nie zapominano także o Kubie, przedłużając embargo na handel z wyspą oraz finansując opozycyjną działalność kubańskich organizacji w USA.

Od drugiej połowy lat 90. USA rozpoczęły wdrażanie licznych programów pomocowych skierowanych do wybranych państw Ameryki Południowej i Karaibów. Oficjalnie miały one służyć wzmacnianiu demokracji i gospodarki liberalnej. Jednak ich rzeczywisty cel wyjaśnił gen. Charles E. Wilhelm, dowódca US Southern Command, podczas przesłuchania przed komisją senacką w 1998 r.: „Nikt nie kwestionuje strategicznego znaczenia Bliskiego Wschodu, jednak sama Wenezuela dostarcza Stanom Zjednoczonym tyle samo ropy naftowej, co wszystkie państwa Zatoki Perskiej łącznie. Odkrycie znaczących złóż ropy w Kolumbii oraz istniejące zasoby ropy w Trynidadzie i Tobago oraz w Ekwadorze dodatkowo zwiększają strategiczne znaczenie zasobów energetycznych tego regionu".

Wsparciem objęto m.in. Kolumbię, gdzie przy okazji zwalczania karteli narkotykowych wzmacniano obecność amerykańskiego biznesu. Wkrótce kraj ten stał się jednym z największych odbiorców amerykańskiej pomocy. Nie chodziło jednak o żywność czy sprzęt medyczny, lecz o wyposażenie wojskowe, szkolenia, z których często korzystały szwadrony śmierci. Kolumbijskich strongmanów równie chętnie finansowali demokraci, jak i republikanie. Zresztą analogiczną politykę USA prowadziły w odniesieniu do pozostałych państw regionu.

Lata prezydentury Baracka Obamy (laureata Pokojowej Nagrody Nobla) charakteryzowały się poparciem dla prawicowych rządów. Dzięki amerykańskiej pomocy w Hondurasie w 2009 r. do władzy doszła junta wojskowa. Departament Stanu pod wodzą Hillary Clinton dopilnował także, by w Paragwaju nie powstał lewicowy rząd. Już pod koniec swojej kadencji Obama uznał Wenezuelę za „nadzwyczajne zagrożenie dla bezpieczeństwa i polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych". Z tego samego założenia wyszedł Donald Trump, nakładając na Caracas sankcje gospodarcze w 2017 r. Rok później publicznie potwierdził plany siłowego pozbycia się prezydenta Nicolása Madura.

Bilans Doktryny Monroego

Zgodnie z zestawieniem przygotowanym przez amerykańskiego historyka z Columbia University Johna H. Coatswortha w latach 1898-1994 Stany Zjednoczone ingerowały w wewnętrzne sprawy państw regionu co najmniej 41 razy. W tej liczbie znalazło się 17 bezpośrednich inwazji z wykorzystaniem wojska, w pozostałych zaś przypadkach USA angażowały swoje służby i pieniądze. Jak pisze Coatsworth, „w ciągu wieku co 28 miesięcy Waszyngton z powodzeniem zmieniał rządy". Jeśli uaktualnić te dane o ostatnie 30 lat, liczba ta byłaby jeszcze wyższa. Jedynie w 2025 r. pieniędzmi i groźbami Stany Zjednoczone wpłynęły na wyniki wyborów w Argentynie i Hondurasie.

Bezpośredni atak na Wenezuelę na początku tego roku oznacza powrót Waszyngtonu do sprawdzonej już dyplomacji grubej pałki. Rosyjska agresja na Ukrainę z 2022 r. sprawiła, że przez chwilę zapomnieliśmy o imperialnej twarzy USA, choć przecież kolejni gospodarze Białego Domu zaledwie ją pudrowali, zapewniając o wspieraniu demokracji na świecie. Można jedynie podziękować Donaldowi Trumpowi, że zdecydował się pokazać ją bez makijażu.

Krzysztof Wasilewski

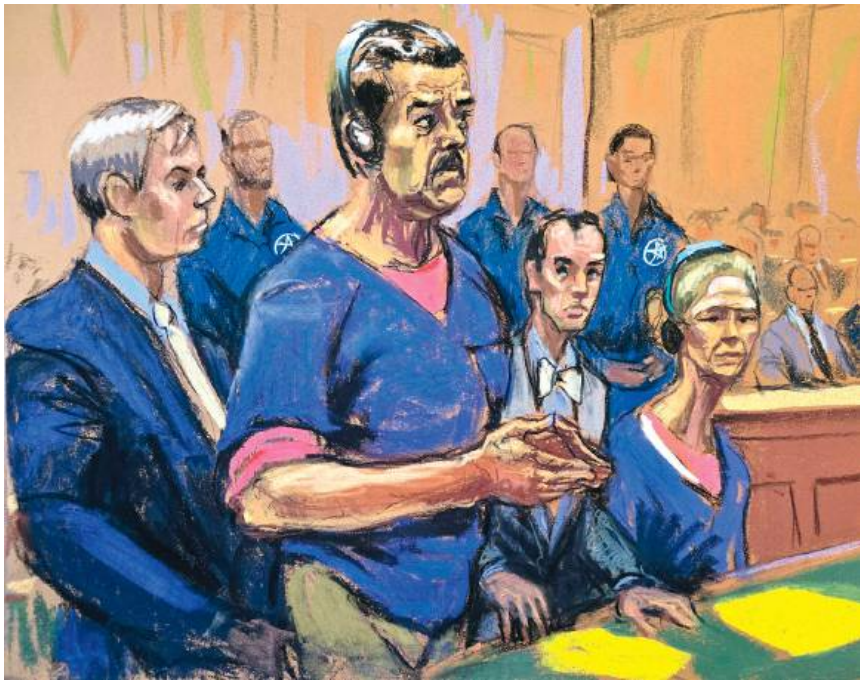
FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 4360eb2774

SZYKUJE SIĘ HISTORYCZNY PROCES

MADURO W USA

POSTĘPOWANIE W CZTERECH ODSŁONACH



Nicolás Maduro (na pierwszym planie) z żoną Cilią Flores podczas rozprawy w sądzie federalnym w Nowym Jorku z obrońcami Barrym Pollackiem (po lewej) i Markiem Donellym, 5 stycznia 2026 r.

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Startujecie! – ogłasza Trump 2 stycznia o godz. 22.46. Z 20 baz w rejonie Morza Karaibskiego podrywa się 250 maszyn, w tym F-35, samoloty wczesnego ostrzegania E-2 Hawkeye, śmigłowce Chinook i bombowce. Obierają kurs na Wenezuelę. Pierwsze pociski uderzają w ochronę przeciwlotniczą i radarową Caracas o godz. 1.01 w sobotę. Między godz. 2 a 2.30 komandosi elitarnej jednostki Delta Force wdzierają się do fortecy prezydenta Nicolása Madura. O 4.30 Trump obwieszcza na swoim koncie w Truth Social, że wenezuelski dyktator jest w drodze do amerykańskiego więzienia.

Choć od operacji „Absolute Resolve" (Absolutna Determinacja czy też Decydujące Rozwiązanie), jak wymownie nazwano akcję w Caracas, minęło już nieco czasu, pytań związanych z amerykańskimi planami dla Wenezueli na razie przybywa, ale kilku rzeczy możemy być pewni już teraz. Maduro wraz z żoną Cilią Flores dotarli do USA, osadzono ich w znanym z rygoru i niewygód więzieniu Metropolitan Detention Center na Brooklynie i już nawet doprowadzono przed oblicze amerykańskiego sądu. Ameryka oskarża ich, ich dorosłego syna i trzech innych członków wenezuelskiego rządu o narkoterroryzm (wspieranie narkokarteli przez udostępnianie infrastruktury do przemytu i ochronę przed służbami innych państw), przemyt kokainy do USA (250 ton w ostatnich 20 latach) oraz posiadanie karabinów maszynowych i innej broni nielegalnej na terenie USA. Wenezuelczycy na razie nie przyznają się do winy, a Maduro przed sądem oskarżył amerykański rząd o bezprawie, nazywając siebie jeńcem wojennym.

Przyjrzyjmy się czterem kluczowym aspektom tej sprawy, bo nie ma wątpliwości, że szykuje się historyczny proces.

Odsłona pierwsza
Sąd Federalny Dystryktu Południowego (Manhattan) w Nowym Jorku

Dlaczego wenezuelski dyktator oskarżany przez administrację Trumpa o działalność przeciwko Ameryce będzie sądzony na Manhattanie, a nie w Waszyngtonie?

Po pierwsze, dlatego że to siedziba prokuratury, która już w 2020 r. wysunęła przeciwko Madurowi i pięciu jego współpracownikom podobne zarzuty. Uaktualniony akt oskarżenia wyszedł nawet od tego samego prokuratora, Jaya Claytona. Dwóch spośród oskarżonych wcześniej – gen. Clíver Antonio Alcalá Cordones

eprasa.pl 4360eb2774

oraz Hugo Armando Carvajal Barrios – już zostało osądzonych. Barrios czeka na wyrok, a Cordones został skazany na 21 lat więzienia.

Po drugie, jak wyjaśniła mi Milena Sterio, szefowa Centrum Prawa Międzynarodowego na Uniwersytecie Stanowym Cleveland w Ohio, „sąd na Manhattanie specjalizuje się w sprawach związanych z bezpieczeństwem narodowym, terroryzmem i przestępczością międzynarodową na dużą skalę". Sterio przypomina, że to tutaj w 2019 r. sądzono i skazano bossa narkotykowego „El Chapo", czyli Joaquína Guzmána Loera, w 2014 r. – zięcia Osamy bin Ladena, Sulajmana Abu Ghaisa, a w 2024 r. – byłego prezydenta Hondurasu Juana Orlanda Hernándeza, którego ukarano za przestępstwa podobne do tych, jakie przypisuje się Madurowi.

Odsłona druga
Operacja „Absolute Resolve"

Operacja, która przywiodła Madura przed oblicze amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, była niewątpliwie majstersztykiem. Czy jednak była legalna? Nie potrzebujemy dokładnego sprawozdania z jej przebiegu – choć władze USA zdradziły wiele szczegółów już kilka godzin po zakończeniu akcji w Caracas – by wiedzieć, że nosiła znamiona porwania urzędującej głowy państwa. Prawo międzynarodowe zabrania używania siły wobec przywódców państw, chociaż zainteresowana strona może się zwrócić do Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze o wszczęcie śledztwa, w wyniku którego MTK wyda nakaz aresztowania oskarżonego. Ewentualnie strona może użyć siły wobec głowy innego państwa w akcie samoobrony, gdy zagrożenie jest nieuchronne. USA nie kontaktowały się przed operacją z MTK.

Eksperci prawa amerykańskiego podnoszą też, że Biały Dom mógł równocześnie złamać prawo krajowe. Amerykańskie wojsko przeprowadziło w Wenezueli pełnoskalową – to słowa samego Trumpa – akcję militarną, w której zginęło co najmniej 80 osób. Tymczasem zgodnie z konstytucją wojnę może zadeklarować wyłącznie Kongres – w 1973 r. weszło w życie prawo, tzw. War Powers Resolution, które obliguje prezydenta do uzyskania zgody Kongresu na każdy rodzaj ataku militarnego. 3 stycznia zaś amerykańscy kongresmeni dowiedzieli się o „Absolute Resolve" z mediów. Podobnie jak reszta świata.

Amerykańskie wojsko przeprowadziło w Wenezueli pełnoskalową akcję militarną, w której zginęło co najmniej 80 osób.

Departament Sprawiedliwości przedstawia oczywiście sprawę inaczej. Zasłania się dwoma argumentami. Po pierwsze, że Maduro nie był legalną głową państwa, sfałszował przecież dwie tury wyborów prezydenckich i USA nie uznawały jego rządów już od 2018 r. Został więc porwany jako osoba prywatna, zwykły obywatel, nie przysługiwał mu i nie przysługuje żaden immunitet. Po drugie, jak tłumaczył 3 stycznia sekretarz stanu Marco Rubio, operacja „Absolute Resolve" nie była żadnym aktem wojny ani agresji. Chodziło w niej „po prostu o wsparcie funkcjonariuszy federalnych wykonujących swoje obowiązki". Jakie obowiązki? Maduro został oskarżony z paragrafów amerykańskiego prawa, a wojsko tylko wspierało agentów FBI – ci nie mogą aktywnie działać na terytorium obcego państwa – w aresztowaniu przestępcy ściganego przez amerykańską prokuraturę.

Co mówią eksperci? „W takim przypadku właściwą ścieżką powinna być ekstradycja Madura na mocy umowy proceduralnej między USA a Wenezuelą. Tak jak miało to miejsce w przypadku Juana Hernándeza – twierdzi Milena Sterio. – Żadne państwo nie ma prawa wkraczać na terytorium innego państwa, nawet jeśli postawiło w stan oskarżenia obywatela tego państwa. Nie znamy szczegółów umowy ekstradycyjnej, ale nie wydaje mi się, by był tam zapis o prawie do porywania ludzi w środku nocy, w dodatku pod osłoną bombowców".

Odsłona trzecia
Jak w sprawie Manuela Noriegi

Amerykańskie ustawodawstwo wyrasta z anglosaskiej tradycji tzw. *common law*, czyli opiera się na precedensach i praktyce sędziowskiej. Milena Sterio przewiduje, że Biały Dom będzie legitymizować swoje postępowanie wobec Madura, odwołując się do postępowania USA wobec przywódcy Panamy Manuela Noriegi w 1989 r., bo mamy tu najwięcej podobieństw. Przede wszystkim amerykańskie wojska też dokonały wówczas inwazji na terytorium obcego kraju, jednak administracja George'a H.W. Busha ze wszystkich zarzutów o ewentualną nielegalność tych działań popisowo się wybroniła. Z kolei przypadek byłego prezydenta Hondurasu zasadniczo się różni. Amerykanie pojmali Juana Hernándeza wspólnie ze służbami honduraskimi, gdy władze Hondurasu zgodziły się na jego ekstradycję do USA.

Panamski dyktator, podobnie jak Maduro, został oskarżony przez USA o narkoterroryzm i przemyt kokainy do USA, a dodatkowo o pranie pieniędzy i handel ludźmi. Wiadomo było skądinąd, że jak dziś Trumpowi chodzi o położenie ręki na wenezuelskich surowcach, tak wtedy George H.W. Bush chciał zachować amerykańskie wpływy w rejonie Kanału Panamskiego, które za rządów Noriegi zaczęły maleć.

Tamta operacja, nazwana „Just Cause" (W słusznej sprawie), nie była jednak tak efektywna jak „Absolute Resolve". Noriedze początkowo udało się schronić w nuncjaturze papieskiej w Panama City i Amerykanie zmusili go do poddania się dopiero po 10 dniach. Prokuratura w Miami, gdzie był sądzony, w kwestii legalności pojmania i wywiezienia Noriegi do USA już wtedy wypowiedziała się, używając podobnego wykrętu: że nie doszło do złamania prawa międzynarodowego, bo Noriega nie był przywódcą Panamy, a tylko szefem sił zbrojnych, który uzurpował sobie władzę. W ten

eprasa.pl 4360eb2774



„Pełne poparcie dla Petra" – masowe protesty w Bogocie w obronie prezydenta Kolumbii Gustava Petra, któremu Trump groził już po ataku na Wenezuelę, 7 stycznia 2026 r.

sposób upadał problem jego immunitetu jako głowy państwa. Fakt zaś, że George H.W. Bush też nie zwrócił się wówczas do Kongresu o zgodę na akcję militarną, rozstrzygnięto sądownie. Sąd wziął stronę Busha.

Kłania się tu przywoływana ostatnio dość często w kontekście drugich rządów Trumpa doktryna unitarnej władzy wykonawczej – odwieczny, rzec można, spór wśród amerykańskich konstytucjonalistów o to, jaki

przy Departamencie Sprawiedliwości (potem, za pierwszej kadencji Trumpa, Barr pełnił funkcję prokuratora generalnego), „prezydent, działając za pośrednictwem prokuratora generalnego, posiada nadane mu konstytucyjne uprawnienie, by delegować FBI do prowadzenia śledztw i dokonywania aresztowań osób naruszających prawo Stanów Zjednoczonych, nawet jeżeli działania te są sprzeczne z normami zwyczajowego

Do sprawy Madura wyznaczono 92-letniego sędziego Alvina Hellersteina. W środowisku cieszy się sławą surowego, rzetelnego, bezstronnego i odpornego na naciski.

właściwie zakres władzy amerykańska konstytucja przyznaje prezydentowi. Kongres jako ciało autoryzujące działania wojenne – w porządku. Ale jeśli prezydent nazywany jest w konstytucji zwierzchnikiem sił zbrojnych, czy jednak nie daje mu to prawa do decydowania, jak i kiedy chce tych sił używać, bez względu na stanowisko Kongresu?

Według Williama Barra, ówczesnego szefa Biura Doradztwa Prawnego

prawa międzynarodowego. Działania amerykańskich organów ścigania sankcjonowane przez prawo krajowe nie są zakazane na terytorium obcego państwa nawet wtedy, gdy pozostają w sprzeczności z zawartymi, lecz niewdrożonymi w prawie krajowym postanowieniami traktatowymi, takimi jak art. 2 ust. 4 Karty Narodów Zjednoczonych („Uprawnienia Federalnego Biura Śledczego do uchylania prawa międzynarodowego w pozaterytorialnych działaniach organów ścigania", 21 czerwca 1989 r.).

Odpowiedź na zarzut, że proces Noriegi będzie nielegalny, bo nielegalne były metody doprowadzenia go przed majestat amerykańskiego prawa, również przyszła ze strony samego sądu. „Tutaj pomogła doktryna Kera-Frisbiego, której fundamenty sięgają jeszcze XIX w. – tłumaczy Milena Sterio. – Zmontowana na podstawie dwóch osobnych orzeczeń i podtrzymana w 1992 r. przez Sąd Najwyższy wnosi, że sposób dostarczenia oskarżonego do sądu w USA nie ma dla sądu żadnego znaczenia, nawet jeśli w grę wchodzi uprowadzenie".

Jakie znaczenie w procesie Madura może mieć fakt – na który na pewno powoła się jego obrona – że Wenezuelczyka, w przeciwieństwie do Noriegi, w jakiś sposób można uznać za głowę państwa? W 2013 r. przecież wygrał wybory i przez kilka lat rządził z legalnym mandatem.

FOT. AFP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 4360eb2774

Wróciłby wtedy temat jego immunitetu oraz postulat, że celem ataku ze strony USA mógłby być tylko wtedy, gdyby oba państwa znajdowały się w stanie wojny. Przemyt narkotyków, nawet jeśli zabijają one Amerykanów, nie stwarza sytuacji kwalifikującej się do miana wojny.

Słabiej w sprawie Madura brzmi także argument, że USA zbombardowały Caracas oraz wenezuelskie porty w akcie samoobrony. Samoobroną była raczej reakcja Wenezueli na obecność amerykańskiego lotnictwa w jej przestrzeni powietrznej. „Mamy więc pole do sporów i na pewno wybrzmią one podczas procesu, ale mimo wszystko nie wróżę Madurowi zwycięstwa ani wolności", ocenia Milena Sterio.

Odsłona czwarta
Postępowanie wobec Madura

Myśląc o tym, jak potoczą się losy Madura w USA, nie można nie zapytać, czy ma on szansę na sprawiedliwy proces. Michael Kelly, ekspert w zakresie prawa międzynarodowego i porównawczego oraz historii sądownictwa na Uniwersytecie Creighton w Omaha w Nebrasce, odpowiada, że raczej tak. „Do prowadzenia sprawy Madura wyznaczono sędziego Alvina Hellersteina. Ma już 92 lata, ale w środowisku cieszy się sławą surowego, lecz niebywale rzetelnego, bezstronnego i odpornego na naciski sędziego. W roli obrońcy Madura ma wystąpić doświadczony adwokat kryminalny Barry Pollack, który reprezentował m.in. Juliana Assange'a w jego procesie w USA. Wreszcie Madura będą sądzić ławnicy wybrani w dokładnie ten sam sposób jak do każdej innej sprawy kryminalnej w USA. W tym przypadku będą to mieszkańcy Nowego Jorku wybrani losowo z baz danych ludności tworzonych przez lokalne samorządy, komisje wyborcze oraz Departament ds. Komunikacji i Rejestracji Pojazdów".

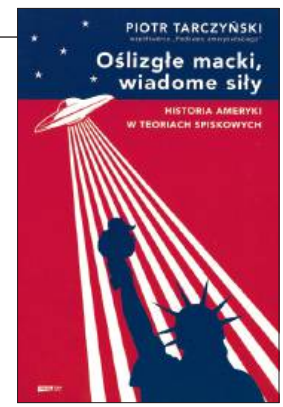
Wenezuelski dyktator i jego żona po raz kolejny mają stanąć przed sądem 17 marca. Będzie to jednak znowu tylko posiedzenie w ramach postępowania przygotowawczego. Do rozprawy, co podkreślają eksperci, wciąż może nie dojść, a jeśli dojdzie, to nie wcześniej niż w roku 2027, a nawet 2028. Z przyczyn opisanych powyżej obrona Madura na pewno zwróci się do sądów apelacyjnych o kasację na gruncie nieprawomocności postępowania.

Co na pewno wzbudzi kontrowersje? „Sposób przedstawienia, a raczej utajnienia przez prokuratora materiałów dowodowych – wyjaśnia Michael Kelly. – Gros tych dokumentów to efekt działania oficjalnych służb wywiadowczych i mniej oficjalnych kolaborantów. Będą więc objęte tajemnicą jako kwestia bezpieczeństwa narodowego. Jeśli oficjalny akt oskarżenia udostępniony na stronie Departamentu Sprawiedliwości może dać wskazówki, o jakiej skali utajnienia mówimy, prognozy nie są dobre. Dokument jest długi, 25-stronicowy, i ma formę bardziej opisu, jak przez ponad 20 lat Wenezuela zmieniała się w reżim wspierający międzynarodowy przemyt i handel kokainą, niż listy konkretnych przestępstw Madura i spółki. Powoływanie się przez prokuraturę na konieczność ochrony danych wrażliwych i tajnych materiałów, zwłaszcza jeśli większość z nich zostanie tak sklasyfikowana, może wywołać poczucie, że rząd coś ukrywa, a w związku z tym podać w wątpliwość sprawiedliwość procesu".

Choć operacja „Absolute Resolve" na razie głęboko podzieliła Amerykanów – na trzy równe grupy: popierających, przeciwnych i niemających zdania – w większości zgadzają się oni, że Maduro powinien być sądzony za udział w przemycie kokainy na terytorium USA (Reuters/Ipsos, 3 stycznia 2026). Żyjemy jednak w dziwnych, by nie rzec dziczejących, czasach. Jeśli Trumpowi uda się odkręcić w Wenezueli kurek z ropą – a na razie wiele na to wskazuje – kto wie, czy za kilka lat, gdy Maduro usłyszy wyrok, „doktryna Monroego", w ramach której USA obalają rządy obcych państw w imię swoich „strategicznych interesów", nie będzie się cieszyła powszechną popularnością. A wobec tego wszelkie pytania o prawomocność, rzetelność i sprawiedliwość procesu Madura również w dużym stopniu stracą znaczenie. Jeśli w ogóle jeszcze będą kogokolwiek interesować.

Eliza Sarnacka-Mahoney

KSIĄŻKI



Piotr Tarczyński
Oślizgłe macki, wiadome siły
Historia Ameryki w teoriach spiskowych
Znak Literanova, Kraków 2025

„Chcę, żebyś znalazł mi odpowiedzi na dwa pytania. Po pierwsze: kto zabił JFK? Po drugie: czy UFO istnieje?". Takie było polecenie prezydenta Billa Clintona wydane zastępcy prokuratora generalnego.

Są też inne pytania krążące w amerykańskim społeczeństwie: Kto stał za zatopieniem Titanica? W jakim celu CIA podawała LSD wojskowym i więźniom? Dlaczego Jackie Kennedy tylko w Dallas dostała czerwone róże, choć wszędzie indziej otrzymywała żółte? Wiele osób powie: przypadek. Nie sądzę, odpowiedzą zwolennicy teorii spiskowych.

Jedyna w swoim rodzaju pasjonująca podróż przez historię Stanów Zjednoczonych ukazaną przez pryzmat teorii spiskowych, na których został zbudowany ten kraj. Amerykanista i historyk, współtwórca popularnego i nagradzanego Podkastu amerykańskiego wnikliwie analizuje bardziej i mniej popularne teorie spiskowe – od zakonu iluminatów, rzekomo stojącego za wszystkimi wojnami, rządami i bankami, przez Watergate, po QAnon – i pokazuje, jak nierozłącznie związane są z nimi kultura i popkultura. Z erudycją i humorem opowiada o tym, jak za pomocą nierealnych scenariuszy Amerykanie tłumaczą sobie rzeczywistość. To cała prawda o teoriach spiskowych, które zbudowały Amerykę. *(es)*

eprasa.pl 4360eb2774

AFERA KARABINOWA

Jak Ameryka wsadzała Polaków do więzienia

Robert Walenciak



Bohaterowie afery karabinowej u marszałka Sejmu Józefa Oleksego, 17 października 1993 r.

To było jak grom z jasnego nieba. 10 marca 1992 r. we Frankfurcie nad Menem policja niemiecka, na wniosek służb amerykańskich, aresztowała sześciu Polaków. Przyjechali do Frankfurtu negocjować sprzedaż 40 tys. sztuk karabinków AK produkcji radomskiego Łucznika. Kontrakt, wydawało się, leżał niemal na stole. Okazało się, że wszystko było prowokacją amerykańskich służb specjalnych. Polacy zostali zatrzymani, trafili do aresztu deportacyjnego, a po paru miesiącach przetransportowano ich do Nowego Jorku. Tam byli traktowani jak przestępcy, jednak zostali przez sąd uniewinnieni. Do kraju wrócili 17 października 1993 r.

Tak, w największym skrócie, wyglądała afera karabinowa, jeden z największych skandali początków III RP. Kiedy na własnej skórze przekonaliśmy się, jak potrafią działać Amerykanie i jak nie potrafi działać państwo polskie.

•

Początek afery sięgał 1991 r., kiedy dopiero co powstała III RP zamykała kolejne zakłady przemysłowe, wyrzucając tysiące ludzi na bezrobocie. Na krawędzi upadku stanął też Łucznik. Zakłady straciły rynek wschodni, polskie wojsko weszło w tryb zwijania się. W takiej atmosferze przybył do Polski amerykański handlarz bronią Ronald Hendron. Chciał kupić 40 tys. karabinków AKMS, czyli nowszej wersji AK-47. Miał licencję na handel bronią i certyfikat ostatecznego użytkownika EUC rządu Filipin.

Hendron rozmawiał najpierw z dyrektorami Cenzinu o karabinkach AKMS, a także o granatnikach i rakietach. Potem trafił do Łucznika. Taki oferent dla zakładów, które zwalniały ludzi, był jak św. Mikołaj.

Rozmowy posuwały się szybko. 23 stycznia 1992 r. podpisano w Warszawie umowę między Zakładami Metalowymi Łucznik a Ronaldem Hendronem, reprezentującym firmę IBC i działającym w imieniu firmy Armscorp, będącej podobno własnością rządu Filipin, na dostawę 40 tys. sztuk karabinków AKMS. Gdy wybuchła afera, w kwietniu 1992 r. ambasada Filipin w Warszawie „notą werbalną" oświadczyła, że dokumenty, którymi posługiwał się Hendron, były fałszywe.

Ale wróćmy do pierwszych rozmów. Już 20 lutego 1992 r. na wniosek Zakładów Metalowych Łucznik Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą wydało pozwolenie na eksport zakontraktowanych karabinków. To oznaczało, że wicedyrektor Łucznika Rajmund Szwonder działa oficjalnie, z upoważnienia rządu. Kolejne rozmowy miały się odbyć we Frankfurcie 7-10 marca.

Przybyła na nie ósemka Polaków: dwóch dyrektorów Cenzinu, Tadeusz Koperwas i Zbigniew Tarka, wicedyrektor Rajmund Szwonder oraz pięciu obywateli polskich reprezentujących firmę ATS, współpracującą z Łucznikiem przy kontrakcie – Wojciech Barański, Jan Górecki, Jerzy Napiórkowski, Jerzy Brzostek i Zbigniew Grabowski. Wśród nich najbardziej znany był Wojciech Barański, generał broni Wojska Polskiego, były zastępca szefa Sztabu Generalnego WP, były szef Głównego Zarządu Szkolenia Bojowego, były prezes Legii Warszawa i ambasador na Kubie.

We Frankfurcie byli też Rosjanie. Oni z kolei oferowali samoloty MiG-29 oraz zestawy przeciwlotnicze Strieła. Hendronowi z kolei towarzyszyli inni kupcy, jak później się okazało – agenci amerykańskich służb celnych.

Rozmowy toczyły się więc w trzech różnych grupach – Cenzinu, Łucznika i Rosjan. 10 marca Łucznik podpisał ostateczny kontrakt. Wtedy wkroczyła niemiecka policja i aresztowała szóstkę Polaków. Rosjan nikt nie ruszał i nigdy nie dowiedzieliśmy się dlaczego. A dwóch pracowników Cenzinu, którzy negocjowali inny kontrakt, zostało wypuszczonych następnego dnia.

eprasa.pl 4360eb2774

11 marca sąd okręgowy w Nowym Jorku wydał nakaz aresztowania szóstki Polaków. I na tej podstawie Stany Zjednoczone wystąpiły do Niemiec z wnioskiem o ich areszt deportacyjny. Ale to nie znaczy, że Niemcy byli tym wnioskiem zaskoczeni. Już 25 lutego 1992 r. w prokuraturze we Frankfurcie doszło do spotkania nadprokuratora Noeringa, przedstawiciela Krajowego Urzędu Kryminalnego Hesji – Beera i dwóch amerykańskich agentów służb celnych. Ci poinformowali Niemców o planowanej operacji i uzyskali zapewnienie pomocy.

Co warte zauważenia, Niemcy po zatrzymaniu szóstki Polaków nie poinformowali polskiego konsulatu. Nasi konsulowie dowiedzieli się o sprawie dopiero 20 marca prywatnymi kanałami.

•

Drugi etap sprawy to kompromitacja Polski. Amerykanie szybko przedstawili światu swoją wersję wydarzeń. Ogłosili, że w wyniku operacji agentów celnych zostali złapani na gorącym uczynku handlarze bronią, którzy chcieli sprzedać karabinki AKMS Irakowi, w tym czasie objętemu sankcjami ONZ. Amerykanie twierdzili, że Polacy dopuścili się złamania sześciu artykułów amerykańskiej ustawy o kontroli eksportu broni, za co grozi kara od 5 do 47 lat więzienia. Twierdzili też, że Polacy doskonale wiedzieli, że broń popłynie nie na Filipiny, lecz do Iraku – podczas negocjacji jeden z agentów miał im mówić, że broń będzie sprawdzana przez irackich inspektorów przed jej eksportem do Iraku. I że certyfikaty filipińskie są fałszywe. To były mizerne dowody na potwierdzenie zarzutów grożących nawet 47 latami więzienia, ale…

W Polsce tymczasem panowała cisza. Działo się to w okresie rządów Jana Olszewskiego, więc stosunki z USA i marzenia o wejściu do NATO były dla tamtej ekipy najważniejsze. Na tym, żeby nie narazić się Amerykanom, zależało również prezydentowi Lechowi Wałęsie, późniejszej premier Hannie Suchockiej i jej partii Unii Demokratycznej. Dziecinny podziw dla Ameryki oraz wiarę, że zawsze postępuje słusznie i uczciwie, możemy też zauważyć w wystąpieniu wiceministra Roberta Mroziewicza 16 grudnia 1992 r., gdy przedstawiał w Sejmie sytuację aresztowanych w aferze karabinowej.

Był jeszcze jeden element – w kontrakt zaangażowana była spółka ATS, którą opisywano jako nomenklaturową. Nowa solidarnościowa władza nie miała specjalnej ochoty bronić ludzi z PZPR. Ale ochotę mieli robotnicy z Radomia. Tam szybko powstał Komitet Obrony Szwondera, który zaczął organizować demonstracje w Warszawie, przed ambasadami USA i RFN, oraz zbiórki pieniędzy na obrońców. „Siedzi w więzieniu, bo chciał, by ludzie mieli pracę", wołano. Emocje więc rosły – zwłaszcza po tym, jak Szwonder latem 1992 r. dostał w niemieckim więzieniu zawału serca. Ostatecznie nie przekazano go stronie amerykańskiej, a w marcu 1993 r. został przez niemiecki sąd zwolniony. Na Okęciu witały go tłumy.



Załoga Łucznika oczekuje na przylot Rajmunda Szwondera. Okęcie, 24 marca 1993 r.

Jego towarzysze niedoli od listopada 1992 r. przebywali w Nowym Jorku. W więzieniu.

•

Ale to już był inny etap sprawy. Wiara w uczciwą Amerykę odeszła w przeszłość. Polacy domagali się od rządu, by przestał podziwiać amerykański wymiar sprawiedliwości i wziął się do obrony polskich obywateli, którzy padli ofiarą obcej prowokacji. W sprawę zaangażowała się amerykańska Polonia, wysyłając tysiące listów.

Polaków w kraju rozjuszyły zdjęcia piątki oskarżonych prowadzonych w kajdankach jak niebezpieczni bandyci. Pojawiały się pytania: czy prowokacja była elementem amerykańskiej gry o kontrolę nad rynkiem broni, czy chodzi o likwidację polskiej zbrojeniówki? Czy agenci celni mieli prawo oszukać Polaków i zastawić na nich pułapkę? Mecenas Drezin, którego Polska wynajęła do obrony piątki zatrzymanych, argumentował, że służby USA naruszyły amerykańsko-polski traktat celny, nie zawiadamiając naszego urzędu celnego o planowanej prowokacji wobec polskich obywateli.

Coraz częściej zarzucano rządowi bezczynność. Głośno mówili o tym adwokaci amerykańscy i niemieccy wynajęci do obrony Polaków. Senator Zbigniew Romaszewski pytał, gdzie w całej sprawie były polskie służby specjalne. Dlaczego nie chroniły transakcji ani nie sprawdziły Hendrona?

•

Sprawa stawała się dla Amerykanów kłopotem. Cel osiągnęli – przestraszyli świat przed kontaktami z Saddamem Husajnem. Ale teraz zaczęły pojawiać się koszty. Dowody oskarżenia też nie wytrzymywały konfrontacji. Zwłaszcza że piątka oskarżonych nie dała się złamać. W wypowiedziach dla mediów twardo stała przy swoim. „Cały czas była mowa o Filipinach i takie dokumenty były na stole", powtarzali.

16 sierpnia 1993 r. rozpoczął się proces. Tym razem w sprawę zaangażowany był rząd RP, który skierował do sądu *memorandum amicus curiae*. 15 października prowadzący sprawę sędzia Nickerson po zakończeniu przesłuchań wydał ławie przysięgłych instrukcję, by uwzględniła część wniosków z polskiego memorandum. Ława uniewinniła Polaków.

17 października wrócili do kraju. Na lotnisku tłumnie witali ich pracownicy Łucznika. Byli też sekretarz prasowy premier Suchockiej Zdobysław Milewski, dyrektor MSZ Władysław Klaczyński i gen. Wojciech Jaruzelski.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, PAP/TEODOR WALCZAK

eprasa.pl 4360eb2774



Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Czy leci z nami pilot?

Są wreszcie powody do optymizmu: nasz kanon powszechnej, niewymuszonej mądrości poszerzył swoje granice. Do medycyny i piłki nożnej dołączyła geopolityka. Trudno już policzyć jej znawców. Tak bywa – największą karierę robią słowa, które nie mają żadnego konkretnego znaczenia. Można za ich pomocą wykonywać tragikomiczne figury i wciąż być na fali.

Ale uwaga – z myśleniem jest podobnie jak z gotowaniem: pomieszać można wszystko, tylko nie zawsze coś z tego wychodzi. Słucham i zastanawiam się: czym jest geopolityka? Magiel polityczny, obserwacje historyczne, wróżenie z fusów. Sporo chwytów propagandowych, ale to normalne, geopolityka jest częścią ideologii. Pojęcie „przestrzeni życiowej", które pokochali naziści, było projekcją politycznych obsesji, a nie elementem prawdy o świecie.

Mapy, najlepiej studiować mapy. A jednak im dłużej to robimy, w tym głębszą możemy popaść konfuzję. Mapy nieustannie się zmieniają. Nie zapomnijmy – każde stulecie miało swoje własne mapy. W tym miejscu nasuwa się ciekawe i ważne pytanie: jaki sens mają zmiany na mapach? W jakich relacjach pozostają dwie siostry – historia i geografia? Jeden z patronów geopolityki, Halford Mackinder, twierdził, że historia jest „pochodną" geografii. Na pewno?

Mapy Europy stanowią przypadek szczególny, tu ruch jest największy. Półkula zachodnia? Popatrzmy: granice stoją tam w miejscu. Na naszym kontynencie – nieustanne wstrząsy i zamęt. Może właśnie tu – jak rzec można, odwracając tezę Mackindera – geografia jest tyranizowana przez historię?

Na przykład Napoleon, jakaż dezynwoltura, jaka fantazja! Na mapy nie zwracał specjalnej uwagi, interesowały go idee. Nie wdawał się w żadne przyziemne kalkulacje, wierzył w moc przeznaczenia. Planując wyprawę na Moskwę, wyjawił adiutantowi: „Czuję się popychany w kierunku jakiegoś nieznanego celu". Wschód go fascynował. „Europa to kretowisko – mówił – wielkie imperia i wielkie rewolucje istniały tylko na Wschodzie". W 1812 r. nie pomyślał nawet, że w Rosji może padać śnieg. Nic nie interesowało go bardziej niż własne pragnienia. Czy historia może się powtarzać? Iluż to Napoleonów stoi dziś w letnich mundurach, gotowych do drogi?

A my? No cóż, drążymy w kretowisku swoje tunele. Nasi rządzący niespecjalnie przypominają Napoleona, ale w lekceważeniu realiów przestrzeni być może mu dorównują – żyjemy w klimacie wyprawy na Moskwę. Geopolitykę zastępują obsesje. Czego tu się bać? Na koń! Chochoły polskiej polityki są z nami. Rozkoszujemy się antygeopolityką: żyjemy, nie patrząc na mapę. Nasza najbliższa rodzina to Amerykanie.

Z pozoru wszystko jest oczywiste – jesteśmy w NATO. Nasze natchnienia i spazmy nadziei mają jednak więcej wspólnego z religijną egzaltacją niż z polityką. Przeczytajmy uważnie słynny art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Mówi on, że każda ze stron „udzieli pomocy Stronie lub Stronom napadniętym, podejmując niezwłocznie, samodzielnie, jak i w porozumieniu z innymi Stronami, działania, jakie uzna za konieczne, łącznie z użyciem siły zbrojnej". Zauważmy, wszystkie państwa zachowują prawo do indywidualnych decyzji. Skąd nasza wiara, że w razie konfliktu hufce anielskie przybędą nam z natychmiastową pomocą? Zwłaszcza w czasach, gdy Stany Zjednoczone odwracają się do NATO bokiem (a może plecami?).

Żyjemy, nie patrząc na mapę. Nasza najbliższa rodzina to Amerykanie.

No dobrze, nic nie przebije jednak absurdu związanego z planami magistrali wodnej łączącej Bałtyk z Morzem Czarnym. Urojenia zastępują nam marzenia. W sierpniu poziom wody w Wiśle na wysokości Warszawy wynosił 5 cm. Wyobraźmy sobie nasz triumf woli: szeregi patriotów ciągnących barki po piaszczystym dnie rzeki. Sanie na piasku – to jest nasza „geopolityka"?

Nasze geopolityczne marzenia? Zawsze (wyłączając kresowe nostalgie) chcieliśmy być jak najbliżej Zachodu. Postanowienia jałtańskie łączyły elementy zewnętrznych interesów i zewnętrznej siły, ale czy nie dzięki nim znaleźliśmy się bliżej bram raju? Uczulał nas kiedyś Machiavelli: wielki paradoks świata polega na tym, że zło staje się nierzadko początkiem dobra (i odwrotnie). Chcielibyśmy odwrócić konsekwencje Jałty? Jeśli nie, to pomyślmy – granice są zawsze obrazem pewnego układu sił. Naszych granic nie wymyślono w Akademii pana Kleksa. Czy coś z tego wynika?

Tak w ogóle bądźmy czujni. Przed I rozbiorem nie mieliśmy map z prawidłowo naniesionymi granicami, ułatwiało to bardzo działania naszych wrogów. Poważne prace kartografów ruszyły dopiero w 1780 r. Mogliśmy przegapić nasze własne istnienie.

Na końcu powracam do uwag bardziej optymistycznych. Ostatnimi czasy jedna z naszych cnót – cierpliwość – świeci szczególnym blaskiem. Stoimy na peronie, czekając na pociąg, który już odjechał. Na naszych oczach zmienia się postać świata. A my co? A my jak zawsze. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4360eb2774

Przyjaciółka warta miliony

Za rządów PiS pieniądze wpadały do kieszeni Małgorzaty Raczyńskiej-Weinsberg jak zaczarowane

Andrzej Sikorski



Małgorzata Raczyńska przedstawia się jako wybitna dziennikarka i działaczka antykomunistyczna.

Ujawniony przez „Newsweek" mechanizm wyprowadzania pieniędzy z banku Pekao i z PZU na tzw. doradców zarządu był wyjątkowo bezczelny. Grupa cwaniaków zarabiała miliony złotych, nie wykonując żadnej pracy. Wśród nich znalazła się Małgorzata Raczyńska-Weinsberg, zaufana Jarosława Kaczyńskiego. Według ustaleń dziennikarzy Raczyńska w Pekao pracowała fikcyjnie od kwietnia 2022 r. do końca 2023 r. i przez ten czas zarobiła gigantyczną kwotę 3,3 mln zł. Natomiast w PZU przez 22 miesiące rzekomej pracy (od 1 lipca 2021 r. do 24 października 2023 r.) udało się jej wyciągnąć ponad 1,6 mln zł. Czyli w sumie Raczyńska obłowiła się na prawie 5 mln zł.

Kradzieżą (bo jak inaczej nazwać taki proceder?) zajmuje się już prokuratura, a trefna „doradczyni" twierdzi, że formułowane wobec niej zarzuty to „bezprecedensowy atak naruszający jej dobre imię" i „bezpodstawne oszczerstwa, których celem może być próba wyeliminowania jej z życia publicznego". Raczyńska nie wyjaśniła jednak, w jaki sposób mogłaby doradzać prezesom Pekao i PZU. Nie ma bowiem bladego pojęcia o bankowości ani ubezpieczeniach, bo z wykształcenia jest polonistką ze specjalizacją nauczycielską, a dotychczas pracowała w szkole (była nauczycielką języka polskiego w technikum elektrycznym w podwarszawskiej Zielonce) i w mediach jako tzw. dziennikarka, choć jej misja nie była najwyższych lotów.

Może to się wydawać szokujące, ale brak stosownego wykształcenia i doświadczenia nie był też przeszkodą w zatrudnieniu Raczyńskiej w 2020 r. we władzach firmy Lotos Geonafta, litewskiej spółki córki gdańskiego koncernu Lotos, zajmującej się poszukiwaniami i wydobyciem ropy naftowej. Jako pracownica Geonafty Raczyńska dorabiała w Polskim Radiu, gdzie przeprowadzała wywiady dotyczące fuzji Orlenu i Lotosu. Jej rozmówcami byli prezes Lotosu Paweł Majewski, prezes Orlenu Daniel Obajtek i minister aktywów państwowych Jacek Sasin. Taką działalność można uznać za konflikt interesów, bo Raczyńska udawała niezależną dziennikarkę, a jednoczenie pobierała wynagrodzenie z Lotosu.

Talent do wynajdowania protektorów

Małgorzata Raczyńska nie byłaby tym, kim jest, gdyby nie znajomość z Jadwigą Kaczyńską, którą poznała w kościele na warszawskim Żoliborzu. „Przyjaźnię się z panią Jadwigą Kaczyńską. Cieszę się zawsze, kiedy mogę z nią porozmawiać. Każdy, kto poznał panią Jadwigę, wie, o czym mówię. Z sympatią i szacunkiem odnoszę się także do panów Kaczyńskich. (...) Znamy się głównie z kościoła. Z czasów, kiedy byliśmy na marginesie życia politycznego. (...) Spotykaliśmy się w kościele i rozmawialiśmy o bardzo różnych sprawach", mówiła „Życiu Warszawy" (lipiec 2006).

Według plotek Raczyńska specjalnie jeździła do Kościoła św. Stanisława Kostki, wiedząc, że uczęszcza tam Jadwiga Kaczyńska; klękała obok matki prezesa PiS i w ten sposób panie się zaprzyjaźniły. A jak wiadomo, dla braci Kaczyńskich matka była najważniejszą osobą w życiu i byliby w stanie zrobić dla niej

eprasa.pl 4360eb2774



Z Jarosławem Kaczyńskim na miesięcznicy smoleńskiej, 10 grudnia 2025 r.

dosłownie wszystko. To pani Jadwiga omawiała z Jarosławem i Lechem ich decyzje, także te polityczne, a jej opinia o ludziach była dla bliźniaków istotna.

Małgorzata Raczyńska przedstawia się jako wybitna dziennikarka i działaczka antykomunistyczna. Karierę zaczynała w latach 80. w Radiu Wolna Europa, gdzie przez wiele lat była korespondentką w Monachium i w Nowym Jorku. Pracę załatwił jej słynny bard Solidarności Jacek Kaczmarski, z którym rzekomo znała się jeszcze z czasów, gdy mieszkała w Polsce. W USA miała się spotykać z kongresmenami, objaśniając im tajniki propagandy PRL. Dostała nawet propozycję stażu w NBC.

Jak było naprawdę, napisała Luiza Zalewska w demaskatorskim tekście „Raczyńska – z serca Rywinlandu do kariery w IV RP", opublikowanym w „Dzienniku" (listopad 2007). W opowieściach Raczyńskiej było wiele kłamstw i nieścisłości. W USA przebywała, ale w innym czasie, niż deklarowała, nie spotykała się z kongresmenami ani nie dostała propozycji stażu w amerykańskiej telewizji. Kaczmarskiego poznała nie w Polsce, lecz na koncercie w Stuttgarcie, gdzie sprzedawała bilety. Po koncercie zaprosiła artystę i towarzyszącego mu dziennikarza Radia Wolna Europa Wiesława Wawrzyniaka na domową imprezę. To Wawrzyniak załatwił Raczyńskiej pracę, bo rozgłośnia akurat poszukiwała ludzi do przepisywania tekstów. W RWE Raczyńska była maszynistką, a potem spikerką, a do jej zadań należało czytanie depesz przygotowywanych przez dziennikarzy.

„Była tylko spikerką i choć bardzo chciała zostać dziennikarzem, nigdy nie udało jej się pokonać tego progu. Był zbyt wysoki. To dziennikarskie zero. Cwaniaczka i karierowiczka, szalenie sprytna (…). Ale zawodowo zawsze była zerem", mówił o Raczyńskiej Aleksander Świeykowski, były wieloletni dziennikarz RWE, a potem senator.

W USA też nie została dobrze zapamiętana. „Młoda panienka o bardzo ładnej buzi, bardzo złej figurze, która miała duży talent do wynajdowania protektorów", wspominał Jerzy Bekker, szef nowojorskiej sekcji RWE.

Kręte drogi hrabianki

Okazuje się, że Małgorzata Raczyńska zmyśliła nawet nazwisko. Jeszcze w latach 80. nazywała się Kocznorowska, ale gdy nawiązała współpracę z RWE, chciała dodać sobie niepodległościowego prestiżu i przyjęła pseudonim Raczyńska po Edwardzie Raczyńskim, przedstawicielu szlacheckiego rodu i prezydencie Polski na uchodźstwie. Wywołało to zdumienie, a nawet złośliwe komentarze wśród pracowników RWE. Z czasem, aby uwiarygodnić swoje pochodzenie, Kocznorowska sprawiła sobie sygnet z herbem rodziny Raczyńskich, który nosiła na serdecznym palcu lewej ręki.

Po rozwiązaniu RWE Raczyńska pracowała w TVP, Polskim Radiu, spółce Easy Net (gdzie jej szefem był syn Lwa Rywina), regionalnym Radiu dla Ciebie, Radiu Polonia, w warszawskim ratuszu jako doradczyni prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a nawet w Najwyższej Izbie Kontroli.

W 2005 r. za wstawiennictwem Danuty Waniek, ówczesnej przewodniczącej KRRiT, została wiceszefową publicystyki Jedynki w Telewizji Polskiej. Szybko jednak zerwała znajomość z polityczką lewicy – zmieniła się władza i Raczyńska uznała, że Waniek już nie jest jej potrzebna. Zdruzgotana takim zachowaniem Waniek długo nie mogła dojść do siebie.

W Pekao i PZU grupa cwaniaków zarabiała miliony złotych, nie wykonując żadnej pracy. Wśród nich znalazła się Małgorzata Raczyńska-Weinsberg.

W 2006 r. nastąpił przełom w karierze Raczyńskiej. Dzięki protekcji braci Kaczyńskich dostał jej się stołek dyrektora TVP 1. Na czele TVP stał wówczas Bronisław Wildstein. Już po kilku miesiącach prezes TVP miał dość swojej dyrektorki. Zarzuty były poważne: brak koncepcji programowej, skłócanie zespołu, blokowanie decyzji, spadek oglądalności, w tym porażka nowego pasma publicystycznego „Nie ma przebacz". Czarę goryczy miało przelać to, że po odwołaniu z rządu Andrzeja Leppera TVP 1 nie przerwała programu, a informacja o tym pojawiła się dopiero po ponad dwóch godzinach, w ostatnich wieczornych „Wiadomościach".

FOT. STACH ANTKOWIAK/REPORTER

eprasa.pl 4360eb2774

Oburzony Wildstein mówił potem, że „musi opierać się na kompetentnych pracownikach”, ale „jak widać współpracuje z nieodpowiednimi ludźmi”, i zapowiedział „konsekwencje służbowe” wobec Raczyńskiej. Nic z tego nie wyszło, za ulubienicą swojej mamy wstawił się Jarosław Kaczyński, a Raczyńska udała się na wielomiesięczne zwolnienie lekarskie. Wyzdrowiała, dopiero gdy Wildstein został odwołany, a jego miejsce zajął Andrzej Urbański, były szef kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

400 tys. zł odprawy

Raczyńska pożegnała się z TVP dopiero w marcu 2008 r. W mediach krążyły informacje o horrendalnej odprawie, którą trzeba będzie jej zapłacić. Michał Ogórek w prześmiewczym felietonie w „Gazecie Wyborczej” tak skomentował sytuację: „Polska zastanawia się, skąd wziąć 432 tys. zł na odprawę dla Małgorzaty Raczyńskiej, by przestała kierować programem w telewizji. PiS stoi na stanowisku, aby złożyli się na to – tak jak dotychczas – emeryci, renciści i osoby trwale niezdolne do pracy, przesyłając Raczyńskiej te kwoty jak zwykle przekazem pocztowym w ramach abonamentu. PO chce jej za to ulżyć w ten sposób, aby po zwolnieniu jako emeryt, rencista i osoba trwale niezdolna do pracy nie musiała z kolei sama płacić abonamentu na swoich następców w telewizji. Zwraca się jednak uwagę, że na razie w polskim systemie prawnym opłaty za odprawę Małgorzaty Raczyńskiej z telewizji są dla każdego obywatela obowiązkowe, tak jak za wywóz śmieci”.

Odchodząc z TVP, Raczyńska była już ustawiona finansowo na wiele lat i nie musiała przejmować się pracą. W 2011 r. kandydowała bez sukcesu do Sejmu z listy PiS, reklamując się hasłami „kompetencja” i „zdrowy rozsądek”. Zapowiadała bezwzględną walkę z korupcją i nepotyzmem, co w jej przypadku było bezczelnością. Jarosław Kaczyński nie zostawił przyjaciółki matki na lodzie. Powierzył jej rolę gwiazdy partyjnej telewizji internetowej.

Raczyńska przeprowadzała wywiady z politykami PiS. Rozmówcom nie zadawała trudnych pytań, zdarzało się, że sama przejmowała inicjatywę i wyręczała swoich gości. Nie jest więc dziwne, że wywiady nie cieszyły się popularnością. Rozmowa z Mariuszem Błaszczakiem na YouTubie wyświetlona została 250 razy, a z Ryszardem Czarneckim 170 razy.

W 2014 r. gruchnęła wiadomość, że Raczyńska została kierowniczką polskiego biura Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, frakcji w Parlamencie Europejskim, do której przynależy PiS. Media informowały, że pracownicy biur nie są urzędnikami unijnymi, opłaca ich grupa polityczna, ale konta mają w bankach brukselskich, a wypłatę w euro. „Spotkaliśmy się na posiedzeniu rady politycznej w Rybniku, jeszcze przed wyborami uzupełniającymi do Senatu. Pani Raczyńska zaproponowała, żebyśmy wspólnie zastanowili się nad promocją grupy i wykorzystaniem możliwości biura. Myślę, że powinniśmy promować europejskie idee św. pamięci Lecha Kaczyńskiego”, mówił Andrzej Duda, wówczas europoseł PiS.

Krzewienie europejskich idei zmarłego prezydenta nie było chyba zbyt ambitnym zajęciem, bo wiosną 2016 r. Raczyńska została doradcą zarządu TVP do spraw programowych, a gdy kilka miesięcy później Jacka Kurskiego na chwilę odwołano ze stanowiska prezesa TVP, zgłosiła swoją kandydaturę. Jednak Jarosław Kaczyński miał inne plany, bo upolityczniona Rada Mediów Narodowych odrzuciła jej aplikację. I bardzo dobrze, bo nawet jako prezeska TVP Raczyńska nie dostałaby 5 mln zł za nicnierobienie.

Andrzej Sikorski

LIST

Włącz myślenie

Doganiamy czy nas gonią? To pytanie skierowane do decydentów na 2026 r. wynika z treści, jakie generują stacje telewizyjne. Propaganda sukcesu przerosła okres PRL. Konia z rzędem temu, kto, oglądając programy telewizyjne, rozumie, w co grają i dokąd zmierzają „strony polityczne”. Smutne refleksje budzą ludzie idący 11 listopada z racami i głośno manifestujący patriotyzm czy wycie przez kibiców hymnu państwowego przed meczem. Jest to swoisty przejaw patriotyzmu części społeczeństwa w postaci fobii przeciw wszystkiemu, co inne od wzorca akceptowanego przez nich, i działanie tłumu jak w ustawce. Działania takie są całkowicie sprzeczne z chrześcijańską miłością bliźniego, którą tak szeroko się propaguje.

Dziwne jest, że dotychczas nie opisano sukcesów Polan w wyprawach krzyżowych. Świadczyć to może o poziomie edukacji sukcesorów. Potwierdzają ten stan treści w książce „Wielkie dziedzictwo Polaków”, gdzie napisano: „Książki Tokarczuk ukazują Polskę kołtuńską, zakompleksioną, ksenofobiczną i antysemicką”. Jeżeli nie potrafimy uszanować naszej noblistki, to znaczy, że nie szanujemy siebie. Szacunek do siebie i ojczyzny jest oparty na wspólnej znajomości historii i kultury jako narodowego wyróżnika. Niestety, „historycy” przedstawiają coraz to nowe „wersje”, a kultura rozbija się już na poziomie walki politycznej o kanon lektur szkolnych. Powoduje to coraz głębsze podziały w społeczeństwie oraz postawy kosmopolityczne i nacjonalistyczne, szczególnie wśród młodych.

Życząc decydentom zdrowia i sił do pracy dla dobra wspólnego, dołączam do życzeń fragment z Jana Kochanowskiego: „Wy, którzy Pospolitą Rzeczą władacie, / A ludzką sprawiedliwość w ręku trzymacie; / Wy, mówię, którym ludzi paść poruczono / I zwierzchności nad stadem Bożym zwierzono, / Miejcie to przed oczyma zawżdy swojemi, / Żeście miejsce zasiedli Boże na ziemi, / Z którego macie nie tak swe własne rzeczy / Jako wszytek ludzki mieć rodzaj na pieczy”.

Pamiętajcie – słowa nie ustrzegły Rzeczypospolitej szlacheckiej przed „ostatecznym upadkiem” m.in. przez nadużywanie weta w interesach partykularnych.

Zbigniew Milewski

eprasa.pl 4360eb2774



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Amerykańska lekcja

Przeczytałem książkę Arlie Russell Hochschild „Skradziona duma. Strata, wstyd i triumf prawicy". Jak zwykle w przypadku tej autorki, wybitnej amerykańskiej socjolożki, rzecz jest ciekawa. Hochschild zastanawia się, co się dzieje z Ameryką i dlaczego do władzy doszedł Donald Trump. Nie będę tutaj książki streszczał ani dokładnie omawiał. Zamiast tego chciałbym się zastanowić, jakie nauki z jej lektury mogą płynąć dla nas. Pierwsza i zasadnicza: ludzie często głosują wbrew swoim interesom materialnym.

Fenomen ten budzi szczególne zainteresowanie autorki, stanowi bowiem wyzwanie dla głównego nurtu socjologii czy politologii, który ma skłonność do tego, by pod wpływem sławnego dictum Marksa: „Byt kształtuje świadomość" identyfikować preferencje wyborcze poprzez analizę położenia ekonomicznego wyborców. Opisywani przez autorkę wyborcy Trumpa, pochodzący z najbiedniejszego regionu USA (Kentucky, Wirginia Zachodnia) „biali bidocy", głosują na niego, choć łatwo się zorientować, że jego polityka służy najbogatszym, a nie im. W tym sensie wspieranie Trumpa przez najbiedniejszych Amerykanów wydaje się absurdalne. Podobnie jak związane z tym potępianie państwa za to, że chce im pomóc. Jeśli więc nie decydują interesy, to co?

Retoryka. Język. Symbolika. Odwoływanie się do emocji, a nie do rozumu. Widać wyraźnie, jak funkcjonalne wobec rządów miliarderów okazują się teraz amerykańskie mity: o tym, że każdy jest kowalem swojego losu, że ciężka praca musi prowadzić do sukcesu materialnego, że liczy się przede wszystkim niezależność, w tym od państwa. Wiara w amerykański sen. Z książki Hochschild wyłania się smutny obraz ludzi, którzy mimo swoich fatalnych doświadczeń walki o sukces w tragicznej sytuacji ekonomicznej, na którą nie mieli wpływu (gwałtowna dezindustrializacja), skłonni są zawsze winić za porażkę siebie, a nie system. Jak mówią Amerykanie: „Drapią się nie tam, gdzie swędzi". Można ich przekonać do swojego stanowiska politycznego, po prostu zauważając ich istnienie. To właśnie zrobił Trump. Przywrócił im elementarną dumę tylko dzięki temu, że zwrócił się do nich i wskazał winnych ich żałosnego położenia: elity waszyngtońskie.

Oczywiście nie są one bez winy. Jednak pachnie to poszukiwaniem kozła ofiarnego, którego wskazanie ma skanalizować gniew i wściekłość przegranych. Pod ręką są też inni: Żydzi, czarni i imigranci. A także geje i lesbijki. W ten sposób odwraca się uwagę od faktycznych przyczyn zła. Od systemu: brutalnego i skrajnie niesprawiedliwego turbokapitalizmu w wydaniu amerykańskim. Paradoks polega na tym, że jego najwięksi przegrani są zarazem jego najżarliwszymi obrońcami.

Jakie lekcje z całej tej historii wypływają dla nas? Pierwsza i podstawowa: chcesz odnieść sukces polityczny, dostrzeż dotąd niedostrzeganych. Obdarz szacunkiem i uznaniem dotąd pogardzanych. Przywróć honor upokorzonym. Choć nie jesteś w stanie od razu im pomóc, to chociaż mów do nich, rozmawiaj.

Lekcja ta powinna zostać przerobiona zwłaszcza przez lewicę społeczną. Stosunkowo dobrze radzi sobie ona z przywracaniem dumy osobom nieheteronormatywnym czy z prawami kobiet. Mam jednak wątpliwości, czy to samo dotyczy dawnej klasy robotniczej, porzuconej i zdradzonej po 1989 r. Mieszkańców średnich i małych miast, które do dziś nie mogą się podnieść po transformacji. Wiosek popegeerowskich. Tych, którzy do dziś noszą w sobie ślad upokorzenia, jakie musieli przeżyć, będąc zwalniani z pracy w latach 90., ignorowani, a czasami wręcz wyśmiewani wedle przekonania, że są złogami starego porządku, ludźmi pozbawionymi mitycznych kompetencji kapitalistycznych, przeszkodą w budowaniu nowego, wspaniałego świata. Dziś są to osoby często nieźle sobie radzące w sferze materialnej, ale wciąż czujące żal i urazę. Przywrócenie im dumy i szacunku dla samych siebie powinno stanowić jedno z głównych zadań lewicy społecznej w Polsce.

Takich ludzi nie ma zbyt wielu w Warszawie, Gdańsku, Krakowie czy Poznaniu, w wielkich miastach, które dobrze sobie poradziły w nowej rzeczywistości. Ale jest ich wielu w Inowrocławiu, Grudziądzu, Włocławku czy Łapach. A także w małych miasteczkach i na wsi. Dlatego martwi mnie, że dzisiejszymi wyborcami lewicy są przede wszystkim młodzi mieszkańcy wielkich miast. Z jednej strony to dobrze, że w ogóle są, ale z drugiej pokazuje to, że lewica nie szuka tam, gdzie powinna. Że oddała niemal bez walki swój potencjalnie największy elektorat: kiedyś zrozpaczonych, a dziś nadal rozżalonych mieszkańców setek miasteczek i wsi, którzy byli głównymi ofiarami transformacji i często wciąż zmagają się z jej rezultatami. Zaraz zagospodaruje ich Braun i jego partia (wcześniej zrobiło to PiS). I tak jak w przypadku Kentucky z opowieści Hochschild skieruje jego gniew na wyimaginowanych wrogów. Ukraińcy i imigranci odgrywają rolę amerykańskich czarnych: dyżurnych chłopców do bicia, przywoływanych wtedy, gdy potrzeba „złych innych", żeby zrzucić na nich odpowiedzialność za rzeczywiste lub urojone krzywdy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4360eb2774

troje na jednego

JEDEN:
STANISŁAW OBIREK
TROJE:
ADAM JAŚKOW
DOMINIKA RAFALSKA
PAWEŁ SĘKOWSKI

ZBAWIENIE JEST TYLKO POZA KOŚCIOŁEM

Fragmenty rozmowy, która ukazała się w najnowszym numerze „Zdania" (4/2025) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

(...) PAWEŁ SĘKOWSKI: Czy można powiedzieć, że tym, co najbardziej zaszkodziło polskiemu Kościołowi w posoborowej dobie, był pontyfikat Jana Pawła II? Polski papież stał się autorytetem, z którym nie można dyskutować. Jak Jan Paweł II coś powiedział, to causa finita. Czy pan się z tym zgodzi? Czy gdyby nie było polskiego papieża, to stan polskiego Kościoła byłby lepszy? I bardziej podlegałby tym wszystkim procesom, którym podlega przynajmniej część Kościoła i wiernych w innych krajach, na Zachodzie?

STANISŁAW OBIREK: Mogę to nawet gruntowniej uzasadnić. Rozmawiamy już długo i myślę, że ten długi rozbieg jest bardzo ważny, bo pozwala pokazać jednego z obywateli tego kraju, który z pewnym, może naiwnym, optymizmem złączył swoje życie z Kościołem, pełen dobrych nadziei, że w połowie lat 70. szary PRL ma alternatywę w barwnym katolicyzmie. To złudzenie było podtrzymywane bardzo mocno po 1989 r., kiedy – wpierw nieśmiało – barwy rzeczywiście zaczęły się pojawiać na polskich ulicach. I stało się coś, co dla mnie jest szczególnie przykre jako doświadczenie życiowe: że to, z czym łączyłem moje losy, ta instytucja, stała się największym hamulcowym zmian. Im bardziej ta Polska się otwierała, tym bardziej Kościół hamował.

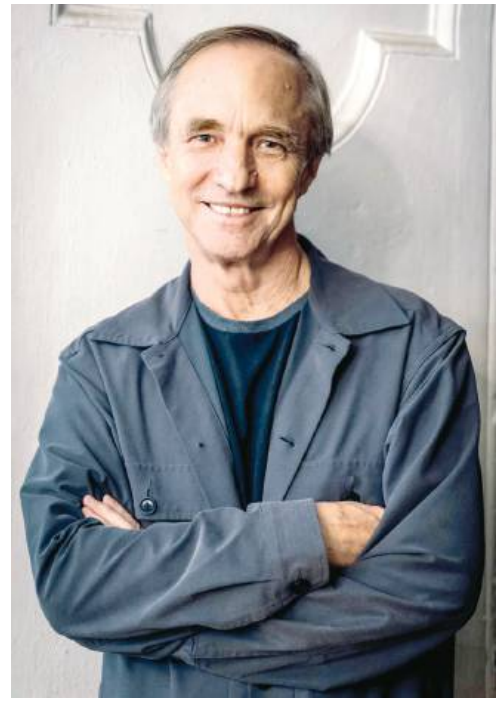
Romek Graczyk to jest dobry przykład człowieka, który jako dziennikarz „Tygodnika Powszechnego" i później „Gazety Wyborczej" bardzo poważnie potraktował nadzieję, że świat się zmienia i Kościół się zmienia. I bardzo szybko się przekonał, że jednak ze zmianami w Kościele to nie jest tak. Nie można np. krytykować Jana Pawła II, nie można wyrażać się sceptycznie o jego wzmożeniu moralnym itd. Patrząc bardzo spokojnie i z dystansem, myślę, że to jest jakiś chichot historii, że taką stała się instytucja, która w latach 60., 70., nawet 80., była kojarzona zasadnie z walką o podmiotowość, o prawa człowieka, o wolność sumienia. Myślę np. o *Dignitatis humanae*, dekrecie Soboru Watykańskiego II o wolności religijnej, o dialogu, trosce o ubogich. Tak to się wtedy mówiło.

Ale to wszystko było w Kościele bardzo systematycznie tłumione, poczynając od 1989 r. I Jan Paweł II przez swoją bardzo energiczną politykę personalną, dobór współpracowników, zarówno w dykasteriach rzymskich, jak to się dzisiaj mówi, jak i przez nominacje biskupie na całym świecie, doprowadził do wyciszenia tej zmiany, do stygmatyzowania tych wszystkich, którzy tak jak ja wierzyli, że Sobór Watykański II oznaczał kopernikański przewrót. Wcześniej mówiliśmy, dlaczego Kościół nie jest w stanie zaakceptować krytyki Jana Pawła II. Ale ten Kościół to jest jego dzieło! To on ten Kościół stworzył przez nominacje biskupie, przez właściwe uposażenie człowieka o dość marnych talentach intelektualnych, jakim jest Stanisław Dziwisz, dodał mu do towarzystwa Józefa Kowalczyka, żeby nie był samotny i obdarzył ich niezwykłą władzą nominowania na odpowiedzialne funkcje ludzi, którzy byli jeszcze słabsi intelektualnie i duchowo.

Mamy do czynienia z pewnym paradoksem. Jest na to takie ładne powiedzenie łacińskie: *corruptio optimi pessima est*. Każdy z nas może ulec takiej czy innej słabości, potknąć się, ale ktoś doskonały popsuje doskonale. Podobnie mówił Lord Acton, że każda władza korumpuje, ale władza absolutna korumpuje absolutnie. I miał na myśli oczywiście papieża, gdy ten ogłosił akt o nieomylności papieskiej. Wojtyła to był papież, który wierzył, że

eprasa.pl 4360eb2774

ma wyznaczoną przez Opatrzność misję i on tę misję konsekwentnie wykonywał. I efekt jest, jaki jest. Ja nie jestem przeciwko sekularyzacji, broń Boże, ale Kościół i biskupi polscy to są właśnie ludzie, którzy najefektywniej działają na rzecz sekularyzacji. Bo to, co oni prezentują sobą, i ten model instytucji religijnej, który oni próbują zaprowadzić, to, że posługują się ramieniem prawnym w postaci Ordo Iuris, jest znaczące. Organizacja właściwie fundamentalistyczna i wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi współfinasowana przez Kreml.



ADAM JAŚKOW: A czy to nie jest tak, że Jan Paweł II jest wytworem polskiego Kościoła? Przecież nie wziął się znikąd. Miał swoich poprzedników, którzy go ukształtowali.

OBIREK: Oczywiście, przecież to jest dziecko kard. Adama Sapiehy, „Księcia Kościoła". Można się zastanawiać, czy rekonstrukcja Ekke Overbeeka jest słuszna, ale pominięcie tego dziwnego, dwuznacznego zachowania Sapiehy wobec jego najbliższych współpracowników nie byłoby właściwe. Wiadomo, że ulubionym jego księdzem był Karol Wojtyła. Dlaczego ten aspekt nie został do końca wyjaśniony? Jakiej natury był związek między Sapiehą a Wojtyłą?

SĘKOWSKI: Myśli pan, że były tam jakieś dwuznaczności?

OBIREK: Homoseksualizm Sapiehy był dość znany w środowisku kościelnym.

SĘKOWSKI: Ale ja pytam o Karola Wojtyłę.

OBIREK: Nie wiem, czy to się nadaje do druku (ale w końcu cenzura nawet w Kościele przestała obowiązywać, więc to powiem), ale ja od pewnego jezuity słyszałem, że Wanda Półtawska leczyła swego czasu Karola Wojtyłę z homoseksualizmu. Podobno bez powodzenia. Moim zdaniem Jan Paweł II był biseksualistą. I jego flirty, romanse, jakkolwiek je nazwiemy, z kobietami wskazują na to, że jednak skupiał swoją uwagę raczej na kobietach. Pamiętam Danutę Michałowską, jakim głosem na jakimś wieczorze wspomnieniowym mówiła: „i wtedy on się pojawił na scenie…". Przecież to była kobieta po kilkudziesięciu latach zakochana w młodym Wojtyle.

JAŚKOW: Ale nawet nie wchodząc w wątek seksualnych relacji czy preferencji w tym zakresie, to na pewno Wojtyła był ideowym dzieckiem Sapiehy, wychowanym w jego poglądach.

OBIREK: Nie tylko Sapiehy. Jest doktorat Jarosława Sellina, byłego wiceministra kultury, „Żydzi i judaizm w doświadczeniu Karola Wojtyły (1920-1978)". Przeglądnąłem ten doktorat, bo miałem go recenzować, ale w końcu zrezygnowałem, bo nie znalazłem w nim nic ciekawego. Ale jeden przypis mnie zaintrygował: młody Wojtyła w liście bodajże do Mieczysława Kotlarczyka pisze, że polska kultura jest jednak za bardzo zażydzona. Tak więc i Wojtyła był „dzieckiem swojego czasu". Mówimy o człowieku, który się wyemancypował z tego antysemityzmu. Odwiedzał synagogi, spotykał się z Żydami itd. *Nostra aetate* tak naprawdę w Polsce nie była komentowana, a dialog z Żydami Karolowi Wojtyle nie był jakoś bliski, nawet jeśli wiadomo, że jeszcze jako biskup bywał w synagodze – mówił mi to sam Tadeusz Jakubowicz, przewodniczący krakowskiej gminy żydowskiej, że biskup bywał u nich w synagodze na Szerokiej.

Chociaż tutaj znowu przywołam Halinę Bortnowską, która była bardzo blisko związana z Wojtyłą i redagowała jego różne książki. I ona twierdzi, że on był jednak w duchu Soboru Watykańskiego II. Ale myślę, że kiedy został biskupem, kardynałem, papieżem, jego naczelną myślą stała się obrona dobrego imienia Kościoła. Plus oczywiście był mizoginem, bo ten jego „nowy feminizm" to była zasłona dymna, żeby nie dopuszczać kobiet do partnerskich działań w Kościele. Istotne rzeczy zawsze rozgrywały się w gronie księży.

Wojtyłę cechował skrajny klerykalizm. Jego tradycyjne, konserwatywne, fundamentalistyczne stanowisko w sprawie rozrodczości, problem *Humanae Vitae*, niewątpliwy udział Wojtyły w tym, że ona miała ostatecznie taki, a nie inny kształt – to wszystko potwierdza, że Wojtyła był bardzo określony przez polski katolicyzm. W sensie politycznym był to wpływ Sapiehy, a w odniesieniu do seksualności był to wpływ Wandy Półtawskiej. Ona była jego mistrzynią, nauczycielką. A przecież to była osoba, która się nadawała do terapii, która przeszła bardzo ciężkie doświadczenia w obozie koncentracyjnym. To przecież było dokładnie wtedy, kiedy Antoni Kępiński i Maria Orwid z całym zespołem pracowali z osobami z syndromem poobozowym (syndromem KZ). Wandę Półtawską leczył młody ksiądz Wojtyła. A on nie miał w ogóle narzędzi, żeby z taką kobietą rozmawiać. Tymczasem ona w nim znalazła partnera, a on w niej partnerkę. Przecież z tych tekstów wyłaniają się jakieś dziwaczne konstrukcje, że ona cierpiała w obozie dlatego, żeby on mógł zostać księdzem.

SĘKOWSKI: Co pan sądzi o dość rozpowszechnionym poglądzie, figurze publicystycznej, że mamy z jednej strony „dobry" Kościół Franciszka, już teraz po Franciszku, a z drugiej strony „zły" Kościół polski? Czy to nie jest zasłona dymna, która nie pozwala trafnie zdiagnozować problemów katolicyzmu jako takiego i instytucji Kościoła jako całości?

OBIREK: Zygmunt Bauman powiedział w rozmowie z Franciszkiem, że on jest dla niego takim światełkiem w tunelu.

eprasa.pl 4360eb2774

SĘKOWSKI: Pan też długo takie rzeczy pisał. W różnych tekstach, wywiadach. Łączył pan swoje nadzieje z pontyfikatem Franciszka.

OBIREK: Zgadzam się. Miałem te złudzenia. I wielokrotnie to pisałem. W dużym stopniu po to, żeby dokuczyć polskim katolikom, na ucho mogę to powiedzieć... Nawet byłem na takich spotkaniach w Kolumbii, zaproszony przez jakieś watykańskie kongregacje, i mówiłem o tym, że w Polsce Franciszek się nie przyjął. Pewnie dlatego mnie zaprosili, bo słuchali tego z zainteresowaniem. Wcześniej to oni byli prześladowani przez Wojtyłę, a teraz Franciszek nie jest dobrze widziany w Polsce. Jak przeczytałem encykliki Franciszka – *Laudato si i Fratelli Tutti*, to byłem pod ogromnym wrażeniem. W dokumencie papieskim najwyższej rangi znajdują się przypisy do literatury, do dokumentów różnych gremiów na temat ekologii. Więc to był zupełnie inny klimat niż dotąd. Natomiast patrząc na konsekwencje, na zmiany strukturalne, które szłyby za słowami, to można uznać pontyfikat Franciszka za epizod. Epizod bez wielkiego znaczenia.

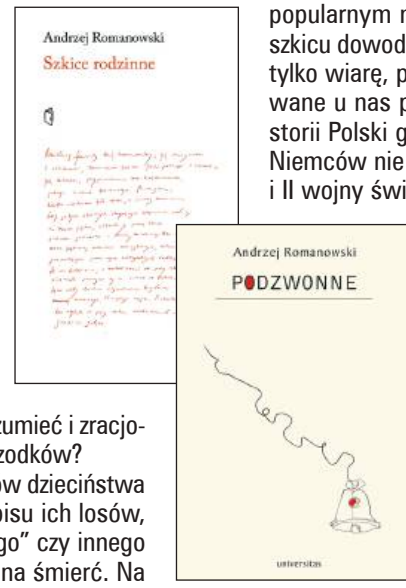
SĘKOWSKI: A może Franciszek był tak naprawdę doskonałym PR-owym produktem Kościoła na tym etapie jego historii? I tak naprawdę nic po nim nie pozostało? Te parę dokumentów jest, ale nie ma żadnej zmiany wewnętrznej w Kościele. Są wprawdzie te wszystkie tematy, o których mówiono, że nareszcie można o tym rozmawiać, ale nic w tej materii się nie zmieniło, jeśli chodzi o meritum.

OBIREK: Ze smutkiem muszę powiedzieć, że tak właśnie jest. Pontyfikat Leona XIV – te kilka miesięcy, jeszcze nie minął nawet rok – wskazuje na to, że celem nowego papieża jest uspokojenie wzburzonych wód. On chce wszystkich zadowolić. Pisze adhortacje w duchu Franciszka, a jednocześnie pozwala na mszę łacińską, żeby kard. Raymond Burke mógł sobie w tych wszystkich *cappa magna* i w rękawiczkach msze odprawiać. Powiem brutalnie: jedyna dla mnie, jako człowieka spoza instytucji, pociecha jest w tym, że ta instytucja traci po prostu jakiekolwiek znaczenie. To są coraz bardziej zabiegi wewnątrzkościelne, obsługujące różne „targety", ale wewnątrz Kościoła katolickiego. Pewnie każda instytucja tak się zachowuje. Ale np. w Polsce, która jest tą ostoją Kościoła katolickiego, ostoją dziedzictwa Jana Pawła II, faktem jest, że coraz mniej dzieci chodzi na religię. I to też jest jakiś wyznacznik tego, że ludzie swoje wiedzą. Procesy sekularyzacyjne to nie są pobożne życzenia, to są twarde dane Pew Research Center sprzed paru lat, które mówią o największym rozdźwięku, 40-procentowym bodajże, między rodzicami i dziećmi, jeśli chodzi o stosunek do religii i do praktyk religijnych. Pokolenie Z, ale często także millenialsi – im religia do niczego nie jest potrzebna. My możemy o tym dużo rozmawiać i się zastanawiać, co i jak, ale to jest trochę rozmowa o rzeczywistości, która ma wartość historyczną, muzealną.

DOMINIKA RAFALSKA: Badania pokazują, że Polacy stopniowo odchodzą od Kościoła. Czy jakaś instytucja, a może system wartości, przejęła jego rolę?

KSIĄŻKI

ROMANOWSKIEGO HISTORIE WIELKIE I MAŁE



Prof. Andrzej Romanowski niemal równocześnie wydał w dwóch różnych oficynach dwie książki. Jedną poświęcił historii rodzinnej, druga traktuje o historii kraju. Dzieje rodzinne nie są pamiętnikiem, to bardziej szkice pokazujące, jak historia odbija się na współczesności i na samym autorze, a przede wszystkim na jego poglądach. Dowiadujemy się z nich, jak poznawał rodzinne tajemnice. Z reguły dochodził do nich sam, bo rodzice nie chcieli, by były dla niego ciężarem. A jednak poznanie przeszłości nie tyle uwolniło autora od tego ciężaru, ile pozwoliło wyciągnąć wnioski, lepiej ją zrozumieć i zracjonalizować. A czy nie popełniać błędów przodków?

Romanowski nie ogranicza się do czasów dzieciństwa spędzonego w mieszkaniu po Żydach, opisu ich losów, tragizmu życia wuja Jana Bytnara „Rudego" czy innego wuja – „żołnierza wyklętego" skazanego na śmierć. Na ich dzieje patrzy oczami historyka i postrzega je tak jak dzieje Polski i Polaków, o których pisze w drugiej pracy. Prezentuje w niej poglądy na tematy, które od lat wywołują dyskusje. Nie stroni od ocen, wysuwa wątpliwości, nawet przeczy popularnym mitom uchodzącym za prawdę. W pierwszym szkicu dowodzi, jak wiele Polacy zawdzięczają Niemcom. Nie tylko wiarę, pismo, druk, ale też prawo lokacji miast, stosowane u nas przez wieki. Pisze o tym, że w tysiącletniej historii Polski granica zachodnia była najspokojniejsza i że na Niemców nie wolno patrzeć jedynie przez pryzmat III Rzeszy i II wojny światowej. Drugim szkicem jest historia Mazurów i naszego – skrywanego – udziału w ich eksterminacji i wynarodowieniu.

Czytanie Romanowskiego nie męczy, za to w niezwykły sposób zmusza do myślenia, zastanowienia; niektórych być może zirytuje. Ale czy te wszystkie reakcje nie są największym uznaniem dla autora? Czy nie jest najistotniejsze to, że jego twórczość pozostawia ślad, że zostaje z czytelnikiem długo po odłożeniu książki na półkę? Tak więc czytajcie Romanowskiego. Również wydany przez „Przegląd" mój z nim wywiad rzekę „Życie pełne historii".

Paweł Dybicz

Andrzej Romanowski, *Szkice rodzinne*, Wydawnictwo Austeria, Kraków 2026; *Podzwonne*, Universitas, Kraków 2025

eprasa.pl 4360eb2774

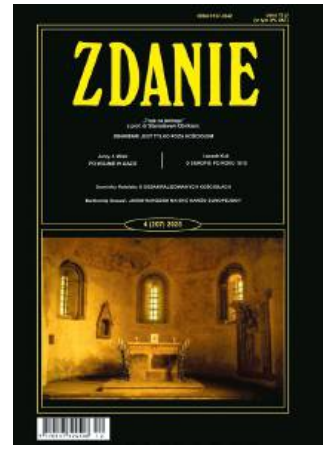


Od lewej: Adam Jaśkow, Stanisław Obirek, Paweł Sękowski i Dominika Rafalska.

OBIREK: Moment tego interregnum jest niebezpieczny. W swojej ostatniej książce „Retrotopia" Zygmunt Bauman właśnie o tym pisał. Że nie ma już takich klasycznych autorytetów, wyczerpały się, skompromitowały, natomiast nie pojawiło się nic w ich miejsce. Ja na swój rachunek, jak rozmawiam publicznie czy ze studentami, gdy pojawia się ten wątek, próbuję przekonywać, że jest to moment, żeby pozwolić ludziom odwołać się do własnego sumienia. Że ja mam wreszcie ten komfort, żeby nikogo nie słuchać. Ani Kościoła, ani partii, ani nie wiem kogo jeszcze. Nie daj Boże celebrytów czy AI. Jest to trudny moment, bo ja się z diagnozą o absolutnym braku autorytetów zgadzam. Uważam natomiast, że odwołanie się do własnego sumienia w dyskursie publicznym, akademickim, także publicystycznym, nie jest złe. Nie potrzebujemy Braunów, Mentzenów, Tusków czy Kaczyńskich – po prostu każdy powinien słuchać swego sumienia. I mamy przynajmniej raz na cztery lata szansę wypowiedzenia własnego zdania. Kościół pozostawił po sobie czarną dziurę. To, co mówię, nie jest tęsknotą za autorytetem, tylko to jest ekspresja pewnego bólu – ja mówię za siebie – po ogromnej kompromitacji autorytetu, który kiedyś był dla mnie ważny.

RAFALSKA: Powiedział pan kiedyś: „W 2015 r. ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego wygrało wybory, utrzymało władzę do 2023 r. w dużym stopniu dzięki wsparciu Kościoła katolickiego. Utraciłem resztki złudzeń, że ta instytucja jest reformowalna. Zobaczyłem jej najbardziej odrażające oblicze, które w dużym stopniu przyczyniło się do zniszczenia raczkującej polskiej demokracji liberalnej". Wygląda to na rozczarowanie Kościołem także na płaszczyźnie politycznej.

OBIREK: Oczywiście. Jestem z Podkarpacia i znam to spustoszenie, jakiego dokonał Kościół w umysłach ludzi, którzy nie mają niestety takich kompetencji, jakie ja mam. Ci ludzie są ofiarami zblatowania Kościoła z cynicznymi politykami. Kościoła uzależnionego od kasy polityków. Przed oczyma mam moją koleżankę z liceum Teresę Pamułę, która jest posłanką PiS i w Lubaczowie jest gwiazdą, także dlatego, że przez osiem lat zrobiła najwięcej, żeby premier Morawiecki święcił tam wraz z księżmi kombajny i traktory. Ona obiecywała remonty po wszystkich kościołach itd. I ludzie jej wierzą. W tym samym czasie mimo moich zachęt i próśb żaden ze znaczących polityków z opcji demokratycznej tam się nie pojawił. Dotyczy to również ostatnich wyborów parlamentarnych i prezydenckich.



SĘKOWSKI: Czy można powiedzieć, że pan nie tylko nie ma nic przeciwko sekularyzacji, ale uważa pan, że to, co jest najlepsze dla nas, dla Polaków i dla Polski, to jest po prostu jak najmniejsza obecność instytucji Kościoła w życiu społecznym?

OBIREK: Odwołałbym się do genialnej w moim odczuciu książki Marii Janion „Niesamowita Słowiańszczyzna". Ona bardzo przekonująco pokazuje, że chrześcijaństwo w takich krajach jak Polska dokonało kolonizacji połączonej z anihilacją zastanej kultury i wierzeń. I dziś, mówiąc w wielkim skrócie, widzimy, że ta kolonizacji kultury, religii, umysłu została przez pontyfikat Jana Pawła II domknięta. Postulat, jaki ja formułuję, jest bardzo minimalistyczny: pozwolić ludziom w duchu Immanuela Kanta dojrzeć, stać się dorosłymi, wziąć odpowiedzialność we własne ręce. Tymczasem Polak, jak twierdzi wielu z prominentnych publicystów liberalnych, dowiaduje się z ambony, co jest dobre, a co jest złe. Ja ambonę znam z obu stron. Mniej więcej w połowie byłem na ambonie i pod amboną. I naprawdę po klęsce projektu, w który uwierzyłem jako 20-latek, w tej chwili widzę w chrześcijaństwie ogromne zagrożenie dla projektu emancypacyjnego. Jeśli Kościół, który wziął na sztandary walkę z wymyśloną przez siebie ideologią gender, ma być dla kogoś, kto próbuje jakoś sobie radzić na tym łez padole, punktem odniesienia, no to ja dziękuję. Ja wolę tego punktu odniesienia szukać gdzie indziej. Choćby w takich rozmowach jak nasza, gdzie zastanawiamy się, jak żyć w tym świecie bez autorytetów. No i możemy żyć. Każdy z nas ma jakiś projekt i myślę, że jeśli będzie mu wierny, to znajdzie szczęście.

SĘKOWSKI: Myślę, że to jest dobra puenta. Amen! Dziękujemy za rozmowę.

OBIREK: Amen!

Adam Jaśkow,
Dominika Rafalska,
Paweł Sękowski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4360eb2774

Od Paczkowskiego do Nawrockiego

Warszawski historyk ponosi niemałą część odpowiedzialności za kierunek, w jakim poszedł IPN

Paweł Siergiejczyk

Zmarły 3 stycznia prof. Andrzej Paczkowski należał do najbardziej znanych polskich historyków. Pozycję zawdzięczał jednak bardziej mediom, które od początku lat 90. traktowały go niemal jak „urzędowego historyka III RP", niż jakimś wybitnym osiągnięciom dziejopisarskim. Był bowiem jednym z pierwszych przedstawicieli środowiska historycznego, którzy zajęli się dziejami PRL, i konsekwentnie trwał przy tej tematyce, nie kryjąc przy tym swojego antykomunizmu. A przecież im dłużej istnieje III Rzeczpospolita, tym większe zapotrzebowanie na antykomunizm, który stał się właściwie oficjalną doktryną historyczną naszego państwa. Prof. Paczkowski miał w tym swój udział.

Pół rodziny

Urodzony w 1938 r., przeżył cały okres powojennej Polski, był więc równocześnie dziejopisem i świadkiem, a niekiedy nawet uczestnikiem ważnych wydarzeń tej epoki. Tak wspominał młodość w rozmowie z prof. Andrzejem Nowakiem (zamieszczonej w książce „O historii nie dla idiotów", Kraków 2019): „Szkoła średnia to ZMP, Związek Młodzieży Polskiej, taka normalna »sieczka« – poranne apele, akademie ku czci, marsz żałobny po śmierci Stalina, piosenki o murarzach, traktorach (»hej traktory, rumaki stalowe...«) i mostach, co to są i na prawo, i na lewo. Na kółku recytatorskim, na które chodziłem, uczyliśmy się Majakowskiego (»kto tam znów rusza prawą? Lewa, lewa...«). Zresztą uczył nas Zbigniew Zapasiewicz, który był chyba o trzy klasy wyżej. To był Żoliborz, szkoła RTPD – Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, przedwojenna, PPS-owska. Mój ojciec, wyrzucony w 1934 r. z partii komunistycznej za jakieś tam odchylenie, był po wojnie w PPS-ie. Dosyć to było hermetyczne, niewiele docierało. Potem się dowiedziałem, że ojciec nie został zweryfikowany do PZPR-u, że był kilkakrotnie wzywany do UB...".

Punktem zwrotnym okazało się uchwalenie w grudniu 1998 r. ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej przez koalicję AWS-UW, wspartą przez PSL.

Pytany przez Andrzeja Nowaka o wspomnienia na temat „żołnierzy wyklętych" Paczkowski wyjaśniał: „Moi rodzice byli urzędnikami niższego czy średnioniższego szczebla w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych. W niczym nie uczestniczyli. Moja mama była Żydówką, a więc niejako miałem pół rodziny, bo druga połowa nie istniała, nic nie było wiadomo o nich. W istniejącej aryjskiej połówce nie było nikogo, kto po wojnie konspirował, chociaż dwóch moich braci stryjecznych było w AK. Jeden był ranny w Powstaniu Warszawskim, drugi był ranny w Skierniewicach, gdzie mieszkał. Obaj studiowali i chyba po wojnie w niczym nie uczestniczyli. Jeden z nich zapisał się nawet do ZWM-u, czyli Związku Walki Młodych – komunistycznej organizacji młodzieżowej. W sumie miałem jakąś wiedzę o AK, o Powstaniu, też rzecz jasna o Legionach i Piłsudskim, ale o powojennej partyzantce niepodległościowej, czyli o »reakcyjnych bandach«, nic nie wiedziałem".

Prof. Andrzej Romanowski: „Dopiero w działaniu IPN widać, jakim piekielnym wynalazkiem była ta ustawa. Dzieło trzech profesorów: dwóch prawników, Andrzeja Rzeplińskiego i Witolda Kuleszy, oraz jednego historyka, Andrzeja Paczkowskiego. Żaden z nich nie ma nic wspólnego z PiS, a wszyscy oni sprowadzili PiS na Polskę".

Z punktu widzenia nacjonalistycznej prawicy, która dziś w Polsce dominuje, Andrzej Paczkowski pochodził więc nie tylko z żoliborskiej inteligencji, ale wręcz z „żydokomuny". I przez wiele lat jego droga życiowa była typowa dla środowiska, w którym się wychował: studiował historię na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie należał do grona uczniów prof. Henryka Jabłońskiego, przedwojennego PPS-owca, który w PRL został ministrem oświaty, a potem przewodniczącym Rady Państwa. To dzięki Jabłońskiemu znalazł zatrudnienie w Instytucie Badań Literackich PAN, stając się cenionym historykiem prasy okresu międzywojennego. Został stamtąd

eprasa.pl 4360eb2774

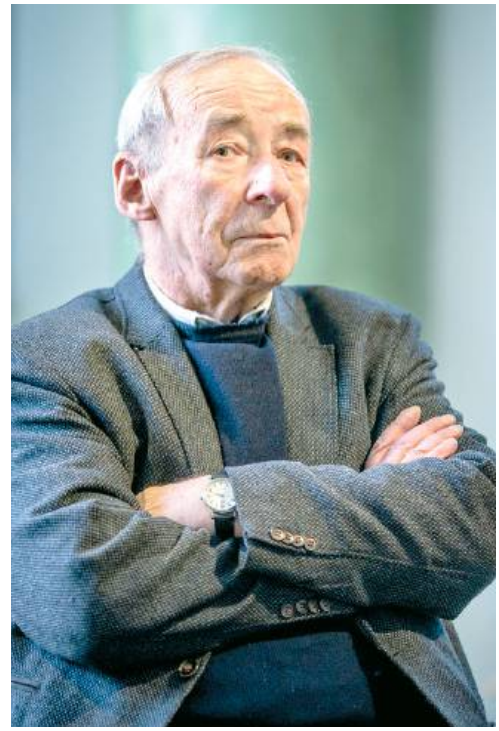
zwolniony w 1974 r., gdy w jednym z francuskich czasopism opublikował recenzję anglojęzycznej biografii Władysława Gomułki. Wkrótce jednak zatrudniono go w Bibliotece Narodowej, w 1980 r. zaś w Instytucie Historii PAN. Od 1990 r. był współtwórcą i jednym z szefów Instytutu Studiów Politycznych PAN. Równocześnie rozwijał swoją drugą wielką pasję – alpinizm. W latach 1974-1995 był nawet prezesem Polskiego Związku Alpinizmu.

Mikołajczyk i Światło

Od połowy lat 70. na zaproszenie Adama Michnika uczestniczył w niezależnym seminarium naukowym poświęconym najnowszej historii Polski. Pojawiali się tam m.in. późniejsi profesorowie Krystyna Kersten, Jerzy Holzer, Andrzej Friszke czy późniejsza wiceminister edukacji Anna Radziwiłł. Jako członek Solidarności od jesieni 1980 r. Paczkowski był aktywny w rozmaitych działaniach Regionu Mazowsze, a po wprowadzeniu stanu wojennego współpracował ze strukturami podziemia, wykorzystując do działalności konspiracyjnej lokal Polskiego Związku Alpinizmu i możliwość wyjazdów na Zachód, skąd przywoził pomoc finansową dla Solidarności (sam oceniał, że przemycił w ten sposób ok. 40-50 tys. dol.).

To wtedy rozpoczęła się jego kariera czołowego historyka okresu PRL: w 1983 r. był współzałożycielem Archiwum Solidarności, w ramach którego poza cenzurą wydano 24 tomy relacji i dokumentów, w 1986 r. zaś pod pseudonimem opublikował książkę „Gomułka i inni. Dokumenty z archiwum KC 1948--1982". Po 1989 r. znacznie ułatwiło mu to dostęp do odtajnianych archiwów partyjnych, a później także do archiwów MSW. Od tego czasu kolejne publikacje Paczkowskiego obracały się głównie wokół tematyki związanej z bezpieką i w ogóle represyjną stroną funkcjonowania Polski Ludowej.

W jego dorobku niewątpliwie najcenniejsze i najbardziej oryginalne są dwie biografie: Stanisława Mikołajczyka z 1991 r. i Józefa Światły z 2009 r. Pozostałe książki Paczkowskiego pisane były z coraz bardziej wyraźną tendencją, którą najlepiej podsumował sam autor w swojej syntezie dziejów PRL: „Komunizm przyszedł do Polski w huku dział i łoskocie czołgów po straszliwym kataklizmie wojny i okupacji. Odszedł bez wystrzału, po cichu zamykając burzliwy, trudny, nawet tragiczny okres w dziejach narodu".



Dla Paczkowskiego cały okres powojenny, aż do 1989 r., był „komunizmem", a ludzie, którzy Polską wtedy rządzili – „komunistami".

Dla Paczkowskiego zatem cały okres powojenny, aż do 1989 r., był po prostu „komunizmem", a ludzie, którzy Polską wtedy rządzili, nieodmiennie byli przez niego nazywani „komunistami". Jeszcze w ostatnim większym wywiadzie, który ukazał się niedawno w książce Mirosława Maciorowskiego „Powstańcy. Marzyciele i realiści. Historia na nowo opowiedziana", Paczkowski twierdził, że Wojciech Jaruzelski „był ideowym komunistą – wierzącym i praktykującym", dodając, że późniejszy generał jako młody człowiek „uwierzył więc w to, co głosił okupant. A to ułatwiało mu życie, pomogło w podejmowaniu decyzji, podsunęło język polityczny i utorowało drogę do kariery".

Polemika z generałem

Niechęć do gen. Jaruzelskiego widoczna była zresztą u Paczkowskiego od dawna. Wydaną w 2006 r. książkę o stanie wojennym zatytułował wszak „Wojna polsko-jaruzelska". A dekadę wcześniej był jednym z ekspertów sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, gdy zajmowała się ona wnioskiem o postawienie autorów stanu wojennego przed Trybunałem Stanu. Podczas jednego z posiedzeń komisji, w grudniu 1995 r., doszło nawet do otwartej polemiki generała z profesorem, który jasno wyrażał swój pogląd: „Według mnie podstawowe przesłanki, które są przytaczane jako te, które mają uzasadnić konieczność wprowadzenia stanu wojennego, nie były wystarczające do podjęcia tej decyzji". I dodawał: „Wydaje mi się jednak, że stwierdzenie o zagrożeniu bytu biologicznego (narodu – P.S.) jest pewną przesadą".

Z podobną nonszalancją znany historyk wypowiadał się również na inne tematy z dziejów najnowszych. Jego rocznicowy tekst na półwiecze Polskiego Października, zamieszczony w 2006 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego", nosił kuriozalny tytuł „Rok, który ocalił system". Paczkowski dowodził tam, że „powrót Gomułki do władzy stał się bezpośrednim impulsem co najmniej dla Węgrów, a fakt, że udało mu się opanować wzburzone fale, pozwolił komunistom w całym regionie na stabilizację władzy. Pozwolił także Moskwie na utrzymanie przez następnych ponad 30 lat – choć w zmienionych

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 4360eb2774

nieco formach – kontroli nad całą tą częścią Europy. Można by więc powiedzieć, że wielki kryzys 1956 r. raczej wzmocnił, niż osłabił system komunistyczny. Zmusił go bowiem do większej elastyczności, do brania pod uwagę lokalnych, narodowych odmienności. I do pewnego ucywilizowania wewnętrznych stosunków zarówno w poszczególnych krajach, jak i w obrębie całego bloku sowieckiego". Fakt przetrwania „systemu komunistycznego" był zatem dla autora o wiele ważniejszy niż ocalenie Polski przed sowiecką interwencją i likwidacja stalinizmu we wszystkich dziedzinach życia.

W latach 90. Andrzej Paczkowski należał do grona autorów francuskiej publikacji „Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania", której głównymi twórcami byli dawni działacze skrajnej lewicy (maoistowskiej) nawróceni na równie skrajny antykomunizm. Książka ta, wydana po polsku w 1999 r., zdobyła dużą popularność na polskiej prawicy, choć od początku pojawiały się liczne wątpliwości co do jej rzetelności naukowej, np. w kwestii liczby ofiar zbrodni popełnianych przez reżimy komunistyczne (pojawiła się tam niczym niepoparta, za to propagandowo użyteczna liczba 100 mln zabitych) czy analogii pomiędzy komunizmem a nazizmem.

W Polsce jednak mało kto o tych wątpliwościach słyszał, gdyż na przełomie wieków III RP wchodziła w okres swojej „rewolucji antykomunistycznej". Punktem zwrotnym okazało się uchwalenie w grudniu 1998 r. ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej przez rządzącą wówczas koalicję AWS-UW, wspartą przez PSL. Jak trafnie zauważył prof. Andrzej Romanowski: „Dopiero w działaniu IPN widać, jakim piekielnym wynalazkiem była ta ustawa. Dzieło trzech profesorów: dwóch prawników, Andrzeja Rzeplińskiego i Witolda Kuleszy, oraz jednego historyka, Andrzeja Paczkowskiego. Żaden z nich nie ma nic wspólnego z PiS, a wszyscy oni sprowadzili PiS na Polskę".

Paczkowski wytyczył drogę współczesnej historiografii, która obsesyjnie skupiła się na okresie PRL i przyjęła radykalny antykomunizm jako dogmat.

Przepustka do karier

Paczkowski nie tylko był współautorem ustawy, ale też aktywnie budował IPN od początku jego istnienia. Jeszcze w 1999 r. został wybrany do pierwszego składu Kolegium IPN jako kandydat Unii Wolności, a w 2007 r. po raz kolejny – tym razem zgłoszony przez Platformę Obywatelską, po katastrofie smoleńskiej zaś, gdy dokonano zmiany ustawy i zlikwidowano kolegium, Paczkowski został przewodniczącym nowo powstałej Rady IPN. Wpływ na instytut stracił dopiero w 2016 r., gdy PiS przejęło tę instytucję w całości, przywracając kolegium zapełnione wyłącznie swoimi ludźmi.

A jednak to właśnie warszawski historyk ponosi niemałą część odpowiedzialności za kierunek, w jakim poszedł IPN. To przy jego udziale wybierano kolejnych prezesów instytutu: Leona Kieresa (w latach 2000-2005), Janusza Kurtykę (2005-2010) i Łukasza Kamińskiego (2011-2016). I to w tamtych czasach radykalny antykomunizm stał się przepustką do błyskotliwych karier w IPN dla młodych adeptów historii. Takich jak Karol Nawrocki, który od razu po ukończeniu studiów, w 2009 r., podjął tam pracę, a już cztery lata później został naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku.

Andrzej Paczkowski nie mógł oczywiście wiedzieć, kogo wyhoduje współtworzona przez niego instytucja. Ale tej instytucji konsekwentnie bronił: gdy w 2004 r. prof. Andrzej Romanowski opublikował w „Gazecie Wyborczej" głośny artykuł „IPN – bezprawie i absurd", Paczkowski w proteście ustąpił z Komitetu Redakcyjnego Polskiego Słownika Biograficznego (Romanowski do dziś jest redaktorem naczelnym PSB).

Zmarłego ostatnio historyka dobrze wspominają jego młodsi koledzy po fachu: od Antoniego Dudka, przez Andrzeja Nowaka, po Sławomira Cenckiewicza. Dla nich wszystkich Andrzej Paczkowski był mistrzem i nauczycielem zawodu. Nie są to, niestety, wyłącznie kurtuazyjne stwierdzenia. Paczkowski rzeczywiście wytyczył drogę współczesnej polskiej historiografii, która nie tylko obsesyjnie skupiła się na okresie PRL, skandalicznie zaniedbując wszystkie poprzednie epoki, ale też przyjęła radykalny antykomunizm jako bezwzględny dogmat, z którym nie ma żadnej dyskusji. Nic dziwnego, że w takiej atmosferze III RP doczekała się prezydenta, którego polityka historyczna sprowadza się do kibolskiego ryku: „Precz z komuną!" i ostentacyjnej pogardy dla Okrągłego Stołu.

Paweł Siergiejczyk



eprasa.pl 4360eb2774



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Powojnia już nie ma, podobnie z PIP

Pod Trumpem świat zaczyna formalnie kończyć epokę zwaną powojniem. Prawo międzynarodowe jest już omijane, lekceważone – staje się jako pył marny. Próba oparcia konstrukcji porządku i pokoju globalnego na Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka pachnie agonią. To nie stało się w ostatnim czasie i nie jest dziełem jednego Trumpa. Jak każdy rozkład jest procesem trwającym dekady, choć tempo rozpadu się zmienia. Teraz nastąpiło przyśpieszenie, wielkimi krokami nadchodzi nieuchronna śmierć porządku wyłonionego po hekatombach XX w. Zostają słowa i pojęcia pozbawione rzeczywistego sensu i sprawczości. Pozostają instytucje coraz słabsze i anemiczne. „Sprawiedliwość" pozbawiona jest mocy i kategoryczności. Ludobójstwo w Gazie przypomina nam o tym każdego dnia. Ale wcześniej zawsze już coś było: Wietnam, Chile, Argentyna, później Afganistan i Irak. Ryba „narodów zjednoczonych" psuła się rzecz jasna od głowy, czyli USA. USA, które dzisiaj na rozkaz Trumpa wycofują się z uczestnictwa i członkostwa w 66 organizacjach międzynarodowych – w tym 31 wchodzących w skład ONZ. Zapewne najistotniejsze jest wycofanie się Amerykanów z Ramowej konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu (UNFCCC).

Za te decyzje narcystycznego pomarańczowego ignoranta świat zapłaci ogromną cenę. Jak to „tłumaczą"? Biały Dom stwierdził, że organizacje te działają „wbrew narodowym interesom USA", promując „radykalną politykę klimatyczną, globalne zarządzanie i programy ideologiczne, które są sprzeczne z suwerennością i siłą gospodarczą USA lub zajmują się ważnymi kwestiami w sposób nieefektywny lub nieskuteczny". Pustosłowie godne zawartości czaszki półanalfabety, którym w istocie jest przywódca USA. Podczas organizowanych przez UNFCCC szczytów klimatycznych (COP) przyjmowane są protokoły dotyczące limitów emisji gazów cieplarnianych, a także finansowania zapobiegania zmianom klimatycznym i adaptacji do nich. Od podpisania traktatu 34 lata temu na szczycie w Rio de Janeiro zaakceptowały go wszystkie państwa świata. Senat USA ratyfikował konwencję w 1992 r.

Słuchając peror Trumpa, podejrzewam, że potrafi on napisać tylko jedno słowo, jego własne nazwisko. Kiedyś podpisał pierwszy czek i tak mu zostało. Inne słowa są zbędne, nie owocują napływem dolara, zatem nie istnieją. To logika stereotypowego jaskiniowca, choć obrażam tu chyba jaskiniowców. Kilkadziesiąt lat temu na Uniwersytecie Columbia antropolożka Margaret Mead została zapytana przez studentkę, co według niej jest pierwszą oznaką cywilizacji i przejawem człowieczeństwa. W odpowiedzi nie pojawiły się haczyki na ryby, gliniane garnki, kamienne żarna, malowidła czy pierwotna biżuteria. Według Mead pierwszą oznaką cywilizacji ludzkiej była odnaleziona przez archeologów po tysiącach lat kość udowa, która uległa złamaniu, a następnie zrosła się i zagoiła. W świecie zwierząt, jeśli złamiesz nogę, umrzesz. Złamana kość udowa, która się zagoiła, jest dowodem, że ktoś poświęcił czas na to, aby zostać z osobą, która upadła, opatrzył ranę, zaniósł ofiarę w bezpieczne miejsce i zadbał o jej powrót do zdrowia. Pomaganie komuś innemu w trudnościach to początek cywilizacji, gdyż jako ludzie działamy najskuteczniej, gdy służymy innym – podsumowała Mead.

Wedle tej definicji z Trumpem obcujemy (w dosłownym rozumieniu tego słowa) jak z kimś spoza, sprzed naszej ludzkiej cywilizacji. W umyśle chciwca ukierunkowanym przez całe życie na korzyści własne i ewentualnie najbliższych nie ma i nigdy nie było żadnej przestrzeni, która pomieściłaby takie rozumienie sensu bycia człowiekiem. W konsekwencji tak widziałbym ostatnie decyzje kryptohegemona. Pozytywny bilans zysk-strata jest dla niego jedyną racją istnienia i funkcjonowania.

Nie tylko w USA dzieje się bardzo źle. Afera wokół ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy, którą Donald Tusk wyrzucił do kosza, jest de facto owocem podobnego zaczadzenia. Tusk powiedział, że „przesadna władza dla urzędników, którzy będą decydowali o tym, jak się kto zatrudnia (...), byłaby bardzo destrukcyjna dla bardzo wielu firm i mogłaby także oznaczać utratę pracy dla wielu ludzi". Kamil Fejfer w komentarzu na ten temat napisał, że twarde, bezkompromisowe „nie" Tuska można intepretować na trzy sposoby. O co chodzi? „Być może o reprezentowanie stanowiska przedsiębiorców (silniejszych przeciw słabszym lub przeciw wpływom do budżetu). Może chodzi o utarcie nosa koalicjantom i wskazanie im miejsca. Ot tak, w ramach politycznych gier. Ze szkodą dla setek tysięcy pracowników oraz ze szkodą dla budżetu. A może – i to byłoby najzabawniejsze – chodzi o zwykłe ideologiczne, za przeproszeniem, zaczadzenie. Być może Donald Tusk się na sprawie nie zna, nie musi znać się na wszystkim. Ale ma taką intuicję, że by się w Polsce firmy porozpadały od przestrzegania przepisów. Każdy z powodów jest zasmucający". A będzie także Polskę kosztował 11 mld euro kary, ponieważ taka zmiana prawa była postulowana przez Unię Europejską. Na biednego nie trafiło, co? A miłość do Unii nie oznacza uległości, nieprawdaż? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4360eb2774

Zabójcze selfie

Spadają z klifów, wpadają pod pociągi, giną od rogów byka. Wszystko w imię najlepszego zdjęcia

Kornel Wawrzyniak



Turysta robiący selfie na Eagle Point na zachodniej krawędzi Wielkiego Kanionu w USA.

Temat śmiercionośnych selfie wraca do mediów jak bumerang. W najgłupszych okolicznościach giną kolejni śmiałkowie i turyści chcący zrobić sobie niepowtarzalną fotkę, którą mogliby się pochwalić światu w mediach społecznościowych. „Journal of Travel Medicine" wyliczył, że w latach 2009-2022 doszło do 379 zgonów związanych z robieniem sobie zdjęć na potrzeby social mediów. Nie są to jednak kompletne dane. Wielu przypadków tego typu śmierci po prostu się nie odnotowuje.

Żyłka fotografa

Naukowcy z All India Institute of Medical Sciences prześledzili doniesienia o śmierci osób robiących sobie zdjęcia przednim aparatem w smartfonach. Problem zaistniał już ponad dekadę temu. Z analizy dotychczas odnotowanych przypadków wynika, że najczęstszą przyczyną śmierci przy robieniu selfie jest utonięcie. Drugie miejsce zajmują wypadki z udziałem pojazdów i środków transportu, jak w przypadku osób robiących sobie fotki na tle przejeżdżającego pociągu. Trzecie miejsce w zestawieniu to upadek z dużych wysokości, a dalej dzikie zwierzęta, użycie broni oraz porażenie prądem. Szef zespołu badawczego Agam Bansal w rozmowie z dziennikiem „Washington Post" stwierdził, że „zgony spowodowane robieniem selfie stały się poważnym problemem z zakresu zdrowia publicznego". Badacz podkreślił, że samo robienie selfie nie jest groźne. Zagrożeniem są dopiero ryzykowne zachowania przy pozowaniu.

Uwiecznianie „doskonałego" życia i wrzucanie go na bieżąco do sieci stało się ważniejsze niż doświadczanie danej chwili tu i teraz własnymi zmysłami. Część ludzi całe swoje życie ogląda na ekranie smartfona, bo w kółko je nagrywa.

Ostatnio świat obiegła informacja o tragedii w szwajcarskiej miejscowości Crans-Montana. W sylwestrową noc w wyniku pożaru życie straciło 40 osób, a 120 zostało rannych. „Lokal okazał się śmiertelną pułapką, w której młodzi ludzie spłonęli żywcem lub udusili się dymem. Ucieczka była utrudniona z powodu wąskich schodów i przejścia", pisały szwajcarskie media.

Przypadek jest skrajny. Nie przestrzegano elementarnych zasad bezpieczeństwa, podejrzane są kwestie związane z nadzorem budowlanym i kontrolą przeciwpożarową podczas oddawania klubu do użytku. Na światło dzienne wychodzą teraz liczne nieprawidłowości, wskazywane przez lokalną społeczność. Jak wynika z ustaleń śledczych, bezpośrednią przyczyną pożaru były iskry z zimnych ogni zamocowanych na butelkach szampana, które podnoszono zbyt blisko sufitu. Media podały, że był on wykończony pianką izolacyjną, najprawdopodobniej w celu wygłuszenia sali. Podejrzliwość wzbudza francuskie małżeństwo Morettich, właściciele lokalu. Jacques Moretti miał w latach 2005 i 2008 odbywać karę więzienia. Źródła bliskie sprawie twierdzą również, że mężczyzna był zamieszany w kilka innych spraw karnych związanych z oszustwami finansowymi.

Znamienne jest jednak i to, o czym pisze na łamach „Rzeczpospolitej" Bogusław Chrabota – że część osób świętujących Nowy Rok w klubie skupiała się na filmowaniu pożaru, zamiast uciekać, kiedy sufit zaczął płonąć: „W pierwszej chwili wszyscy chwycili za telefony komórkowe: ot, dzieje się coś nadzwyczajnego, więc trzeba to sfilmować i wrzucić na Instagrama.

eprasa.pl 4360eb2774

Nikogo nie zastanowiła skala ryzyka, jaka idzie za takim zachowaniem. Zabrakło przytomności, że pożar dzieje się w świecie realnym, a nie wirtualnym, i płomienie już za chwilę zaczną naprawdę parzyć i zabijać. W przypadku wielu bardzo młodych ludzi w barze Le Constellation brak umiejętności odróżnienia internetowego wirala od realnego zagrożenia życia skończył się śmiercią".

Brzmi brutalnie? Powstrzymajmy na chwilę ewentualne oburzenie, że redaktor napisał coś niewygodnego dla ofiar tragedii. Zgodzimy się chyba ze stwierdzeniem, że gdy widzi się ogień, a pod ręką akurat nie ma gaśnicy, należy uciekać. Zdrowy rozsądek naprawdę został wyparty przez odruch sięgania po telefon.

Weźmy sytuację z 15. etapu Tour de France w 2023 r. Jeden z widzów chciał zrobić selfie z przejeżdżającymi kolarzami i uderzył w kierownicę amerykańskiego zawodnika. W wyniku tego doszło do kolizji z udziałem 20 kolarzy. Szczęśliwie nikt nie doznał poważnych obrażeń, ale zdarzenie to w sposób bezprecedensowy zakłóciło przebieg wyścigu.

Piękne (nie)życie

Badania przeprowadzone przez hiszpańską fundację iO pokazują, że najwięcej przypadków śmiercionośnych selfie miało dotychczas miejsce w Indiach (100), Stanach Zjednoczonych (39) i Rosji (33). Większość śmierci związanych z selfie na świecie ponieśli turyści (32%), a nie miejscowi. Według ustaleń zespołu dr. Agama Bansala najwięcej ofiar mieści się w przedziale wiekowym 19-23 lata i są to częściej mężczyźni. Autorzy raportu dla fundacji iO zebrali również dane na temat 10 najbardziej śmiercionośnych dla łowców selfie miejsc na Ziemi. Te dane nie zostały uwzględnione w ostatecznej wersji raportu, ale są to, bez uporządkowania pod względem liczby ofiar śmiertelnych: wodospady Niagara (USA/Kanada), Glen Canyon (USA), Charco del Burro (Kolumbia), plaża Penha (Brazylia), wodospad Mlango (Kenia), Ural (Rosja), Tadż Mahal i dolina Doodhpathri (Indie), wyspa Nusa Lembongan (Indonezja) i archipelag Langkawi (Malezja).

Na łamach „El País" psychiatra Enrique García Bernardo, który odnosi się do raportu iO, stwierdza, że wzrost liczby zgonów z powodu selfie jest częścią globalnego wpływu mediów społecznościowych na populację: „Te zdjęcia stały się szybkim sposobem na uzyskanie natychmiastowego, łatwego i powierzchownego uznania. Liczą się obserwujący i lajki, a nie osiągnięcie samo w sobie. To społeczny mechanizm reafirmacji, który w ostatnich latach stał się bardziej powszechny. Biorąc to pod uwagę, niektórzy ludzie są bardziej skłonni do ryzykownych zachowań".

Zabójczy widok

Większość przypadków śmierci z powodu chęci zrobienia doskonałej fotki jest spektakularna, jednak kilka przebija resztę. Pochodzący z Łabinska Rosjanin Aleksander Czecznik wysłał kilku znajomym zdjęcie, na którym trzyma odbezpieczony granat, z zawleczką leżącą obok. Zaniepokojeni przyjaciele zaczęli do Czecznika pisać i dzwonić. Bezskutecznie. Granat wybuchł, a mężczyzna zginął na miejscu. Według lokalnej policji ta śmierć była przejawem brawury. Mężczyzna prawdopodobnie błędnie założył, że granat nie wybuchnie, póki się go nie rzuci. Rodaczka Czecznika, 17-letnia Xenia Ignatiewa, spadła z kilkunastometrowego mostu, na który wspięła się bez zabezpieczeń. Udało się jej wejść i nawet zrobić fotkę! Potknęła się, dopiero gdy z niego schodziła. Izraelczyk Tomer Frankfurter spadł z wysokości prawie 200 m w Parku Narodowym Yosemite, kiedy próbował zrobić selfie obok wodospadu Nevada.

Nie brakuje też polskich wątków. Na genialny pomysł wpadła para spędzająca wakacje w Portugalii. Spadli z klifu na przylądku Cabo da Roca, robiąc sobie pamiątkowe zdjęcie, zdmuchnięci powiewem wiatru. Co gorsza, para fotografowała się w obecności swoich kilkuletnich dzieci. 21-latek z Gdańska postanowił zrobić sobie zdjęcie na dachu pociągu. Zginął tuż po wdrapaniu się na wagon, kiedy przypadkowo dotknął przewodów elektrycznych. Inny Polak, zmierzający na koncert AC/DC na Stadionie Narodowym w Warszawie, spadł do Wisły z Mostu Świętokrzyskiego, gdy próbował zrobić sobie spektakularne zdjęcie. Na początku września 2025 r. trzech turystów w Tatrach weszło na krzyż na Giewoncie. Wspomnijmy, że konstrukcja mierzy 17,5 m. Mężczyznom akurat nic się nie stało, jednak dali popis bezmyślności.

Część miejsc obleganych przez fanów „selfiaczków" zaczęła stosować zakazy fotografowania lub ustanawiać całe strefy wolne od selfie. Powstają one m.in. w parkach narodowych w USA, na skrajach słynnych klifów czy na niestabilnych gruntach.

17-letnia Xenia Ignatiewa spadła z kilkunastometrowego mostu. Udało się jej wejść i zrobić fotkę, ale potknęła się przy zejściu.

Pierwsze strefy zaczęły się pojawiać w Indiach, gdzie dochodziło do największej liczby selfie-wypadków. Japońskie przedsiębiorstwo JR West Railway Company zakazało używania selfiesticków na peronach. Podobny zakaz wprowadził w 2015 r. Disneyland. W 2023 r. tymczasowy zakaz selfie w wyznaczonych miejscach wprowadziło Portofino. Grzywna za złamanie zakazu miała równowartość 1,3 tys. zł. W Pampelunie podczas corocznej gonitwy byków robienie selfie jest nielegalne. Jak można się domyślać, udział w Encierro z telefonem w ręku musiał się skończyć paroma ofiarami śmiertelnymi.

Kilka minut poklasku naprawdę nie jest warte życia. Szczególnie że po śmierci nawet nie się dowiemy, ile zebraliśmy lajków za może nienajlepsze, ale na pewno ostatnie selfie w życiu.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4360eb2774



REPUBLIKA UBÓSTWA

Dlaczego Francja pogrąża się w regresie społecznym?

Przybywa osób proszących o jałmużnę przed sklepami i kościołami.

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

O ile 20 lat temu Polacy wyjeżdżali na Zachód „za chlebem", o tyle dziś ten Zachód, szczególnie Francja, coraz bardziej przypomina kraje „rozwijające się". Choć w jej przypadku można raczej mówić o zwijaniu się państwa, a przede wszystkim jego obecności w życiu obywateli.

Gwałtowny wzrost nierówności majątkowych i dochodowych (np. kurczenie się stanu posiadania najbiedniejszych przy powiększaniu się majątku najbogatszych) w ostatnich dekadach doprowadził do oligarchizacji społeczeństwa, choć takie słowa jak oligarcha, korupcja i kolesiostwo na Zachodzie zastępuje się eufemizmami typu przedsiębiorca, lobbing, budowanie relacji itd. Towarzyszą temu pogłębiające się podziały światopoglądowe i kryzys polityczny, w obliczu których liberalne rządy coraz drastyczniej tną wydatki publiczne, co skutkuje rosnącym ubóstwem i bezrobociem. Zadziwiające jest to, że dzisiejsi liberałowie nie dostrzegają podobieństwa między ich polityką oszczędnościową a polityką kanclerza Heinricha Brüninga tuż przed dojściem Hitlera do władzy.

Bardzo podobne sygnały recesji

Warto zatem przypomnieć co nieco z historii. W latach 30. XX w. finansowo-gospodarcza zależność Europy od Stanów Zjednoczonych spowodowała – w wyniku spadku popytu w USA – falę recesji w Europie. Spadek cen wpływający na zyski przedsiębiorstw oraz gwałtowny wzrost bezrobocia (w Niemczech w 1933 r. było ponad 6 mln bezrobotnych) zachęciły ekonomistów głównego nurtu do promowania deflacyjnych polityk gospodarczych mających na celu obniżenie kosztów pracy, tak aby je dostosować do nowej sytuacji. Doszło do tego ograniczenie wydatków publicznych, co miało przywrócić nadwyżkę budżetową i wzmocnić wiarygodność państw. Taką politykę prowadził prezydent USA Herbert Hoover do 1932 r., Pierre Laval we Francji w latach 1934-1935, a przede wszystkim Heinrich Brüning w Niemczech w latach 1930-1932. Sfrustrowani sytuacją robotnicy oraz intelektualiści zaczęli się uciekać do skrajności, co doprowadziło do wydarzeń, które wszyscy dobrze znamy.

Dziś nie tylko we Francji, ale i w całej Europie zauważalne są zarówno kulturowe, jak i konsumenckie sygnały recesji. Jednym z nich jest tzw. efekt szminki: spadek popytu na dobra trwałe, a wzrost na produkty traktowane jako namiastka luksusu. Najlepszym przykładem tego mechanizmu jest popularność laleczek

eprasa.pl 4360eb2774

Labubu, które pozwalają konsumentowi sprawić sobie luksusową przyjemność przy poniesieniu względnie niskich kosztów.

Równolegle daje się zauważyć zmianę zachowań dotyczących jedzenia, czyli tzw. kryzysową gastronomię – maleje liczba wizyt w restauracjach, a zwiększają się zakupy drobnych przekąsek i kaw. Indeksy nastrojów konsumenckich ostro spadają m.in. we Francji, w Niemczech czy we Włoszech. Nastroje gospodarstw domowych są jednym z najlepszych wskaźników nadchodzącej recesji. Społeczeństwo sygnalizuje niepokój zmianą wzorców konsumpcji – ubóstwo i rozwarstwienie rosną wcześniej w kulturze, dopiero potem w raportach makro. Ubożenie klasy średniej świadczące o zbliżającej się recesji wywołuje działania zapobiegawcze, czyli głównie wprowadzanie polityk oszczędnościowych. To zaś skutkuje np. ograniczeniem miejsc pracy w sferze budżetowej, co zwiększa frustrację społeczną i pogłębia nierówności ekonomiczne.

Od 30 lat Francja ubożeje

Aby opisać dzisiejszą sytuację Francji, najlepiej przywołać słowa Victora Hugo: *C'est de l'enfer des pauvres qu'est fait le paradis des riches* (Z piekła biednych powstaje raj bogatych). Rzeczywiście – rozprzestrzenia się skrajne ubóstwo, postępuje prekaryzacja klasy średniej.

European Anti-Poverty Network (EAPN, Europejska Sieć Przeciwdziałania Ubóstwu) w najnowszym raporcie prezentuje alarmujący obraz Francji: poziom ubóstwa wzrósł w sposób bezprecedensowy w ostatnich 30 latach. W 2023 r. poniżej progu ubóstwa żyło 9,8 mln osób, czyli ponad 650 tys. więcej niż rok wcześniej, a jeśli uwzględnić osoby niewidoczne w oficjalnych statystykach (bezdomnych przebywających w różnych ośrodkach), liczba ta sięga 12 mln. W najbardziej dotkniętych ubóstwem grupach znajdują się rodziny jednorodzicielskie, dzieci (21,9%), bezrobotni (36,1%) oraz młodzież. Zaskakujące jest to, że mimo umiarkowanego wzrostu gospodarczego i relatywnie kontrolowanego bezrobocia ubóstwo narasta, praca zatem w coraz mniejszym stopniu zapewnia bezpieczeństwo socjalne. EAPN apeluje o zmianę paradygmatu polityk społecznych – o podniesienie zasiłków, walkę z tzw. syndromem pracującego biednego, odbudowę sektora pomocy społecznej i skuteczne strategie redystrybucyjne jako niezbędne instrumenty naprawy.

Coraz więcej Francuzów pozostaje bez dachu nad głową. Liczba osób proszących o jałmużnę w wagonach metra, przed sklepami i kościołami z dnia na dzień rośnie. Bardziej to wygląda na lata 90. w byłym bloku wschodnim niż na rok 2026 w państwie rozwiniętym.

Sytuację doskonale obrazują dane największej francuskiej organizacji przeciwdziałającej ubóstwu i wykluczeniu społecznemu, założonych przez komika Coluche'a (właśc. Michela Gérarda Josepha Colucciego) Restaurants du cœur, nazywanych Restos du cœur. W 1985 r. 5 tys. wolontariuszy stowarzyszenia rozdało 8,5 mln posiłków kilkudziesięciu tysiącom rodzin w niemal 200 miastach. 40 lat później bilans ostatniej kampanii Restos du cœur przekracza wszelkie wyobrażenia: 78 tys. wolontariuszy, 161 mln rozdanych posiłków dla ponad 1,3 mln osób w 2,4 tys. ośrodków we Francji, ponad 150 tys. ton przekazanej żywności i środków higienicznych… Chociaż krajobraz społeczny bez wątpienia się zmienił, to nawet uwzględniając przyrost demograficzny, skala pomocy jest nieporównywalnie większa w stosunku do początków działalności organizacji. Restos du cœur odpowiadają za ponad jedną trzecią całej pomocy żywnościowej dystrybuowanej we Francji każdego roku. A przecież pierwotną ambicją Coluche'a było „sponsorowanie darmowej stołówki"– najpierw w Paryżu, potem w głównych miastach kraju.

Na wszystkie te problemy nakłada się spadek siły nabywczej pieniądza. Zgodnie z danymi Barometru Siły Nabywczej Cetelem z lutego 2025 r. prawie siedmiu na dziesięciu Francuzów uważa, że ich dochody nie wystarczają do zaspokojenia potrzeb. Trudności te są źródłem frustracji dla aż 84% Francuzów, którzy okazują się najbardziej pesymistycznym narodem w Europie, jeśli chodzi o ocenę swojej siły nabywczej.

To paradoks, gdyż po ostatnich kryzysach światowych Francja znajdowała się w czołówce państw o najniższych wskaźnikach inflacji, a siła nabywcza pieniądza za rok 2024 wzrosła o 2,1%. Warto zatem przyjrzeć się usługom, których ceny faktycznie wzrosły – i nie tyle chodzi o ceny w sklepach, ile o wzrost cen usług publicznych.

Od dłuższego czasu obserwuje się tendencję wzrostową w ubezpieczeniach zdrowotnych, tzw. *mutuelles* – według oficjalnych informacji ponownie podrożały w 2025 r., szczególnie dla emerytów i mieszkańców niektórych regionów, co tłumaczy się oddaleniem geograficznym, utrudniającym dostęp do części usług medycznych. Po wzroście o 6% w 2024 r., pierwsze dane z 2025 r. wskazywały kolejną podwyżkę – co najmniej o 2% w przypadku ubezpieczeń uzupełniających, jak wynika z badań portalu ubezpieczeniowego LeLynx.fr.

W 2023 r. 9,8 mln osób żyło poniżej progu ubóstwa. To o ponad 650 tys. więcej niż rok wcześniej.

Wszystko to dowodzi wyjątkowo nierównomiernego przepływu środków publicznych. Te różnice są widoczne na poziomie zarówno regionalnym, jak i instytucjonalnym, a dostęp do zasobów bywa uzależniony od przypadku lub uwarunkowań lokalnych. Wiele decyzji dotyczących finansowania jest podejmowanych w sposób nieprzejrzysty, co pogłębia poczucie arbitralności systemu. Źródłem problemów jest także nadmiernie rozbudowana biurokracja, która spowalnia procedury i mnoży formalności, utrudniając obywatelom kontakt z danym urzędem. W efekcie to właśnie

eprasa.pl 4360eb2774



Les Restaurants du cœur to największa francuska organizacja charytatywna. Rozdaje potrzebującym paczki żywnościowe i gorące posiłki. Założył ją komik Coluche w 1985 r.

osobom najbardziej potrzebującym często najtrudniej się przebić przez bariery administracyjne.

Można zatem stwierdzić, że przyczyną dzisiejszego kryzysu ekonomicznego we Francji są dwa równoległe zjawiska, które się wzmacniają. Z jednej strony, system świadczeń jest na tyle dostępny, że część osób otrzymuje pomoc mimo niewielkiej aktywności na rynku pracy, choć sam proces jest obciążony skomplikowaną biurokracją. Z drugiej – system podatkowy staje się coraz bardziej regresywny wobec najwyższych dochodów, co osłabia realną skalę redystrybucji, również uwikłanej w biurokratyczne procedury.

Bogaci się bogacą, biedni biednieją

Wskaźniki ekonomiczne jednoznacznie pokazują, że gospodarka rośnie, a społeczeństwo ubożeje. Według danych portalu Trading Economics we Francji PKB wzrósł w trzecim kwartale 2025 r. o 0,5% w porównaniu z poprzednim kwartałem. Eksperci przewidywali, że tempo wzrostu PKB do końca roku jeszcze się zwiększy. Jednak wzrost gospodarczy, wbrew powszechnej opinii, nie równa się wzrostowi poziomu życia obywateli. Rzeczywiście, po raz pierwszy od 1945 r. w ciągu ostatnich 15 lat poziom życia Francuzów się nie podniósł. Według Antoine'a Foucher a, prezesa firmy doradczej Quintet, „dane INSEE (Narodowego Instytutu Statystyki i Studiów Ekonomicznych) pokazują, że każde pokolenie żyło lepiej niż poprzednie dzięki swojej pracy – z wyjątkiem obecnego. (…) Stąd to poczucie zubożenia".

Musimy tu wziąć pod uwagę dwa czynniki. Po pierwsze, wzrost cen, który sprawia, że siła nabywcza stale okazuje się niewystarczająca w zestawieniu z kosztami życia, takimi jak ceny żywności, czynsze czy energia.

Coraz więcej Francuzów pozostaje bez dachu nad głową.

Po drugie, wysokość wynagrodzeń. Pensje rosną bardzo powoli, a inflacja postępuje szybciej, pomniejszając wartość tego, co pracownicy ostatecznie dostają do ręki pod koniec miesiąca.

W przeciwieństwie do klasy średniej i osób wykluczonych społecznie najbogatsi wciąż pomnażają swoje fortuny. Warto w tym kontekście przytoczyć słowa Gabriela Zucmana: „W 1980 r. w Stanach Zjednoczonych i w Europie kontynentalnej udział 1% najbogatszych w dochodzie narodowym był taki sam: ok. 10%. Od tego czasu w USA udział ten się podwoił, a w Europie wzrósł do ok. 12%. Francja podążyła za tym trendem, lecz z wyjątkową dynamiką wzrostu majątków swoich miliarderów. W Stanach Zjednoczonych 400 największych fortun odpowiada za 19% PKB. We Francji – za 20%".

Przepaść rosnąca pomiędzy 1% najbogatszych a resztą społeczeństwa przypomina stan przed rewolucją francuską, kiedy ten 1% posiadał 70% majątku narodowego. Dziś 1% Francuzów kontroluje mniej więcej jedną czwartą całego majątku kraju, podczas gdy połowa społeczeństwa ma w rękach zaledwie kilka procent. Jeszcze w latach 80. ten sam 1% posiadał ok. 15% majątku, więc udział tej grupy wzrósł o połowę w ciągu czterech dekad.

Faworyzowanie najbogatszych z obozu skupionego wokół prezydenta Macrona skutkowało tym, że 500 najzamożniejszych osób we Francji za jego prezydentury podwoiło swoje fortuny. Nie przyniosło mu to jednak oczekiwanych korzyści politycznych – bogaci coraz częściej skłaniają się ku skrajnej prawicy. Przykładem może być postępująca monopolizacja mediów przez Vincenta Bollorégo, który doprowadził do skrajnego przesunięcia debaty publicznej na prawo.

Warto na koniec zadać sobie pytanie, czy istnieje jeszcze wyraźna granica między polityką uprzywilejowującą bogatych a mechanizmami, które w innych krajach określa się jako klientelizm czy korupcję. Przykłady z Ukrainy lub Czech uważane są często za egzotyczne, odległe – ale czy francuskie realia rzeczywiście aż tak się od nich różnią? Obserwacja tego, co dzieje się we Francji, powinna chyba skłonić do rewizji wyobrażeń o Zachodzie jako wzorze cywilizacyjnym. Pęknięcia są widoczne gołym okiem, dokładnie widać zwłaszcza narastające nierówności, słabnące państwo i erozję zaufania społecznego.

Sarah Bomba

FOT. REUTERS/FORUM, TOMASZ OSZCZEPALSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 4360eb2774

TVP A OCZEKIWANIA LOJALNEGO WIDZA 60+

Wierna widownia w poszukiwaniu głosu



Aleksandra Chmielewska, Marlena Kondrat

97% Polaków powyżej 60. roku życia regularnie ogląda telewizję linearną. Średnia dzienna oglądalność w tej grupie sięga 346 minut, czyli ponad pięć i pół godziny. Dla porównania – widzowie w wieku 20-24 lata poświęcają telewizji zaledwie 62 minuty dziennie. Te statystyki nie są jedynie suchym odzwierciedleniem nawyków konsumpcyjnych. To portret pokolenia, dla którego ekran telewizora stanowi okno na świat, podstawowe źródło informacji, rozrywki oraz formę codziennego rytuału i strukturyzacji czasu. W kontekście danych wskazujących, że 36% seniorów często lub bardzo często odczuwa samotność, rola telewizji jako „dźwięku w tle", świadka dnia powszedniego i substytutu kontaktu nabiera jeszcze głębszego znaczenia.

Jest więc naturalne, że TVP powinna szczególnie tę grupę doceniać. Po pierwsze, dlatego że widzowie 60+ stanowią prawie 10-milionową społeczność i są filarem oglądalności. Po drugie, tego wymaga misja telewizji publicznej, takie są oczekiwania społeczne. Czy z tego zobowiązania TVP wywiązuje się w wystarczającym stopniu? Mamy wątpliwości.

Między deklaracjami a rozproszeniem

16 grudnia 2025 r. podczas posiedzenia jednej z komisji sejmowych przedstawiciele TVP zadeklarowali, że niemal 18% treści antenowych ma charakter senioralny. Wartość procentowa robi wrażenie, jednak jej interpretacja wymaga rozwinięcia. Te 18% obejmuje bowiem i programy w pełni przeznaczone dla seniorów, i takie, w których tematyka wieku starszego jest jednym z wielu poruszanych wątków.

Do gamy formatów skierowanych wyraźnie do starszego odbiorcy należą bezsprzeczne hity, takie jak „Sanatorium miłości" (przewidziana jest kontynuacja jako errata pod tytułem „Życie po sanatorium") czy „The Voice Senior" w TVP 2. Na antenach regionalnych, takich jak TVP Warszawa, emitowany jest interaktywny program na żywo „Srebrny telefon", stanowiący bezpośrednie łącze między widzami a ekspertami. TVP Info oferuje również „Drugie śniadanie",

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4360eb2774

program określany niekiedy jako śniadaniówka dla seniorów.

Tematyka senioralna wybrzmiewa także w programach, które nie są nastawione konkretnie na osoby starsze – w magazynach porannych, talk-show czy audycjach publicystycznych głównych anten, gdzie wśród innych tematów porusza się kwestie praw, zdrowia i aktywności osób 60+. Ta wszechobecność ma dwojaką naturę. Z jednej strony, jest zaletą, integrując problematykę wieku starszego z głównym nurtem programowym i podnosząc jej społeczną rangę. Z drugiej jednak – rodzi uzasadnione pytania o strategiczną spójność, konsekwencję oraz głębię podejścia. Czy model oparty na pojedynczych formatach, uzupełniony wątkami „przy okazji", wplecionymi często przypadkowo w programy ogólne, jest adekwatną odpowiedzią na skalę zdiagnozowanych potrzeb?

Podstawowym mankamentem w przedstawianiu we współczesnych mediach jesieni życia jest utrwalanie stereotypowego, często infantylizującego wizerunku. Osoby 60+ sprowadza się do dwóch uproszczonych ról: troskliwego opiekuna wnuków lub uczestnika sielankowego, uzdrowiskowego życia towarzyskiego. Tymczasem grupa „seniorów" jest wewnętrznie zróżnicowana. 60-letnia osoba aktywna zawodowo ma zupełnie inne potrzeby komunikacyjne, estetyczne i programowe niż osoba w wieku 85 lat. Kluczowe staje się zatem budowanie wielowymiarowego portretu pokolenia. Pokazywanie seniorów nie tylko jako odbiorców pomocy społecznej, ale też jako aktywnych zawodowo specjalistów, zaangażowanych społecznie obywateli, osoby z pasjami, mentorów, podróżników. Chodzi o przejście od narracji „o" seniorach, często pełnej uprzedzeń, do narracji „przez" i „dla" seniorów, z ich autentycznym, podmiotowym udziałem w tworzeniu treści.

Równie istotna jest warstwa formalna i stylistyczna przekazu. Postulaty kierowane do telewizji publicznej są w tej kwestii wyjątkowo precyzyjne i uzasadnione: konieczność stosowania jasnego, zrozumiałego języka, pozbawionego zbędnego żargonu technicznego czy administracyjnego, odpowiedniej artykulacji prowadzących oraz dostosowania tempa wypowiedzi. Chodzi tu nie o protekcjonalne upraszczanie świata, ale o realną dostępność komunikatu, wynikającą z poszanowania procesów percepcyjnych starszych odbiorców.

Ku różnorodnej ofercie z misją społeczną

Na podstawie zdiagnozowanych luk i artykułowanych potrzeb rozwój oferty dla seniorów powinien się koncentrować na czterech filarach.

Po pierwsze, edukacja i realne, praktyczne wsparcie. Istnieje wyraźna, niezaspokojona potrzeba programów, które w przystępnej formie dostarczają wiedzy o charakterze użytkowym. Pilnie potrzebne są audycje przewodniki, które w przejrzysty sposób wyjaśnią zawiłości systemu emerytalno-rentowego, procedury związane z dostępem do różnych form wsparcia (takich jak dodatek opiekuńczy, świadczenie pielęgnacyjne) czy zasady wypełniania często skomplikowanych formularzy. Niezbędne są też regularne kampanie społeczne ostrzegające przed oszustwami metodą „na wnuczka" czy „na pracownika socjalnego".

W dobie postępującego wykluczenia cyfrowego cykle podnoszące kompetencje cyfrowe – od podstawowych operacji w bankowości elektronicznej, przez bezpieczne zakupy online, po obsługę komunikatorów umożliwiających kontakt z rodziną – stają się wręcz elementem misji modernizacyjnej i integracyjnej medium publicznego.

Po drugie, promocja aktywności fizycznej, umysłowej i społecznej. Oferta programowa powinna czynnie i inspirująco wspierać zdrowy, aktywny styl życia na emeryturze. Raport „Badanie potrzeb społecznych seniorów 2025" (Stowarzyszenie Manko) wskazuje, że aż 58,8% osób starszych za najbardziej atrakcyjne uznaje aktywności kulturalne i integracyjne, a 27,2% – zajęcia sportowe. Programy promujące gimnastykę dostosowaną do możliwości wieku, zdrowe odżywianie, ćwiczenia pamięci i koncentracji, jak również lokalne inicjatywy kulturalne czy wolontariat, nie są jedynie dodatkiem do oferty. Stanowią one istotny element misji prozdrowotnej, aktywizującej i przeciwdziałającej marginalizacji społecznej.

Po trzecie, rozrywka z poszanowaniem inteligencji i doświadczenia widza. Przestrzeń dla formatów czysto rozrywkowych musi ewoluować w stronę większej różnorodności i głębi, unikając pułapki jednolitego, infantylnego tonu. Obok kontynuacji sprawdzonych programów potrzebne są nowe, ambitne formy: dokumenty podróżnicze śladami seniorów odkrywców, serie historyczne opowiadane przez świadków wydarzeń, programy kulinarne, ogrodnicze czy dla „majsterkowiczów" realizowane z udziałem starszych ekspertów entuzjastów. Chodzi o formaty, które traktują widza podmiotowo, dostarczając mu nie tylko biernej rozrywki, ale także wartościowych treści, inspiracji i możliwości identyfikacji z pozytywnymi, aktywnymi bohaterami w jego wieku.

Po czwarte, autentyczność i budowanie mostów między pokoleniami jako wartość nadrzędna. Formaty łączące pokolenia odpowiadają na głęboką potrzebę wzajemnego zrozumienia i przeciwdziałania samotności. Udane przykłady, takie jak brytyjskie reality show Channel 4, łączące młodych i starszych w poszukiwaniu skarbów (1,3 mln widzów w ciągu tygodnia od premiery), czy polski film kinowy „Dalej jazda", pokazują ogromny potencjał tego

Widzowie 60+ stanowią prawie 10-milionową społeczność i są filarem oglądalności TVP.

eprasa.pl 4360eb2774

rodzaju produkcji. Dla telewizji publicznej tworzenie przestrzeni do autentycznej, pozbawionej uprzedzeń wymiany doświadczeń między pokoleniami – czy to w formie wspólnych projektów dokumentalnych, talk-show z udziałem rodzin wielopokoleniowych, czy programów typu „masterclass", gdzie seniorzy uczą młodych tradycyjnych rzemiosł, a młodzi wprowadzają seniorów w świat nowych technologii – powinno być traktowane jako inwestycja w kapitał społeczny i spójność. Jest to wartość wpisująca się w samą istotę misji nadawcy publicznego.

Podsumowanie

Nie chodzi więc o to, by oferować seniorom jakąkolwiek treść, by zapełnić ich czas. Chodzi o przejście od modelu, w którym starszy widz jest głównie biernym konsumentem rozrywki, do modelu, w którym staje się pełnoprawnym, podmiotowym odbiorcą-usługobiorcą i współtwórcą. Oczekuje on treści, które traktują go poważnie, dostarczają wsparcia w codziennych wyzwaniach oraz poczucia społecznej przynależności i reprezentacji.

W czasach, gdy telewizja linearna dla młodszych kohort traci na znaczeniu, dla pokolenia 60+ nadal pozostaje medium centralnym. To historyczna szansa, ale i ogromne zobowiązanie. Jego wypełnienie wymaga wypracowania i konsekwentnej realizacji przemyślanej strategii programowej. Takiej, która wyobraźnią i odpowiedzialnością będzie mówić do swojego najwierniejszego widza, oferując mu nie tylko zajęcie, ale także poczucie, że jego głos jest słyszalny, a jego doświadczenie – cenne. Najwyższy czas, by wierna widownia stała się wreszcie widownią w pełni docenioną.

Mankamentem jest utrwalanie stereotypowego, często infantylizującego wizerunku. A grupa „seniorów" jest wewnętrznie zróżnicowana.

Dr Aleksandra Chmielewska – medioznawczyni i badaczka technologii, wykładowczyni Uniwersytetu Warszawskiego (WDIB) oraz adiunkt Akademii Mazowieckiej w Płocku. Specjalizuje się w personalizacji mediów, danych RPD i zastosowaniach AI w telewizji oraz w politykach publicznych rynku medialnego

Dr Marlena Kondrat – prezes Krajowego Instytutu Gospodarki Senioralnej, pracownik dydaktyczno-naukowy Uniwersytetu Warszawskiego oraz wykładowczyni Uniwersytetu Civitas. Naukowo zajmuje się wpływem silver tsunami na procesy gospodarcze oraz zarządzaniem różnorodnością pokoleniową w organizacjach



eprasa.pl 4360eb2774

Jak żagle na wiatrach

NAJLEPSI BRAMKARZE ŚWIATA

Wojciech Kuczok

Nie ma przerwy zimowej w piłce – i to jest kibicowskie szczęście. Anglicy jak świat światem grali także w święta, Włosi i Hiszpanie mają pauzę króciutką jak nowa koafiura Griezmanna, a dzięki rozrzutności Arabów możemy też na przełomie roku emocjonować się superpucharami topowych lig europejskich. Saudowie tradycyjnie organizują u siebie mikroturnieje z udziałem najlepszych ekip Serie A i La Liga, w Kuwejcie zaś odbył się mecz między mistrzem i zdobywcą pucharu Francji.

Pecunia non olet, a pytanie, czy petrodolary są obecnie brudniejsze od dolara amerykańskiego, wydaje się zasadne – szejkowie przynajmniej nie udają, że interesuje ich demokracja. Owóż, w czwartkowy wieczór Paryż zmierzył się z Marsylią na Półwyspie Arabskim i zdobył pierwsze tegoroczne trofeum głównie za sprawą Lucasa Chevaliera, warto zatem zwrócić baczniejszą uwagę na nadchodzącą zmianę bramkarskiej warty w światowych rankingach.

Grupie młodych mistrzów przewodzi Gianluigi Donnarumma, najdroższy obecnie bramkarz na świecie.

Francuzi mogą spać spokojnie: ich numerem jeden pozostaje 30-letni Mike Maignan, który gra wybitny sezon w A.C. Milan. Chevalier ma jednak taką zwyżkę formy, że ewentualna zmiana między słupkami nijak drużyny nie osłabi. Jeśli mierzyć siłę zespołu obsadą bramki, jeśli to golkiper miałby być języczkiem u wagi w wyrównanej stawce, latem Francuzi powinni jechać do Ameryki po złoto mistrzostw świata. Kiedy ostatnio je zdobywali, w bramce mieli wysoce niepewnego Hugo Llorisa, który nawet w finale mundialu dał plamę, nieporadnie kiwając się z Mariem Mandžukiciem.

Lucas Chevalier wybronił w czwartek tyle strzałów rozjuszonych Marsylczyków, także z najbliższej odległości, że wystarczyłoby do listy pięciu najlepszych parad roku, a jakby tego było mało, złamał rywalom serce, wybraniając dwa kolejne karne w serii jedenastek. Toż prosi się, by idąc śladem Kazimierza Wierzyńskiego, jakiś poemat bramkarski mu poświęcić, choć „lecąc w górę, jak żagiel na wiatrach", to nie za Atlantyk wybił piłkę jednym ciosem, lecz nad Zatoką Kuwejcką.

Innym bohaterem pierwszych noworocznych fajerwerków futbolowych był Joan García, który w derbach Barcelony przeszedł samego siebie w sensie ścisłym: nie tylko wybronił wszystko, co było w jego zasięgu, ale i zapisał się w historii paradą niemożliwą – popchnął swojego stopera tak, by ten, upadając, zablokował strzał, do którego bramkarz nie miałby szansy zdążyć. Trzeba mieć żelazne *cojones*, żeby takie sztuki wyprawiać na stadionie Espanyolu, gdzie García jest obecnie wrogiem publicznym numer jeden, wszak przed sezonem stąd właśnie, od znienawidzonego sąsiada, ściągnęła go do siebie Blaugrana. Młody Katalończyk był przez cały mecz lżony, nasłuchał się setek gróźb karalnych, fanatyczni kibice rzucali w niego sztucznymi szczurami i banknotami z wizerunkiem „zdrajcy", ale to tylko go zmotywowało do zagrania meczu życia.

García jest obok Chevaliera na czele fali bramkarzy, którzy niechybnie w najbliższych latach zastąpią zmęczonych mistrzów – fakt, że wciąż nie zdołał zadebiutować w kadrze Hiszpanii, musi zdumiewać, mimo że ma mocnych konkurentów z Davidem Rayą z Arsenalu na czele.

Grupie młodych mistrzów, którzy w najbliższej dekadzie zapiszą się złotymi zgłoskami w piłkarskich annałach, przewodzi oczywiście Gianluigi Donnarumma, najdroższy obecnie bramkarz na świecie, przed sezonem wytransferowany z obrzydliwie bogatego katarskiego PSG do jeszcze bogatszego emirackiego Manchesteru City. Donnarumma od lat jest pewniakiem w bramce reprezentacji Włoch i zmierza po rekordy takich legend jak Dino Zoff i Gianluigi Buffon, którzy zagrali w kadrze po sto kilkadziesiąt razy.

Wśród 20-latków najbardziej cenieni są jeszcze Portugalczyk Diogo Costa (tylko że on nie ma czego bronić w FC Porto m.in. za sprawą naszego muru obronnego Bednarek-Kiwior, w 17 kolejkach ligowych Smoki tylko raz nie wygrały, tracąc dotąd w sumie… cztery gole), Gruzin Giorgi Mamardashvili (wyczyniał cuda w bramce gruzińskiej na Euro 24, ale w Liverpoolu wciąż jest wyłącznie zastępcą Alissona) i Vanja Milinković-Savić (choć już nie taki młody, posiadacz najpiękniejszej brody bramkarskiej, obecnie opoka Napoli, przed dekadą szlify seniorskie zdobywał w gdańskiej Lechii).

Na szczycie hierarchii bramkarskiej pozostają jednak starzy wyjadacze z absolutnie zjawiskowego rocznika 1992. Cóż to za gromadka! Thibaut Courtois, Jan Oblak, Alisson, Emiliano Martínez, Gerónimo Rulli, Marc-André ter Stegen… – jeszcze nie tak starzy, ale już bramkarskie legendy. Im gorzej gra Real

eprasa.pl 4360eb2774



39-letni Manuel Neuer wciąż jest numerem jeden w Bayernie. Nz. w meczu z FSV Mainz 05, 14 grudnia 2025 r.

Madryt, tym lepiej dla Courtois, który w każdym właściwie meczu może dowodzić, że jest wciąż najlepszym bramkarzem świata (przed laty był bohaterem podobnego transferu, co Joan García – przeszedł do Galácticos z Atlético, osobiście widziałem, jak fanatycy Colchoneros machali kartkami z jego szczurzą podobizną podpisaną „Ratois").

Jan Oblak 12. sezon z rzędu trzyma bramkarską władzę w Atlético Madryt i równie trudno sobie wyobrazić ten klub bez niego, jak bez Diega Simeonego. Alisson w klubie nie dał się wygryźć ze składu Mamardashvilemu, a z reprezentacją jako numer jeden w bramce pojedzie w tym roku po szósty puchar świata dla Canarinhos.

Martínez już przed czterema laty nieprzyzwoicie się zabawiał statuetką najlepszego bramkarza mundialu i w tym roku zechce ten szpryngiel powtórzyć, w lidze angielskiej zaś jest strażnikiem w bramce największej sensacji sezonu – wciąż mającej ambicje mistrzowskie Aston Villi. Jego zmiennikiem w reprezentacyjnej bramce jest Gerónimo Rulli, czyniący cuda w Olympique, dzięki czemu Marsylczycy trzymają się w czubie tabeli Ligue 1. I tylko Marc-André ter Stegen, wróciwszy po koszmarnej kontuzji, nie znalazł już sobie miejsca w bramce Barcelony, ale jeśli obniży wymagania finansowe, pewnie odnajdzie jeszcze formę w innej lidze.

Starsi mistrzowie, z najlepszym w moim przekonaniu bramkarzem wszech czasów Manuelem Neuerem na czele, powoli będą kończyć kariery. Neuer, lat 39, wciąż jest numerem jeden w Bayernie, ale w reprezentacji zastąpił go inny weteran, Oliver Baumann (skądinąd Niemcy mają na tej pozycji problem – wybitnych bramkarzy nie widać na horyzoncie). Yann Sommer (37 lat) jeszcze broni w Interze i idzie ze swoim klubem po pełną pulę zarówno we Włoszech jak i w Europie, ale za jego plecami czai się w kadrze Szwajcarii godny następca, Gregor Kobel, na co dzień golkiper Borussii Dortmund.

Wojciech Szczęsny (35 lat) już miejsca w bramce Barcelony nie odzyska, ale nie ma chyba też takich ambicji. I tak jest zadowolony, że po ogłoszeniu emerytury w ciągu roku zdążył sobie jeszcze zagrać w czterech EL Clásico! Żal tylko, że z kadrą pożegnał się na stałe, bo my lepszego na tej pozycji nadal nie mamy. Łukasz Skorupski to nie jest klasa Szczęsnego, a jest od niego tylko o rok młodszy, więc na nim przyszłości budować nie możemy. Marcin Bułka leczy kontuzję i traci sezon w Arabii Saudyjskiej. Kamil Grabara ma wielki talent, ale jeszcze większe ego, co nie zawsze pomaga na boisku. Radosław Majecki jest solidny, broni w Bresce, wcześniej dawał radę w Monaco, ale to zawodnik nierówny, to nigdy nie będzie klasa światowa. Bartłomiej Drągowski najlepsze lata spędził we Fiorentinie i choć to wciąż niestary gość, nie ma pewnego miejsca w bramce Panathinaikosu, przydałby mu się transfer. Mateusz Kochalski gra w Lidze Mistrzów i na pewno podnosi swoją wartość, ale z Kazachstanu do reprezentacji droga daleka. Jakub Stolarczyk spadł z Leicesterem do Championship, tam został niekwestionowaną jedynką w bramce, tyle że Lisy raczej utkwią w niższej lidze na dobre, Polak już tam się nie rozwinie.

Możemy wiązać nadzieje z naszymi młokosami, którzy już ogrywają się w europejskich pucharach: chodzi przede wszystkim o Sławomira Abramowicza (rocznik 2004) i Miłosza Piekutowskiego (rocznik 2006) z Jagiellonii Białystok. W bramce Rakowa też króluje młodość, 20-letni Oliwier Zych jesienią wygryzł z bramki niewiele starszego Kacpra Trelowskiego. 23-letni Kacper Tobiasz jesienią zawodził jak cała Legia, ale może w Turcji się obudzi, jeśli zostanie sprzedany do Samsunsporu.

A na moim światowym podium wszech czasów ostatnia zmiana nastąpiła przed kilkunastu laty, od mundialu 2014 wygląda ono tak: Manuel Neuer, Gianluigi Buffon, Peter Schmeichel. ■

FOT. PHILIPPE RUIZ/XINHUA/EAST NEWS

eprasa.pl 4360eb2774

Zima z białą laską

Na forach dla niewidomych co roku pojawia się pytanie: macie patent na poruszanie się w śniegu?

Tomasz Matczak

Zima 2025/2026 znowu nas zaskoczyła. Tuż przed sylwestrem pojawił się biały puch, zwany przez niezadowolonych białym czymś innym. Premier zwoływał sztaby kryzysowe, meteorolodzy zapowiadali kolejne opady, a wielbiciele biegówek zacierali ręce. No i dzieci! Sanki, bałwany, śnieżki, czyli coś, czego ostatnio zdecydowanie brakowało. Tymczasem w innym świecie, gdzie litery są przyporządkowane wypukłym kropkom, gdzie nie istnieją kolory i obrazy, lecz jedynie kształty odbierane dotykiem, gdzie słuch, a nie wzrok odgrywa ważną rolę, a biała laska stanowi nieodzowny element wyposażenia przy wyjściu na zewnątrz, zapanowało wymowne oczekiwanie. Podstawowe pytania brzmiały: ile śniegu spadnie oraz czy chodniki będą odśnieżone?

Wkrótce okazało się, że coś zostało wydeptane, jakieś szlaki mniej więcej przetarte, ale o odśnieżeniu trudno mówić. Oto inne oblicze zimy.

Wychodzę przed budynek. Jest mroźnie i wilgotno, co łatwo wyczuć. Moja biała laska trafia na koniec zadaszonego terenu. Dalej jest już tylko śnieg – tam, gdzie były dotąd chodnik, krawężnik, trawnik i jezdnia, czyli wszędzie. Krzewy, drzewa, samochody i budynki są tam, gdzie zawsze, ale dla mnie oznacza to: gdzieś wśród śniegu. Koniec białej laski wciąż natrafia na śnieg. Gdzie jestem? To już ulica? A może trawnik, bo bez kontroli krawężnika nie wiem, czy nie skręciłem. Zwykle chodzę w miarę szybko po znanym terenie, ale teraz tempo marszu spada. Wiem, że jestem przed swoim blokiem, ale to wszystko. Jeśli chcę iść do sklepu czy na przystanek tramwajowy, to stanowczo za mało. Ktoś powie: a od czego masz uszy? Fakt, słuch trochę pomaga, ale nie załatwia sprawy. Nie jestem nietoperzem, który wysyła ultradźwięki, a potem odbiera odbitą falę.

Świat na pewno wygląda pięknie. Białe czapy na drzewach, oszronione krzewy, tańczące w powietrzu płatki, wszystko białe i czyste. Dla mnie jednak to piękno, a raczej warunki, które je stworzyły, są okrutne. Trudno znaleźć drogę, gdy dookoła tylko śnieg, śnieg, śnieg i nic innego. Gdy w niedzielę wyszedłem rano na dwór, panowała cisza, mało było ludzi, samochodów. Nagle natrafiłem na twardą powierzchnię. Ucieszyłem się, że ktoś odśnieżył chodnik. Po kilkunastu metrach coś mnie tknęło. Sprawdziłem po bokach. Czysto, zero śniegu. Sięgnąłem dalej. Twardo. I nagle do mnie dotarło: jestem na jezdni. To asfalt, a nie chodnik. Zniosło mnie z kursu! Rozpaczliwie szukałem miejsca, gdzie powinien znajdować się krawężnik, a dalej ubity przez przechodniów szlak. Natrafiłem na pagórki śnieżne do połowy łydki, sięgnąłem za nie laską. Jest! Wydeptana ścieżynka! Tym razem się udało.

Koniec laski wciąż natrafia na śnieg. To już ulica? A może trawnik?

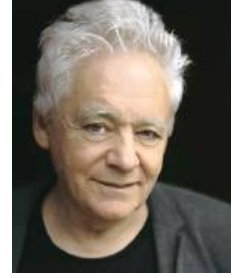
Któregoś roku też sypało jak przed sylwestrem 2025. Wracałem z pracy i gdy wsiadałem do tramwaju, było względnie, czytaj: ubite ścieżki, w których niewidomy czuje się jak lokomotywa na szynach. Od domu dzieliła mnie godzina drogi. Godzina i, jak się okazało, 20 cm śniegu. Piękny musiał być ten świat! Wysiadłem z tramwaju wprost w uginający się pod butami gruby kobierzec. A co na to biała laska? Nic, bo co mogła zrobić w takich warunkach? Kierując się odgłosami rozmów, przejeżdżających autobusów i udźwiękowionego przejścia dla pieszych, dotarłem do znanego mi zakrętu. Gdyby nie ta zima, dalej byłoby łatwo, czyli gdzie chodnik poniesie, ale nie było chodnika. Nie było też trawnika ani nic innego jak laską sięgnąć. Zdesperowany ruszyłem na przełaj ku blokom. Wiedziałem, że gdy do nich dotrę, pójdę wzdłuż betonowej ściany i jakoś na własne osiedle trafię. Nie zastanawiałem się, czy idę po chodniku, trawniku czy czymś innym. Miałem jeden cel: znaleźć betonową ścianę bloku. Brnąłem po kolana w puchu, a laska w tych okolicznościach była tylko balastem.

Każdy ma swoją zimę. Dzieci tę sankową i bałwaniastą, kierowcy naznaczoną skrobaniem szyb i rytualnym: „Zima zaskoczyła drogowców". Narciarze mają zimę zjazdową lub biegową, a artyści estetyczną, bo czapy śniegu na świerkach wyglądają bajecznie.

Niewidomi mają swoją zimę. Byłoby cudownie, gdyby była bezśnieżna. Ale śnieg nas nastraja do stawienia mu czoła. Są wśród nas tacy, którzy chcieliby jak niedźwiedź zakopać się, gdy nadciąga zima, i obudzić po roztopach. Niestety, tak się nie da. Na internetowych forach czy grupach whatsappowych dla niewidomych co roku pojawiają się pytania: macie patent na poruszanie się w śniegu?

Nie, nie ma patentu. Śnieg oznacza dla nas kłopoty. Ukrywa przed nami znane dotąd szlaki oraz punkty orientacyjne i utrudnia poruszanie się po dworze. Nie sądzę, aby jakikolwiek niewidomy lubił śnieżną zimę. Mnie śnieg nauczył pokory. Nie zawsze jest tak, jak bym chciał, ale zawsze trzeba szukać wyjścia, bo na tym polega życie. I tego będę się trzymał. ■

eprasa.pl 4360eb2774



Oko w oko Tomasz Jastrun

Coś się kończy

Oddala się od nas rok i jak wielki, zardzewiały okręt znika w mgłach przeszłości. Co nam zostawił? Już pewne, że zmiany klimatyczne nabierają tempa, a dzieje się to szybciej, niż przewidywali najbardziej pesymistyczni fizycy atmosfery. Wszyscy są jednego zdania: zmierzamy do katastrofy. Prawicowi politycy w to nie wierzą lub udają, że nie wierzą. To zapewne największy dramat naszej planety, powszechnie przeoczany, bo rozciągnięty w czasie. Wszystkie inne bledną. Chyba że w końcu zostanie użyty arsenał atomowy, wtedy szlag nas trafi o wiele wcześniej. Siedzimy na tym arsenale jak kura na jajku i grzejemy termojądrowe jajo. Broń atomowa trafia już do państw szalonych jak Korea Północna.

Prezydentem kraju, który do tej pory był strażnikiem demokracji w świecie, czasami pokracznym, został klaun, narcyz i podły człowiek. Bardzo go lubi i ceni nasz prezydent i chlubi się, że ten do niego czasami dzwoni. To, że Nawrocki, pełen strasznych wad, nacjonalista, został naszym prezydentem, jest tylko lokalną katastrofą, Trump jest katastrofą globalną.

•

Już widać, że Nawrocki urwał się PiS i jest prezydentem Konfederacji. Braun dla niego też jest w porządku, tylko chłop trochę przesadza, ma rację, ale zachowuje się niepolitycznie. Jak to możliwe, że grubo ponad milion Polaków za swojego idola i autorytet uważa faszystę, a może nawet nazistę? W kraju, gdzie doszło do największej zbrodni w historii naszej planety, właśnie z powodu ideologii, która Braunowi jest bliska. On i milion jego wyznawców pomagają nam zrozumieć to, co zdaje się niepojęte – jak Niemcy tak masowo mogli poprzeć nazizm.

•

Nie był to więc dobry rok ani dla nas, ani globalnie. Z drugiej strony nasza gospodarka świetnie pracuje. Polska wskoczyła do klubu 20 najbogatszych krajów świata. Jaka niespodzianka! Sami jesteśmy zaskoczeni. Przecież my, bałaganiarze, mało punktualni, trochę niechlujni, nie możemy powiedzieć, że organizacja i przestrzeganie reguł gry są naszą mocną stroną. A jednak udało się! Nasza narodowa prawica tymczasem uważa, że rządy liberalne rujnują kraj i że zagrażają nam Niemcy. Przyjaźni nam po raz pierwszy w historii. O Rosji prawica lubi milczeć. A przecież za naszą granicą trwa straszna wojna, Ukraińcy giną też za nas. Wedle prawicy jesteśmy jak w latach 30. wzięci w dwa ognie.

Okropna sytuacja, można umrzeć ze strachu. Dlatego trzeba gromadzić się pod jedną flagą, którą dzierży prezes. Ale prezesowi już drży ręka, posunął się w latach, podgryzają go we własnej partii, no i nie wiadomo, co z tą przeklętą Konfederacją, jeśli po wyborach przyjdzie z nią tworzyć rząd i z Braunem na dokładkę, to będzie parszywa sytuacja i parszywy rząd. Nie starcza na coś takiego wyobraźni.

Ale to za dwa lata. A Bułgaria w nowym roku przyjęła euro jako swoją walutę. Najbiedniejszy kraj w Unii, lubimy o Bułgarach mówić z lekceważeniem: pastuchy. W Polsce ludzie zaczęli bać się euro, bo prawica straszy, że to zrujnuje naszą gospodarkę i stracimy tożsamość narodową. Złotówka to jak skrzydła husarskie, żurek i żubry, nasza narodowa specjalność. Jeszcze naszego orła zamienią na obcą kaczkę. Prezydent w ramach wzmożenia patriotycznego zarządził, by polską flagę sprzed pałacu co sobota zmieniać na świeżą, a starą, zużytą będzie się wozić jako patriotyczny totem do różnych gmin, by krzepić miłość do ojczyzny.

•

Śnieg i mróz, nasza miejska wieś zasypana. A w Telewizji Republika na pasku krzyczy napis: „Śnieżyca sparaliżowała Tuska". Orędzie premiera. Chwalił Polskę i snuł wizje, opowiedział bajkę o przyszłości, tak trzeba było już od dawna. Orędzie prezydenta dzień wcześniej konfrontacyjne. Mówił, jakby był liderem opozycji, który chce pogrążyć rząd. Gdy występował Tusk, zajrzałem do Republiki, byłem pewien, że nie będą transmitować wystąpienia premiera – przecież to zdrajca i zasługuje tylko na pogardę, a może nawet na śmierć. Puścili w tym czasie powtórkę wystąpienia Nawrockiego. Ci, którzy potrafią tak kłamać i manipulować, są zdolni do wszystkiego. Ta telewizja daje znakomity wgląd w duszę naszej skrajnej prawicy.

Wali się trwający kilkadziesiąt lat porządek naszej cywilizacji, gdzie większy nie zjada mniejszego.

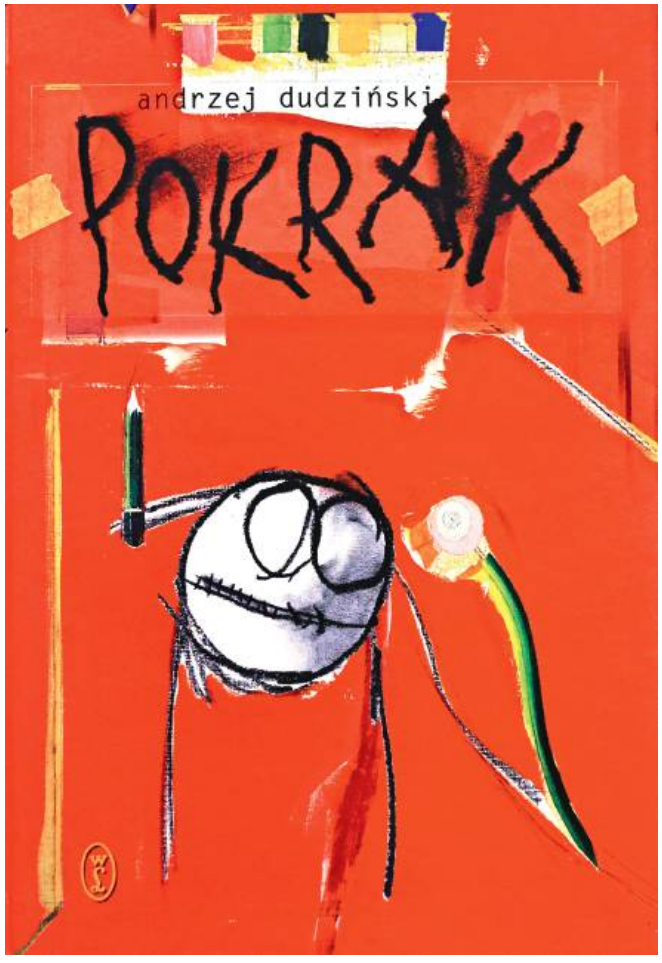
•

A Trump porywa z łóżka prezydenta Wenezueli i jego żonę. Należało im się, ale jaki to przykład dla państw zbójeckich, takich jak Chiny i Rosja? Już nikt się nie zdziwi, jeśli Trump zajmie Grenlandię, co wydawało się tylko głupim żartem. Wali się trwający kilkadziesiąt lat porządek naszej cywilizacji, gdzie jedną z zasad było, że większy nie zjada mniejszego. Coś się kończy i coś się zaczyna, nie bardzo wiadomo co, ale chyba nic dobrego. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4360eb2774



Opublikowana przez Wydawnictwo Literackie książka-album z cyklem rysunków znanych z „Tygodnika Powszechnego".



Słomiana wdowa.

Andrzej Dudziński

Przypadek artysty niemożliwego

Twórczość Andrzeja Dudzińskiego doczekała się szerokiego, międzynarodowego rezonansu już za życia artysty. W polskiej kulturze wizualnej drugiej połowy XX w. jest on jedną z najważniejszych postaci. Fenomen Dudzińskiego był wielokrotnie komentowany przez wybitnych krytyków i pisarzy, jednak dziś potrzeba nowego spojrzenia, osadzonego w aktualnym kontekście wrażliwości i doświadczeń. Patrząc z perspektywy współczesności, dostrzegamy artystę, który jawi się jako figura niemal niemożliwa – twórca o takiej swobodzie formalnej, skali oddziaływania i niezależności jest trudno wyobrażalny we współczesnym systemie sztuki.

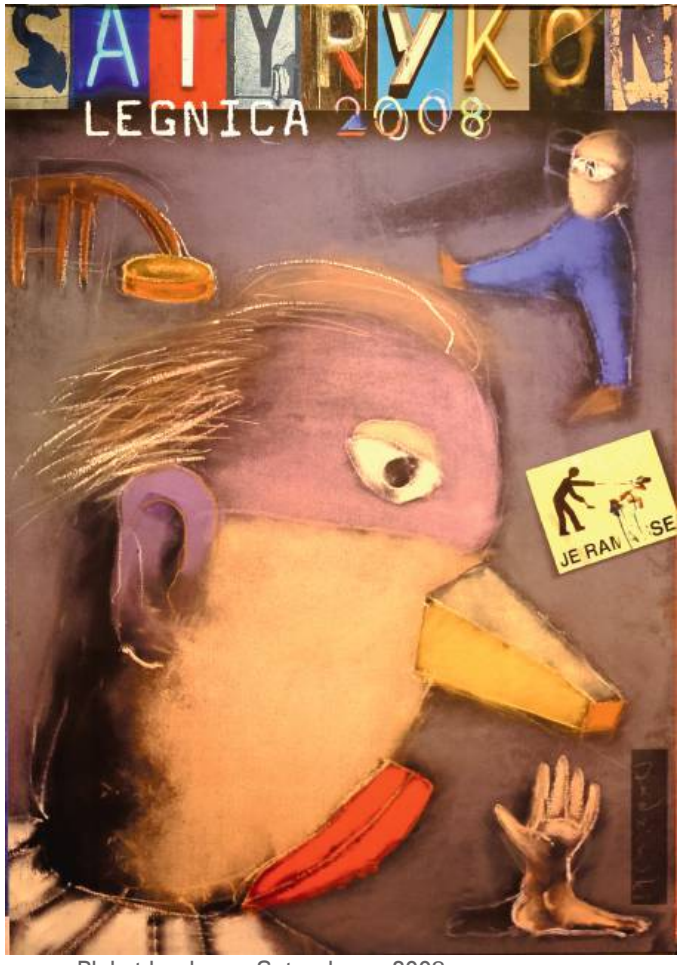
Galeria Opera – Teatr Wielki Opera Narodowa
Warszawa, Plac Teatralny 1
do 22 marca

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

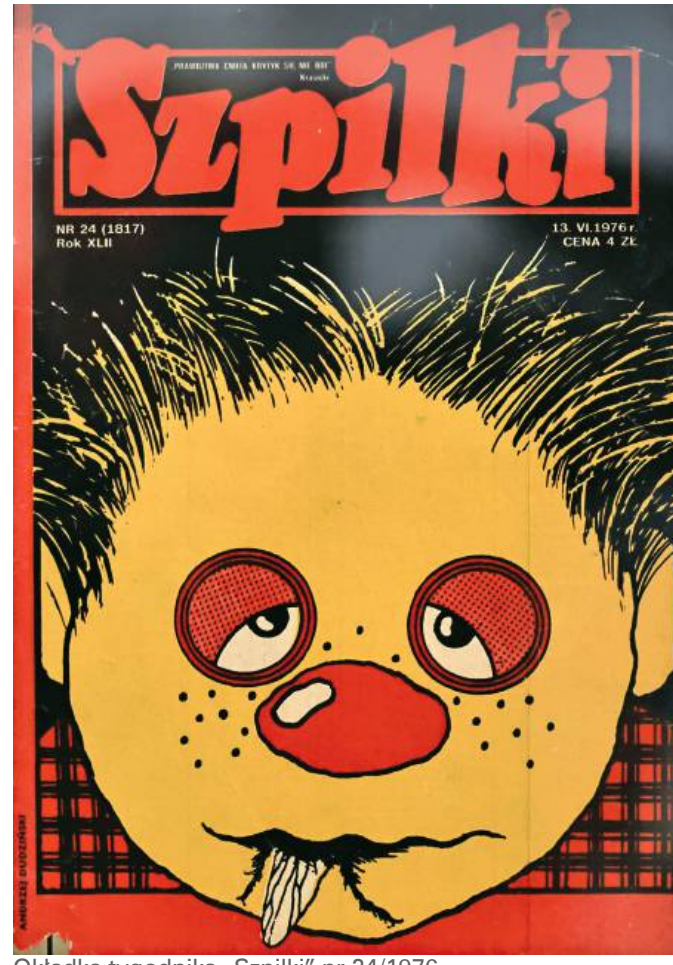


Odwiedziny 4.

eprasa.pl 4360eb2774

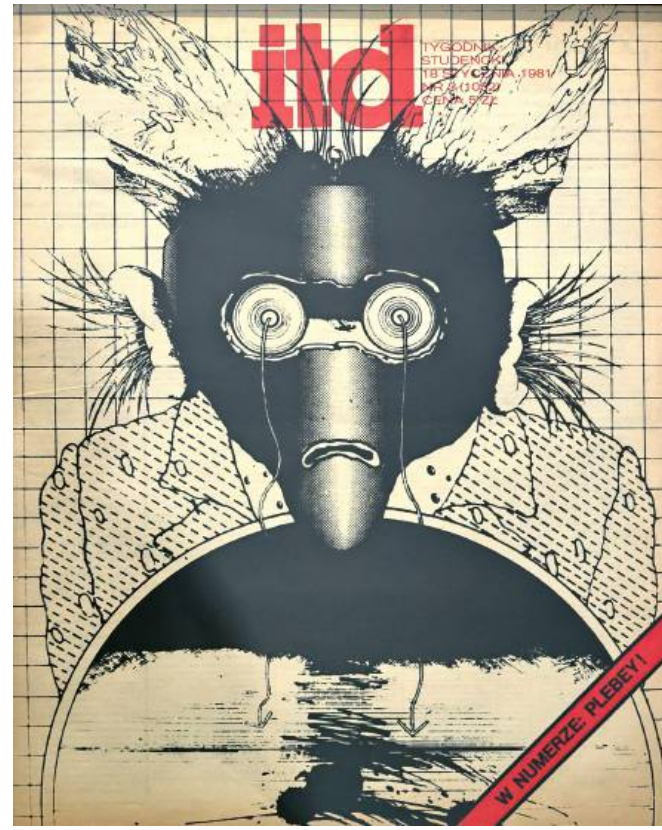


Plakat konkursu Satyrykon z 2008 r.



Okładka tygodnika „Szpilki" nr 24/1976.





Okładka tygodnika „ITD" nr 3/1981.

eprasa.pl 4360eb2774

Dylematy harnasia

Marek Perepeczko – aktor słabo wykorzystany

Marek Szymański



Podobno o mały włos Marek Perepeczko nie zostałby Janosikiem. Agnieszka, z którą Marek dzielił się wszystkimi swoimi wątpliwościami związanymi z rolą, jako chyba jedyna wiedziała (oprócz ekipy), co naprawdę działo się na planie. Większość publicznych wspomnień z czasów kręcenia serialu ma najczęściej charakter zabawnych dykteryjek, a oprócz Agnieszki tylko Witold Pyrkosz, komediowy Pyzdra w „Janosiku", zdawkowo ujawnił, że Marek Perepeczko popadł już na początku zdjęć w konflikt z reżyserem Jerzym Passendorferem.

Nieporozumienia musiały być naprawdę poważne, skoro Passendorfer, który miał opinię ugodowego i wyrozumiałego reżysera, chciał pozbyć się Perepeczki z serialu. „Na początku były jakieś problemy – wspominał Witold Pyrkosz. – Chyba po trzech odcinkach pojawił się między nim i reżyserem poważny konflikt. Nie wchodziłem w to, bo mnie to mało interesowało, ale ponoć Passendorfer był bliski tego, żeby z Marka zrezygnować. W końcu się na to nie zdobył. Na szczęście dla Marka Perepeczki i dla filmu też. W „Janosiku" Marek trzymał się trochę z boku od naszej grupy, czyli ode mnie, Bogusza Bilewskiego i Jerzego Cnoty. Po zakończeniu serialu moje kontakty z nim były okazjonalne, ale zawsze sympatyczne (…)".

Czego dotyczył spór filmowo-serialowego harnasia z reżyserem? Wszystko zaczęło się od kiepskiego scenariusza stworzonego przez krakowskiego prozaika Tadeusza Kwiatkowskiego; co do tego ekipa się zgadzała. Scenariusz poszedł bardziej w kierunku folklorystycznej opowieści o słynnym zbójniku, a aktorzy mieli posługiwać się wyłącznie góralską gwarą. Passendorfer chciał stworzyć atrakcyjne widowisko dla szerokiej widowni, trochę rubaszną przygodową opowieść w stylu płaszcza i szpady, z potyczkami, gonitwami i walką na szable. Reżyser na planie na bieżąco ratował scenariusz, zmieniając większość dialogów i dopasowując wyobraźnię scenarzysty do możliwości kamery filmowej. W rezultacie wiele scen planowanych było ad hoc, tuż przed zdjęciami, reżyser nie trzymał się jednej spójnej wizji, a opowieści wyraźnie brakowało tempa. (…)

FOT. EAST NEWS/POLFILM

eprasa.pl 4360eb2774

Marek walczył o swoją wizję bohatera, a koncepcyjna dezorganizacja na planie z pewnością mu w tym nie pomagała. Zaproszony przez Perepa Marek Mokrowiecki gościł przez kilka dni na planie serialu. Występował akurat na Scenie Polskiej Teatru w Czeskim Cieszynie, uprawiał wspinaczkę, więc wyprawa przez zieloną granicę na drugą stronę Tatr nie była dla niego wyzwaniem: najpierw pociągiem do Starego Smokowca, potem kolejką do Szczyrby i hej, dalej przez góry.

– Pamiętam, że strasznie się kłócili z Passendorferem – opowiada Mokry. – Marek widział Janosika bardziej jako ludowego herosa. Moim zdaniem reżyser nie wykorzystał w pełni umiejętności i potencjału Marka.

Mokrowiecki ma rację. Widzowie pewnie nie dostrzegli niektórych niuansów, ale trudno zobaczyć np. Marka tańczącego „zbójnickiego", mimo jego dużych zdolności tanecznych. Perepeczko nie chciał bohatera prymitywnego, cieszącego się jedynie jadłem i dziewkami, ale postrzegał Janosika bardziej poetycko, jako postać odrębną, wrażliwą, a jednocześnie imponującą nadzwyczajną siłą i licznymi umiejętnościami. Tymczasem raziły go przygotowywane naprędce sceny walki, które biły po oczach uproszczeniami i brakiem tempa.

„Podstawowymi wyróżnikami estetycznymi w takim filmie są ruch i rytm – mówił Perepeczko. – Tak jak w balecie. Wymaga to precyzyjnego opracowania dramaturgicznego każdej historii, każdej bójki, każdego starcia. Ze swojej strony robiłem, co mogłem. Ściągnąłem nawet grupę kaskaderów, którzy umożliwili mi rozgrywanie dynamicznych pojedynków na serio. Ale tymi naszymi próbami niezbyt się interesowano w ekipie. Stwierdzam to nie bez żalu, gdyż w „Janosika" zainwestowałem dwa lata życia. I sława tego filmu przylgnęła do mnie".

Inteligentny aktor na planie filmowym wszędzie jest problemem, bo to reżyser ma zawsze rację. Tylko u Wajdy było inaczej. Zarówno scenarzysta, jak i reżyser od początku widzieli Marka Perepeczkę jako tytułowego bohatera. Już jednak w trakcie zdjęć próbnych pojawiły się pierwsze zgrzyty, bo kierownictwo produkcji kręciło nosem, że za przystojny i nie potrafi posługiwać się góralską gwarą. Z gwary jednak szybko zrezygnował sam reżyser, bo uznał, że byłaby niezrozumiała dla większości widzów; zdecydowano się na stylizację językową z góralską artykulacją i charakterystycznymi, ogólnie zrozumiałymi zwrotami. Do decyzji Passendorfera przyczyniła się także opinia filmowego Kwiczoła.

„Bilewski zaproponował, żeby gwara góralska, którą mówią zbójnicy, nie była prawdziwa, bo wtedy nikt by nas nie rozumiał poza góralami, tylko żeby to była taka niby-gwara – wspominał Witold Pyrkosz. – Trochę baliśmy się, jak na to zareagują prawdziwi górale, ale po premierze telewizyjnej okazało się, że to kaleczenie gwary wybaczono nam bez problemów. Poza tym po filmie górale czuli się wreszcie docenieni, a Tatry rozsławione".

Inteligentny aktor na planie filmowym wszędzie jest problemem, bo to reżyser ma zawsze rację.

Narastające napięcia na linii Perepeczko-Passendorfer doprowadziły w swoim apogeum do sytuacji, w której reżyser prawie zdecydował się na wymianę głównego bohatera. Perepa miał zastąpić Czesław Jaroszyński, który mniej więcej w tym samym czasie kręcił u Andrzeja Konica przygodowy serial historyczny „Czarne chmury". Ostatecznie Jaroszyński zagrał w „Janosiku" słowackiego zbója Bardosa, a Marek pozostał Janosikiem. (…)

(…) Mimo wszystkich ograniczeń scenariuszowo-warsztatowych serial jest z przyjemnością oglądany do dzisiaj. Uratowało go świetne aktorstwo odtwórców najważniejszych postaci, ale również ról drugoplanowych. Janosika bronią dwie pary rozśmieszaczy: Pyzdra-Kwiczoł (Pyrkosz i Bilewski) oraz murgrabia-hrabia Horvath (Kociniak i Czechowicz), a także malownicze plenery przełomu Białki, Doliny Chochołowskiej, Małych Pienin, zamku Dunajec, Pieskowej Skały i wielu innych miejsc. Ale serial obronił przede wszystkim Marek Perepeczko. Piękny, szlachetny, sprawiedliwy. Z romantyczną duszą. Taki, jakiego pamiętamy z „Przygód Pana Michała" czy „Kolumbów".

Widzowie podziwiają piękną sylwetkę harnasia, który wreszcie tutaj mógł pokazać całą swoją fizyczność, popisać się umiejętnością fechtunku czy jazdy galopem. Prawdę powiedziawszy, Perepeczko nie wzniósł się w „Janosiku" na wyżyny umiejętności aktorskich, ale przy pomyśle Passendorfera nie miał na to szans. Janosikowi w wykonaniu Perepeczki jednak zwyczajnie wierzymy. (…)

Kwiatkowski i Passendorfer musieli się uporać z pewnymi niuansami, powiedzmy, politycznymi. Historyczny Juraj Jánošík (Jerzy Janosik) z Terchovej zbójował po słowackiej stronie Karpat i nawet za czasów socjalistycznej Czechosłowacji uznawany był za ważną postać w historii narodu, który walczył z uciskiem Habsburgów. Zbójował krótko, po ucieczce z austriackiej armii, rabując kogo popadnie, a nawet przyczyniając się do śmierci duchownego. Był zwykłym rzezimieszkiem, który zrabowanymi kosztownościami i suknem dzielił się jedynie ze swoimi kamratami, choć kroniki odnotowały, że zdarzyło mu się świecidełkami obdarować miejscowe dziewczęta. Schwytany zginął jak harnaś, na rynku w Liptowskim Mikułaszu, powieszony na haku za ostatnie żebro w marcu 1713 r.

Twórcy serialu przenieśli akcję na początek następnego wieku, żeby – jak ujął to Passendorfer – „uniknąć ewentualnych kolizji z ludowym bohaterem Słowaków". A ci jeszcze przed rozpadem Czechosłowacji postawili prawdziwemu Janosikowi monumentalny siedmioipółmetrowy pomnik w Terchovej. Do dzisiaj słowacki Janosik błyszczy wysoko na wzgórzu, bo socjalistyczny artysta zespawał posąg z kawałków stali nierdzewnej. Marek Perepeczko jest więc naszym, polskim harnasiem, który z tamtym historycznym nie ma nic wspólnego. Chociaż polscy turyści wędrujący po wzgórzach Terchovej są często przekonani, że to Janosik znany z ekranów. (…)

eprasa.pl 4360eb2774

Maryna, czyli Ewa Lemańska, okazała się w „Janosiku” prawdziwym ekranowym odkryciem. Zachwyciła publiczność naturalną urodą, a widzowie od razu „kupili ją” jako ukochaną tatrzańskiego harnasia. Lemańska debiutowała w serialu „Doktor Ewa”, w którym była koleżanką grającej główną rolę Ewy Wiśniewskiej. Na planie „Janosika” miała zaledwie 23 lata. Doskonale rozumiała się z Markiem, który chronił ją przed erotycznymi zakusami niektórych członków ekipy filmowej. Perep opiekował się nią w trakcie zdjęć, życzliwie doradzał. Przy nim i przy Passendorferze czuła się pewniej przed kamerą, przed kolejnym filmowym klapsem, w otoczeniu utytułowanych koleżanek i kolegów.

Mimo wielu prób nie udało mi się osobiście porozmawiać, chociażby przez telefon albo internetowy komunikator, z dawną Maryną, Ewą Lemańską-Roycewicz. Po „Janosiku” nie zagrała już żadnej większej roli (nie licząc epizodu generałowej Chłapowskiej w „Najdłuższej wojnie nowoczesnej Europy”). Wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, próbowała swoich sił w modelingu, trzykrotnie prowadziła walkę z różnymi nowotworami, a od kilkudziesięciu lat mieszka na Florydzie i rzadko rozmawia z dziennikarzami.

Chemia na ekranie kultowego serialu była tak widoczna, że plotkowano nawet o romansie Marka Perepeczki i Lemańskiej. „Nie, nie, nie! – protestowała aktorka po latach. – Był kolegą. Bronił mnie przed głupimi pomysłami innych panów, był wspaniałym przyjacielem. Nie było żadnego romansu. Była przyjaźń, ale taka naprawdę porządna. To był wspaniały i ciepły człowiek. Taki wielkolud o sercu motylka. Bronił mnie przed Marianem Kociniakiem, który ciągle mnie zaczepiał. A to obejmował, a to zapraszał na winko”.

Mało kto wie, że Marek załatwił nawet ówczesnemu mężowi Lemańskiej, Cezaremu Kaplińskiemu, niewielką rolę w serialu. Żeby Ewa mogła być bliżej ukochanego. Cały Perep. Ten fakt ostatecznie ucina wszelkie plotki o romansie. I tylko potwierdza opinię Jana Englerta, że „Marek nie był romansowy”. (…)

Po śmierci Perepeczki Ewa Lemańska raz jeszcze wróciła do wspomnień z serialu na potrzeby filmu dokumentalnego „Janosik, jakiego nie znacie”: „Marek Perepeczko był wspaniały. Nie zmuszał mnie do niczego, nie rozmawiał na temat Maryny. Nie chciał, żebym grała, on chciał, żebym była. Zawsze pomagał, próbował mnie oswoić, bo ja przecież byłam dzika, bałam się. Tylu wspaniałych aktorów – byłam przerażona, a on mnie zawsze próbował uspokoić”. (…)

Na planie kultowej produkcji Marek przeżywał nie tylko rozterki twórcze. Czuł się nieco odseparowany od zespołu, bo w wolnych od pracy chwilach kwitło życie towarzyskie i uczuciowe, mocno zakrapiane alkoholem. Dla Marka – obcy świat. Niepijący, niepalący i nieromansujący Perep był trochę wyrzutem sumienia ekipy filmowej, która niechętnie spoglądała na jego porządność. Pijackie orgie w czasie prac nad serialem wspominane są dziś przez kolorową prasę w formie zabawnych dykteryjek, ale wtedy Markowi nie było do śmiechu. Wolny czas wolał przeznaczyć na powtarzanie swoich serialowych kwestii, codzienny trening albo książkę czytaną na łonie natury. Część ekipy początkowo odbierała to jako ostentacyjne okazywanie niechęci, ale z czasem przywykła do Perepeczkowej osobności.

Perepeczko nie chciał bohatera prymitywnego, cieszącego się jedynie jadłem i dziewkami. Postrzegał Janosika bardziej poetycko.

Kwestia życia towarzyskiego poza planem była tym dotkliwsza dla Marka, że ekipa filmowa przez wiele miesięcy pracy była siłą rzeczy na siebie skazana. Zdjęcia trwały bez większych przerw od marca 1972 przez blisko rok, a Marek potrzebny był na planie niemal przez cały czas.

„Praca nad serialem »Janosik« przebiegała w zupełnie innym rytmie niż obecne, pospieszne produkcje filmowe – opowiada znajomy Marka, Maciej Piotrowski. – Pewnego razu Bogusz Bilewski z takim rozmachem śmignął ciupagą, że o mało nie wybił Markowi oka. Innym razem Marka niegroźnie przygniótł koń, który poślizgnął się na kamieniach. Najwięcej zamieszania wprowadził pewien statysta, autentyczny góral o potwornej sile, który sam jeden pobił kilku kaskaderów zatrudnionych przy produkcji filmu. Przez kilka następnych dni, podczas których nakręcano sceny bitwy, kaskaderzy nie potrzebowali już żadnej charakteryzacji. Tylko Marek nie dawał się wciągać w takie przygody. On przede wszystkim ciężko pracował (…)”.

Ekipa filmowa pracowała w różnych miejscach, a kwaterowała w Zakopanem, Poroninie, Białym Dunajcu, a także w hotelu Inter-Continental w Pradze, gdzie w Studiu Filmowym Barrandov kręcono sceny wewnątrz zbójeckiej groty. (…) W czasie zdjęć w Barrandovie Marek żalił się w liście do Marka Mokrowieckiego, że trudno mu wytrzymać, bo większość „daje w banię”, a szczególnie Pyrkosz, Bilewski i Cnota. Odtwórca roli Pyzdry nie ukrywał tego w swoich wspomnieniach: w „Janosiku” zostali z Kwiczołem kamratami także poza planem filmowym. Czasami wynikały z tego różne awantury z góralami w podhalańskich restauracjach. Nieustanne imprezy drażniły jednak Marka. (…)

W Zakopanem aktorzy i cała ekipa mieszkali w hotelu Giewont, ale Marek wynajął po jakimś czasie pokój u rodziny Cukrów, gdzie spędzał czas z Agnieszką. W czasie powstawania „Janosika” zrodziła się wzajemna niechęć Witolda Pyrkosza i Agnieszki Fitkau-Perepeczko, która wzięła się podobno z wyrażanej głośno dezaprobaty Pyrkosza wobec ucieczek Janosika od ekipy filmowej. Agnieszce to się nie podobało i potem przez wiele następnych lat, aż do śmierci Pyrkosza, nie przebierała w słowach na jego temat. (…)



Fragmenty książki Marka Szymańskiego *Samotność Janosika. Biografia Marka Perepeczki*, Rebis, Poznań 2025

eprasa.pl 4360eb2774

NA EKRANACH

Iluzja 3,

reż. Ruben Fleischer, prod. USA, już w kinach



Kolejna część popularnej serii niby dostarcza trochę wrażeń, ale tak na dobrą sprawę nie oferuje nic nowego poza imitacją czarów i przyjemną rozrywką na jeden wieczór. Najpopularniejsi magicy XXI w. – Jesse Eisenberg, Woody Harrelson, Dave Franco oraz Isla Fisher – powrócili, aby wziąć udział w (być może) najniebezpieczniejszej misji ze wszystkich. Towarzyszą im nowi podopieczni – Dominic Sessa, Justice Smith i Ariana Greenblatt – młodzi adepci iluzji, należący do pokolenia Z, więc siłą rzeczy różniący się od współtowarzyszy. Obie podgrupy będą musiały połączyć siły, aby skonfrontować się ze złowieszczą antagonistką, graną przez jedyną w swoim rodzaju Rosamund Pike. Całość brzmi infantylnie, lecz taka ma być i taka jest. Nie musimy oczekiwać cudów, ale możemy dać się porwać dwugodzinnej zabawie, jeśli tylko przymkniemy oko na wiele niedociągnięć i uproszczeń. Taka to magia iluzji – to konwencja, którą albo kochamy, albo jej nienawidzimy.

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ

Sarmaci z baraków



„Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy" na motywach „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza, tekst i reżyseria Kamil Białaszek, Teatr Polski w Poznaniu, premiera 28 stycznia 2025

Krótki, głośny i bezpretensjonalny „Nowy Pan Tadeusz" jest pomyślany jako performatywny koncert rapowy. Tłem fabuły, dość wiernie podążającej za oryginałem, jest prowincjonalny, potransformacyjny Raszyn, zamieszkiwany przez współczesnych bohaterów. Jest tu tęskniąca za lepszym życiem, rozczarowana facetami Telimena (Kornelia Trawkowska), miejscowy rozrabiaka Gerwazy (Piotr Kaźmierczak) i ksiądz Robak (Michał Kaleta), diler tabaki. Jest wreszcie Hrabia (Piotr B. Dąbrowski) – cwaniak w garniturze, właściciel całego tego grajdołu.

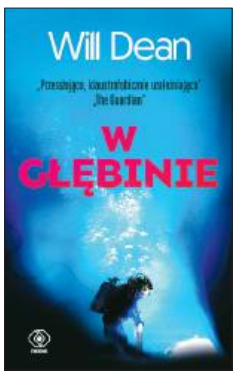
Rytm spektaklu wyznaczają kolejne numery, wykonywane na żywo przez aktorki i aktorów, świetnie odnajdujących się w tej konwencji. Dużo tu nieoczywistych asocjacji, (pop)kulturowych aluzji, bezlitosnej satyry. Akcji towarzyszą projekcje filmowe – jak uliczna sonda z zaskakująco rozsądnym dresem patriotą (Oliver Woodcock) – oraz brawurowa choreografia Bartosza Dopytalskiego.

Choć bawimy się dobrze, jest to w gruncie rzeczy gorzki obrazek. Bo ta ludowa ballada rapowa mówi o społecznym i klasowym gniewie, o dziedziczonej biedzie, alkoholu i przemocy, a nawet, jak w poruszającej pieśni prowadzącego lokalną spelunę Jankiela (Ewa Szumska), o przerażającym absurdzie wojny. Kamil Białaszek wraz z zespołem zabrali się do kanonicznego tekstu bez romantyzowania, za to z ciekawością fragmentów często w lekturze „Pana Tadeusza" pomijanych. Jest tu nostalgia, tęsknota za lepszym życiem, ale i przywiązanie do swojego miejsca na ziemi.

„Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy" działa, bo czyni ze szkolnej ramoty żywy tekst kultury o tym, jak wygląda Polska spoza ramówki TVN.

Michał Centkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Will Dean

W głębinie

tłum. Radosław Kot

Rebis, Poznań 2025

Gdy robi się niebezpiecznie, instynkt nakazuje ucieczkę. Byle dalej od zagrożenia. Byle szybciej. Nie tym razem jednak. Nurek głębinowy zamknięty w komorze ciśnieniowej musi przetrzymać cały, wyliczony co do minuty proces dekompresji, by nie skończyć jako rozbryzg dżemu malinowego. Chociaż wyobrażamy sobie, myśląc o tym zawodzie – tak, wykonywanym też przez kobiety – że najbardziej ryzykowna jest praca w głębinach, np. w zimnych wodach Morza Północnego, tu śmierć wkrada się pomiędzy bohaterów właśnie w potwornie klaustrofobicznym wnętrzu komory. Nie ma gdzie przed nią uciec, nie ma jak. Nie wiadomo, co jest przyczyną: może choroba, może ktoś z załogi statku wsparcia czegoś nie dopilnował, a może żywi urazę... Przedstawianie wydarzeń z perspektywy Ellen Brooke, która oprócz zwykłych zadań nurka ma kręcić materiał promujący tę pracę wśród kobiet, pozwala szczegółowo opisać życie w zamknięciu. Ale ta postać ma również swoje tajemnice... Dreszczowiec, jakich mało!

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. TEATR POLSKI W POZNANIU, MONOLITH FILMS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4360eb2774

ZACZĘŁO SIĘ OD JEŻY

Miasta zabierają przestrzeń zwierzętom. Nic dziwnego, że po centrum chodzą dziki, sarny czy lisy



PRZEMYSŁAW BARAN
– lekarz weterynarii, specjalista chirurgii, kierownik przychodni Salamandra w Krakowie, współtwórca Fundacji Dzikusy Salamandry, której misją jest niesienie pomocy dzikim zwierzętom i przygotowywanie ich do powrotu do naturalnego środowiska.

Rozmawia Anna Wyrwik

Skąd pomysł na Fundację Dzikusy Salamandry?

– Jako lekarz weterynarii od ponad 20 lat pracuję z dzikimi zwierzętami, od 11 lat w przychodni Salamandra w Krakowie. Ludzie wiedzą, że im tu pomagamy, więc je do nas przynoszą. Ponieważ tych zwierząt było u nas coraz więcej, we wrześniu 2024 r. postanowiliśmy założyć fundację, by zdobyć fundusze potrzebne na nasze działania.

Uratowaliśmy już ok. 2 tys. zwierząt. Podczas leczenia zwierzęta przebywają w Ośrodku Rehabilitacji dla Dzikich Zwierząt, który od czerwca 2025 r. znajduje się niedaleko przychodni. W tym momencie w ośrodku przebywa ok. 150 zwierząt, w tym połowa to jeże.

Pan leczy jeże od ponad 20 lat.

– Tak naprawdę wszystko zaczęło się od nich. 20 lat temu w Krakowie nie było nikogo, kto by się tymi jeżami zajmował. Wtedy pojawił się Andrzej Kuziomski, jeżofil i człowiek z pasją, który pomagał tym zwierzętom 24 godziny na dobę. W 2007 r. założył w swoim mieszkaniu pierwsze w Polsce Pogotowie Jeżowe. Trafił do mnie i taki był początek naszej historii z jeżami. W Polsce wiedza na ich temat była wówczas bardzo mała, dlatego zaczynaliśmy od zdobywania jej z zagranicznych magazynów. Dziś jeże trafiają do Salamandry z całej Polski.

> Najlepsze, co możemy zrobić dla jeży, to im nie przeszkadzać.

Dużo jeży mieszka w naszych miastach. Jak możemy im pomagać albo chociaż nie szkodzić?

– Wszystko zależy od pory roku. Od wiosny do jesieni jeże przemieszczają się nocą. Jeż przemieszczający się w ciągu dnia, w słońcu i upale, powinien zwrócić naszą uwagę, bo skoro to robi, coś jest nie w porządku i trzeba mu pomóc. Większy problem z jeżami zaczyna się jesienią. Od wielu lat zdarzają się jesienne mioty i małe jeże często nie zdążą osiągnąć wystarczającej masy ciała, czyli minimum ok. 500 g, by przeżyć zimę. Do nas trafiają jeże ważące 150-200 g. Wrócą na wolność wiosną.

Najlepsze, co możemy zrobić dla jeży, to im nie przeszkadzać. Jeśli mamy ogród, w którym jesienią są liście i gałęzie, zostawmy je, bo w nich jeże budują gniazda, w których będą zimować. Zresztą grabienie liści w ogrodzie jesienią w ogóle nie jest pomocne, ponieważ dzięki liściom ziemia trzyma wilgoć, czyli się nie wysusza. Nie zawsze wszystko musi być wygrabione i wykoszone co do źdźbła. Jesienią dobrze jest jeżom zostawić miskę z wodą i miskę z jedzeniem – idealne byłyby owady, ale może też być wysokobiałkowa kocia karma.

eprasa.pl 4360eb2774

Jakie inne ssaki są pacjentami fundacji?

– Jeśli idzie o małe ssaki, prócz jeży mamy dużo wiewiórek, zdarzają się kuny i łaski. Jeśli chodzi o większe ssaki, w Boże Ciało zadzwoniła do nas pani, która jakieś dwie godziny drogi od Krakowa znalazła martwą sarnę potrąconą przez samochód. A przy niej stał dzieciak i beczał. Wiadomo było, że bez pomocy jest skazany na śmierć. W gminie powiedzieli jej, że mogą oddelegować myśliwego, by go odstrzelił. Przywiozła go do nas. Był wielkości kota. Dziś Bambi ma pół roku, odstawiliśmy butelkę, przez jakiś czas przebywał w mojej stajni z końmi i wkrótce pójdzie w świat.

Trafiają do was też ptaki. Jakie gatunki?

– Po jeżach ptaków jest u nas najwięcej. Głównie to małe ptaki ze złamanymi skrzydełkami, po zderzeniach z szybami czy samochodami. Często trafiają do nas sowy. Jakiś czas temu zadzwonili z gminy Brzesko, że mają myszołowa potrąconego przez samochód i nikt nie chce go przyjąć. My się zgodziliśmy. Zabawne było, że przywiózł go do nas kordon policyjny. Na szczęście myszołów nie miał bardzo uszkodzonych skrzydeł, udało się go wyprowadzić na prostą i zwrócić mu wolność.

13 listopada napisaliście na Facebooku: „Do naszej fundacji trafił kruk z pozostałościami śrutu w skrzydle. Pocisk złamał też kość. Zawalczymy o to majestatyczne zwierzę, choć zupełnie ciężko nam sobie wyobrazić, że ktoś postanowił do niego strzelać". Ludzie strzelają w mieście do zwierząt z wiatrówek?

– Tak. Na szczęście operacja się udała. Wkrótce przeniesiemy go do woliery, by rozlatał skrzydło, a czy podejmie lot? Zobaczymy. Niestety, trafia do nas wiele ptaków z postrzałami. Ale nie tylko. Leczymy wolno wychodzące koty i zdarza się, że gdy robimy im zdjęcie rentgenowskie, widzimy kilkanaście śrutów. To oznacza, że kot nie dostał raz, ale że gdzieś w sąsiedztwie jest ktoś, kto strzelał do niego kilka-kilkanaście razy.

Trudno to sobie wyobrazić. Wróćmy jednak do ptaków. Piszecie na Facebooku: „Bez względu na to, czy gołębie lubimy, czy nie, to część miejskiego ekosystemu i naszego wspólnego świata". Proszę opowiedzieć o akcji pomocy gołębiom na Rynku Głównym w Krakowie.

– Problem Krakowa polega na tym, że mieszka tu bardzo dużo gołębi. Gołębie raczej nie migrują, tylko siedzą w skupiskach w danym miejscu. Te, które przebywają na krakowskim rynku, są w większości chore, ponieważ w tym miejscu nie mają wystarczającej ilości jedzenia, poza tym jest ich tu tak dużo, że nawzajem się zarażają. Chorują na rzęsistek, który objawia się problemami z jedzeniem, ornitozę, czyli chorobę górnych dróg oddechowych, która objawia się problemami z jedzeniem i oddychaniem, pomniejsze choroby typu ospa, miewają także problemy neurologiczne. Gołębie mają swoich zwolenników i przeciwników, ale żadne zwierzę nie powinno cierpieć. Wraz z Fundacją Zróbmy Sobie Kraków i Fundacją Chatka Gołębia rozpoczęliśmy w październiku akcję odławiania i leczenia gołębi z krakowskiego rynku. Pierwsze wyleczone ptaki wróciły już na wolność.

Żaden chleb nie powinien być karmą dla ptaków.

Mówi pan, że problemem Krakowa jest duża liczba gołębi. Jak to rozwiązać?

– Prowadzimy z władzami miasta rozmowy na temat ograniczenia populacji gołębi w sposób humanitarny, by nie krzywdzić tych, które już żyją, czyli poprzez wprowadzenie im do karmy antykoncepcji. Wiele miast w Europie tak robi.

A my, mieszkańcy miast, jak możemy pomagać ptakom i im nie szkodzić?

– Według mnie najlepsza jest praca u podstaw, czyli nauczenie ludzi, by nie wyrzucali w miejsca, do których zwierzęta mają dostęp, wszystkiego, co zostaje w domu z obiadu, oraz chleba. Największym dramatem jest karmienie ptaków chlebem! Żaden chleb nie powinien być karmą dla ptaków, ponieważ zawiera dużo soli, która uszkadza nerki, a dodatkowo zakwasza przewód pokarmowy. Poza tym chleb szybko pleśnieje, co powoduje problemy grzybicze oraz przewodu pokarmowego i układu oddechowego. Chleb powinien być totalnie wyeliminowany z ptasiej diety. Jeśli chcemy pomóc ptakom zimą, możemy im kupić ziarno albo specjalne mieszanki w sklepach zoologicznych. Wtedy ptaki będą szczęśliwe.

Ostatnio usłyszeliśmy zarzut o dokarmianie ptaków. Przeciwnicy dokarmiania mówią, że ptaki żyły miliony lat i same dawały sobie radę. Tak, tyle że wszystko się zmieniło. Kiedyś ptaki nie były tak uzależnione od nas, a my nie mieliśmy tak zabetonowanych miast, co zabrało im przestrzeń. Do tego wykaszamy wszystko, żeby nam nie przeszkadzało, przez co automatycznie niszczymy miejsca, w których ptaki mogą przebywać i pozyskiwać jedzenie. Mówi się dużo o tym, że w miastach jest coraz mniej wróbli. Kiedyś miały przestrzenie, czyli krzaki, gdzie mogły bytować i składać jaja. W tym momencie takich miejsc po prostu nie ma.

Leczycie też płazy?

– Trafiają do nas ropuchy czy jaszczurki. W zeszłym roku jedna pani odpakowywała choinkę i znalazła w niej jaszczurkę, którą do nas przywiozła. Jaszczurka spędziła u nas zimę i wiosną ją wypuściliśmy.

Co się dzieje z pacjentami, którzy nie mogą wrócić na wolność?

– Są specjalne ośrodki, które przyjmują takie zwierzęta. Problem polega na tym, że nie każde zwierzę nadaje się do życia w sztucznych warunkach. Gołębie czy szczególnie kruki, które są bardzo inteligentne i kontaktowe, przyzwyczają się do woliery, ale jest duże prawdopodobieństwo, że myszołów, który straci skrzydło, będzie sobie w wolierze robił krzywdę. Dlatego nie jesteśmy w stanie robić wszystkich zabiegów u dzikich zwierząt, tak jak zrobilibyśmy je u zwierząt domowych. One są dzikie, często przerażone i nie potrafią usiedzieć w miejscu, jak pies czy kot, którym łatwo dzięki temu regularnie zmieniać opatrunki.

eprasa.pl 4360eb2774

Czy zauważa pan zmiany, jeśli chodzi o gatunki dzikich zwierząt występujące w mieście?

– Wszędzie zauważamy, że zwierzęta zaczynają wchodzić do miast, ponieważ miasta się rozrastają, przez co zabierają przestrzenie, w których dotąd żyły zwierzęta. Nie ma co się dziwić, że po centrum miasta chodzą dziki, sarny czy lisy.

Jakiś czas temu trafił do nas lis w strasznym stanie. Miał potwornie złamany kręgosłup, porażone kończyny miedniczne, więc wiedzieliśmy, że będzie problem z pęcherzem, a do tego lis jest dzikim zwierzęciem, nie dałby koło siebie nic robić. Naszym zadaniem jest zapewnić komfort zwierzęciu. Jeśli nie jesteśmy w stanie zapewnić mu komfortu życia i leczenia, musimy dać mu komfort odchodzenia. Zdecydowaliśmy się, że pozwolimy mu odejść. W internecie pojawił się ogromny hejt.

Co ludzie pisali?

– Pytali, jakim prawem decydujemy za zwierzę i że w takiej sytuacji, zamiast podawać leki i zastanawiać się nad eutanazją, powinniśmy odmówić koronkę. Jestem zmęczony wszechobecnym hejtem.



Największym dramatem są zwierzęta, które nie powinny do nas trafić, np. młode ptaki, podloty, które dopiero uczą się życia.

Czyli to nie był w przypadku Salamandry jedyny raz?

– Młoda para, chłopak z dziewczyną, znaleźli malutką ciężarną suczkę, która po czterech dniach urodziła. Wysterylizowali ją, maluchy odrobaczyli, zaszczepili, założyli im książeczki i znaleźli dla nich dom. Świetna historia, prawda? Chciało im się poświęcić na te psy czas i pieniądze. Robili to w przychodni Salamandra, więc napisaliśmy o tym post na Facebooku. To, co się pod nim rozegrało, było straszne. Ludzie oskarżali nas o promowanie rozmnażania bezdomnych psów. Pisali, że szczeniaki powinny zostać uśpione, ponieważ zajmują miejsce psów ze schroniska. Nie mogłem uwierzyć w to, co czytam. Okazało się, że kilka hejtujących osób to nasi klienci, w tym pani, która kupiła tchórzofretkę z pseudohodowli.

Co powinniśmy zrobić w przypadku znalezienia dzikiego zwierzęcia potrzebującego pomocy?

– Najważniejsze to upewnić się, czy zwierzę faktycznie potrzebuje pomocy. Dla nas największym dramatem są zwierzęta, które nie powinny trafić do naszej przychodni. Mam na myśli masę ptaków, tzw. podlotów, czyli tych, które dopiero uczą się życia, opuszczają gniazdo, są pod opieką rodziców, dokarmiane przez nich i pilnowane, ale są poza gniazdem. Mieszkańcy miast namiętnie je wyłapują i przynoszą do nas. Ale my nigdy nie będziemy w stanie stworzyć takiej diety i opieki, jaką w warunkach naturalnych oferuje mama.

Podobna sytuacja ma miejsce z małymi zającami czy sarenkami. Rodzice przychodzą do nich dwa albo trzy razy dziennie, karmią je i odchodzą. Dzieje się tak m.in. po to, by nie ściągać na nie swoim zapachem psów i zwierząt drapieżnych. Ludzie widzą te maluchy, biorą je i do nas przynoszą. Ptaka można jeszcze próbować odnieść, ale małe sarny czy zające najprawdopodobniej nie zostaną z powrotem przyjęte przez rodziców. Wychodzi więc na to, że chcąc pomóc, możemy zrobić zwierzętom krzywdę. Dlatego gdy znajdziecie takie zwierzę, najpierw zadzwońcie! Jest bardzo dużo miejsc, które udzielą informacji, czy trzeba pomagać, czy nie trzeba.

Jak można wesprzeć Fundację Dzikusy Salamandry?

– Potrzeby są gigantyczne, bo trafia do nas bardzo dużo zwierząt, codziennie od kilkunastu do 30. Niestety, nie jesteśmy w żaden sposób dotowani przez miasto, ponieważ ma ono podpisaną umowę z innym ośrodkiem i w tym momencie na kolejne nie może przeznaczyć ani złotówki. A wiadomo, że ponosimy koszty materiałów, najmu lokalu, mediów… Koszty pracownicze ograniczamy w taki sposób, że robimy to sami, po godzinach i wolontaryjnie.

Potrzebujemy ziarna dla ptaków w każdej ilości, karmy wysokobiałkowej dla jeży, gazet, które wykorzystujemy jako podkładki pod siano dla jeży, misek ceramicznych i plastikowych, jednorazowych rękawiczek, jednorazowych strzykawek insulinowych. Jeśli ktoś ma coś takiego, może do nas przywieźć, a my z otwartymi rękami to przyjmiemy (informacje: facebook.com/FundacjaDzikusySalamandry).

Anna Wyrwik

FOT. FUNDACJA DZIKUSY SALAMANDRY (2)

eprasa.pl 4360eb2774



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pielgrzym hultaj

Co do ludzkości, mam o niej mniemanie skrajnie niskie, dlatego moją ulubioną sceną „Bugonii" Yorgosa Lanthimosa, w gruncie rzeczy dość przeciętnego filmu w dorobku wybitnego reżysera, jest jej finał. Uwaga, spoiler: ludzkość zostaje ostatecznie uznana przez rasę kosmitów, która nas hodowała, za nieudany eksperyment. Niegodny istnienia gatunek zostaje unicestwiony jednym przekłuciem bańki ochronnej. I tu następuje ciąg nieruchomych obrazów z Ziemi, na której przestało istnieć życie ludzkie – na pozór straaszny, w gruncie rzeczy kojący, bo w domyśle już widzi się resztę natury, która doskonale sobie bez człowieka poradzi, lada moment zacznie wielkie święto odrodzenia, gdy jej najwięksi oprawcy zniknęli. Zwierzyna przestanie się lękać odstrzału, drzewa będą rosły nienarażone na wycinkę, miasta zaczną porastać mchem, efekt cieplarniany błyskawicznie się cofnie, planeta pozbawiona najbardziej szkodliwego i ekspansywnego gatunku odetchnie z ulgą. Już żaden bóg nie każe ludziom czynić sobie Ziemi poddaną, bo nie będzie komu żadnego boga wymyślić. I tylko zakłóca mi tę myśl o raju na Ziemi bez ludzi refleksja o psach, których już nikt nie uwolni z łańcuchów. Nie wezmą udziału w tym festynie wolności, zemrą i sczezną przy swoich budach, do których zostały przypięte.

Nikt tak malowniczo i dosadnie nie opisał okrucieństwa łańcuchowego jak Witkacy, wychowany wszak w Zakopanem, gdzie ludność tubylcza pielęgnuje tradycje pełne przemocy zarówno wobec ludzi („jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije" – uchwałę antyprzemocową przyjęto w końcu 13 lat później w stosunku do reszty kraju), jak i zwierząt. Oto często przytaczany w skróconej formie fragment „Postscriptum" do „Niemytych dusz": „Widok psa na łańcuchu jest w stanie popsuć mi humor na danym spacerze na dwie godziny, jeśli nie więcej. Zwierzę stworzone i wychowane na przyjaciela człowieka jest bez winy skazywane przez kanalie bez serca na bezterminowe więzienie, tym bardziej że w więzieniu tym nie jest on jak normalny więzień izolowany od świata i jego pokus, tylko przez wzrok i węch, tak silny u psa, wystawiony na ich najsilniejsze działanie. Tak jakby człowieka trzymać całe życie w klatce w sali pierwszorzędnego dancingu z dziwkami I klasy bez możności wzięcia udziału w żarciu, piciu, rozmowach, zabawie itp. lub nawet raczej niezupełnie podobnych rzeczach".

Taką karę należałoby zaordynować rezydentowi Pałacu Prezydenckiego, który ustawę łańcuchową w przedświątecznej atmosferze zawetował, a i tej części narodu, która go wybrała i ślepo przyklaskuje wszelkim ruchom Now Rocky'ego alias Batyra. Teraz poprzysiągł udział w pielgrzymce kibolskiej na Jasną Górę i jest to jedna z niewielu jego decyzji, co do których słuszności nie należy mieć uwag – to jego środowisko, on tam pasuje, on w tej tłuszczy szalikowców jest u siebie, wśród swoich, niechże więc lezie z nimi klepać pacierz, lepiej to zawsze, niż sklepać komuś mordę w „szlachetnej, męskiej" ustawce. Mam tylko prośbę, żeby już nie wracał do stolicy, życzę wręcz panu Batyrowi, aby doznał iluminacji jasnogórskiej, niech zstąpi na niego duch święty, zstąpi i przygniecie rozmiarem natchnienia, aby już odtąd pan Batyr wiódł życie uduchowione za murami klasztoru, skoro za inne mury wysłać go na razie się nie da. Albo niech przeniesie tam siedzibę IPN i zostanie na miejscu, aby dopomóc kolegom z instytutu w dociekaniu czystości rasowej Czarnej Madonny. Jakkolwiek bądź, niech zrzeknie się urzędu i dołączy na stałe do młyna, bracia po racy będą szczęśliwi, a i Polska szczęśliwszą będzie.

Na hasło „prezydent" reaguję od pewnego czasu bardzo złymi emocjami z automatu, no bo jeśli kto tak tytułuje Batyra lub co gorsza Trumpa, oznacza to szacunek dla tych indywiduów, a szanować ich mogą tylko bęcwały lub fanatycy.

Owóż, Pomarańczowy zaczął nowy rok z przytupem, oprócz inwazji na Wenezuelę dał kilka razy przed kamerami show dowodzący jego niepoczytalności, z tych stand-upów najbardziej żenujący był ten, w którym parodiował Macrona. Jakby tego było mało, jego antyimigrancka małpiarnia uzbrojona po zęby właśnie zamordowała na oczach świadków bogu ducha winną Amerykankę, strzelając jej z bliska w twarz, a Pomarańczowy wraz ze swoją świtą ogłasza, że to ona była uzbrojona – w samochód – więc agent ICE strzelał w obronie własnej.

Po każdym z takich numerów cywilizowana i myśląca część ludzkości ma nadzieję, że tym razem to już poszło za daleko, tym razem poparcie mu spadnie, tym razem impeachment albo wojna domowa. A druga część populacji ma tym większą uciechę, im bardziej bezpardonowo ich uwielbiani wodzowie robią na złość „lewactwu i obrońcom demokracji".

Tak zwana ludzkość pogrąża się w resentymentach na skalę niespotykaną od ostatnich wojen światowych. Mocarstwami atomowymi rządzą obłąkani starcy, którym jest już wszystko jedno, więc odchodząc z tego świata, mogą zechcieć zabrać go ze sobą. Wobec tego nasz Batyrek i tak wciąż zdaje się zgoła poczciwym hultajem. Niechże tylko te psy spuści z łańcucha. ■

eprasa.pl 4360eb2774



ROZBROIĆ WSTYD

Młodsze pokolenia często przyswajają przekonania starszych: czego „nie wypada” robić

Rozmawia Beata Biały

Czy wstyd może być dziedziczny? Na przykład, jeśli matka wstydziła się pewnych rzeczy, to jej córka też będzie mieć podobne problemy?

– Warto na początek zastanowić się, co dokładnie rozumiemy przez „dziedziczenie” w kontekście wstydu. Jeśli myślimy o genach, które bezpośrednio odpowiadałyby za wstyd, to nauka nie dostarcza na to jednoznacznych dowodów. Oczywiście do odczuwania emocji, w tym wstydu, niezbędna jest aktywność w obrębie określonych struktur mózgu, ale nie można mówić o prostym mechanizmie dziedziczenia.

Czy w takim razie biologia odgrywa jakąś rolę w przeżywaniu wstydu?

– Tak, badania pokazują, że nawet osoby z uszkodzeniami obszarów kory nowej, odpowiedzialnych za przeżywanie emocji, nadal mogą doświadczać wstydu. To sugeruje, że choć wstyd jest emocją samoświadomościową, może być przeżywany również w sytuacjach, w których nie są zaangażowane struktury odpowiedzialne za poznawcze przetwarzanie emocji.

Czy to oznacza, że wstyd jest bardziej pierwotny, niż nam się wydaje?

DR ANGELIKA KLESZCZEWSKA-ALBIŃSKA
– badaczka wstydu, doktor nauk społecznych w dziedzinie psychologii, certyfikowana terapeutka poznawczo-behawioralna

– W zasadzie można powiedzieć, że wstyd ma charakter pierwotny, choć nie taki, jak np. przykład emocje strachu, złości czy radości. Na podstawie dotychczasowych badań nie możemy powiedzieć jednoznacznie, że intensywność odczuwania wstydu jest biologicznie dziedziczona. Zdecydowanie większą rolę odgrywają czynniki środowiskowe, które kształtują naszą wrażliwość emocjonalną. Tutaj właśnie kryje się ten pierwotny, ewolucyjny charakter wstydu. Od zarania dziejów człowiek funkcjonował w grupach społecznych, które poza innymi korzyściami gwarantowały mu poczucie bezpieczeństwa. Skoro zatem bez grupy jesteśmy bardziej narażeni na różnorodne niebezpieczeństwa, to chociaż wstyd jest emocją złożoną, która wynika z socjalizacji, przez to, że od zarania dziejów przyczynia się do regulacji naszych stosunków z innymi ludźmi, można opisać go jako jeden z pierwotnych mechanizmów ochraniających funkcjonowanie jednostki w społeczności.

Jak wstyd jest przekazywany w rodzinach? Czy to możliwe, że wstyd, którego doświadczają kobiety, wynika z tego, jak wychowywały je matki i babcie?

– W psychologii często mówi się o wpływie genów i środowiska na kształtowanie osobowości i zachowań. W przypadku wstydu również dostrzegamy ten podział. Po pierwsze, sposób, w jaki rodzice sprawują emocjonalną kontrolę nad dzieckiem, może się przyczyniać do nadmiernego odczuwania wstydu. Transmisja międzypokoleniowa wstydu jest szczególnie widoczna w relacjach między osobami tej samej płci – matki i babcie mają ogromny wpływ na sposób przeżywania emocji przez córki i wnuczki.

Czy to oznacza, że dzieci uczą się wstydu przez obserwację?

– Tak, młodsze pokolenia często przyswajają przekonania starszych: czego „nie wypada” robić, co „będzie źle ocenione” itp. W kulturach

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4360eb2774

zachodnich wstyd jest często postrzegany jako emocja negatywna, coś, co należy przezwyciężyć. Jeśli jednak matki i babcie wielokrotnie przypominały o społecznych konsekwencjach pewnych zachowań, młodsze pokolenia mogły wykształcić nadmierne skłonności do odczuwania wstydu.

Czy sposób wychowania ma kluczowe znaczenie?

– Zdecydowanie. Styl wychowania może nie tylko kształtować umiejętność przeżywania wstydu, ale także wpływać na obszary życia, w których wstyd będzie szczególnie silny. Na przykład, jeśli matka była bardzo krytyczna wobec swojego wyglądu lub zachowań, córka może przejąć te wzorce i przenieść je na swoje życie.

Czy zawsze dochodzi do „kopiowania" wzorców?

– Nie. Zdarza się, że młodsze pokolenie reaguje przeciwnie – obserwując niepożądane zachowania matek czy babć (np. nadmierny wstyd), podejmuje świadomą decyzję, by realizować swoje życie w zupełnie inny sposób. Taki bunt przeciwko wzorcom poprzednich pokoleń może prowadzić do większej otwartości i akceptacji siebie. Jednak bez względu na to, czy mamy do czynienia z „kopiowaniem" wzorców, czy ich odrzuceniem, wychowanie i środowisko rodzinne odgrywają kluczową rolę w kształtowaniu takich emocji jak wstyd.

W jaki sposób wstyd jest przekazywany z pokolenia na pokolenie?

– Wstyd, podobnie jak inne zasady rodzinne, jest przekazywany w rodzinach w procesie socjalizacji. Dzieje się to poprzez wzmacnianie zachowań zgodnych z oczekiwaniami i karanie tych, które uznawane są za niepożądane. Wstyd, emocja wtórna i samoświadomościowa, musi zostać wyuczony. W rodzinach może przyjąć formę „wstydu pożądanego", który w umiarkowanym natężeniu pomaga w podtrzymywaniu relacji międzyludzkich i przestrzeganiu norm społecznych, lub „wstydu patologicznego", który jest nadmierny i obciążający.

Jak dzieci uczą się wstydu od rodziców?

– Jednym z mechanizmów jest modelowanie – dziecko obserwuje znaczącego dorosłego w określonych sytuacjach i na tej podstawie internalizuje wzorce zachowań. Jeśli rodzic wykazuje zachowania zawstydzające lub sam jest silnie zawstydzany, dziecko uczy się, że taki sposób reagowania jest normą. Drugim mechanizmem jest bezpośrednia interakcja. Rodzice wzmacniają lub tłumią określone zachowania dziecka, co może prowadzić do powstania generacyjnych cykli wstydu. Dziecko, które wielokrotnie doświadczało zawstydzania w dzieciństwie, może w dorosłości powielać te same wzorce wobec swoich dzieci.

Dlaczego wstyd tak łatwo przenosi się na kolejne pokolenia?

– Kluczowym czynnikiem jest wrażliwość dziecka zestawiona z metodami zawstydzania stosowanymi w rodzinie. Jeśli zawstydzanie wiąże się z lękiem przed odrzuceniem, może się stać wyjątkowo skutecznym narzędziem budowania patologicznego wstydu.

Wstyd, podobnie jak inne zasady rodzinne, jest przekazywany w procesie socjalizacji.

Jaką rolę odgrywają normy społeczne i kulturowe?

– Normy kulturowe i społeczne, przekazywane w ramach socjalizacji, również odgrywają kluczową rolę. W rodzinach, gdzie obowiązują sztywne i lękorodne zasady, zawstydzanie staje się często metodą kontrolowania zachowań. Im bardziej restrykcyjne są normy kulturowe, tym większe ryzyko, że wstyd będzie przekazywany jako patologiczna emocja.

Czy istnieją inne czynniki zwiększające podatność na patologiczny wstyd?

– Wysoki poziom lęku, szczególnie obawa przed wykluczeniem ze społeczności, jest jednym z takich czynników. Taki lęk generuje silną potrzebę spełniania oczekiwań innych, co potęguje poczucie wstydu. Kolejnym czynnikiem są nieadekwatne postawy rodzicielskie oraz pozabezpieczne style przywiązania, które mogą zaburzać poczucie własnej wartości i bezpieczeństwa. Dziecko wychowywane w takim środowisku może rozwijać nadmierną skłonność do samokrytyki i podporządkowywania się oczekiwaniom otoczenia.

Czy można przerwać cykl przekazywania wstydu?

– Tak, przerwanie cyklu wymaga świadomej refleksji nad wzorcami wychowania oraz otwartości na zmiany w sposobie komunikacji w rodzinie. Kluczowe jest tworzenie bezpiecznego i wspierającego środowiska, w którym uczucie wstydu nie będzie narzędziem kontroli, lecz emocją pozwalającą na rozwój i budowanie zdrowych relacji z innymi. (…)

Czy w niektórych kulturach wstyd jest bardziej obecny w życiu codziennym kobiet?

– W zależności od ujęcia badawczego pojęcie „kultury wstydu" może być postrzegane i definiowane inaczej. To temat na szerszą, akademicką wręcz dyskusję, a że nie jest to zagadnienie ściśle związane z problematyką, o której rozmawiamy, wolałabym wskazać jedynie, że mówienie o kulturach wstydu jest zagadnieniem dość skomplikowanym. Trudno byłoby nam zatem jednoznacznie określić pewne kultury jako „kultury wstydu". Podobnie rzecz wygląda, jeśli idzie o wskazanie kultury lub kultur, w których kobiety doświadczają więcej wstydu niż mężczyźni.

Jakie czynniki kulturowe wpływają na odczuwanie wstydu?

– Z dotychczas przeprowadzonych badań wynika, że za zwiększone odczuwanie wstydu odpowiadają pewne wartości kulturowe oraz potrzeba przynależności do określonej grupy społecznej. Wartości te obejmują m.in. wysoki stopień kontroli emocjonalnej, powściągliwość, sztywne i rozbudowane zasady postępowania, silne więzi międzyludzkie oraz zależność między członkami grupy społecznej.

Czy normy dotyczące ubioru mają wpływ na wstyd?

– Ciekawe, ale to nie normy dotyczące ubioru są głównym czynnikiem zwiększającym podatność na wstyd. Normy te pozostają ściśle związane z charakterystycznymi dla danej

eprasa.pl 4360eb2774

grupy czy kultury zasadami. Oznacza to, że grupa, do której osoba należy, może egzekwować swoje reguły poprzez zawstydzanie tej osoby. Można zaryzykować stwierdzenie, że w takiej sytuacji grupa wymusza na osobie realizację zachowania aprobowanego przez tę grupę (np. noszenie odpowiedniego stroju), ale to nie tak, że zawstydzanie przez grupę zwiększa jednostkową podatność na wstyd. Obserwowana u osoby podatność na zawstydzanie przez grupę jest ściśle związana ze znaczeniem i wagą, jaką ta osoba przykłada do przynależności do tej grupy. Innymi słowy – jeśli bardzo zależy mi na pozostawaniu członkinią jakiejś ważnej dla mnie grupy, to wszelkie negatywne uwagi i komentarze pochodzące od jej członków i dotyczące na przykład mojego wyglądu lub ubioru mogą mnie bardzo zawstydzać i skutkować modyfikacją mojego zachowania. Jeśli natomiast na jakiejś grupie nie będzie mi zależało, to w takiej sytuacji mogę „przewrócić oczami" i na zawstydzające uwagi odpowiedzieć: „To wasz problem, a nie mój".

Jak tradycyjne społeczności wpływają na odczuwanie wstydu u kobiet?

– W bardziej tradycyjnych społecznościach kobiety często kształtują przekonania o swojej przynależności do większej grupy społecznej, w której mogą oczekiwać opieki i wsparcia. Takie przekonania mogą prowadzić do rozwoju zależności emocjonalnej i przeświadczenia, że kobiety bez opieki swoich krewnych nie są w stanie samodzielnie poradzić sobie w życiu. (…)

Zastanawiam się, jak patriarchat wpływa na to, że kobiety czują większy wstyd.

– Nie mam pewności, czy patriarchat rzeczywiście zwiększa intensywność odczuwanego przez kobiety wstydu. W psychologii głównego nurtu nie istnieją badania, które jednoznacznie potwierdzają taki związek. Raczej koncentrujemy się na indywidualnych uwarunkowaniach, które przyczyniają się do rozwoju i utrzymywania uczucia wstydu.

Czy feministyczne podejście rzuca nowe światło na związek patriarchatu i wstydu?

– Prace z nurtu feministycznego analizują specyfikę społecznych, kulturowych i politycznych uwarunkowań, w których panuje nierówność między kobietami a mężczyznami. W tych analizach sugeruje się, że zawstydzanie kobiet poprzez narzucanie im tradycyjnych ról i określonych sposobów ich realizacji może prowadzić do odczuwania wstydu. Brakuje jednak solidnych podstaw empirycznych pochodzących spoza nurtu feministycznego, które jednoznacznie potwierdziłyby tę tezę.

> Nie potrzeba patriarchatu, aby wstyd stał się istotnym elementem życia jednostki.

Czy tradycyjne role społeczne mają wpływ na odczuwanie wstydu przez kobiety?

– Badania wskazują, że kobiety w tradycyjnych społecznościach często rozwijają przekonanie o swojej słabości w porównaniu z mężczyznami, a także o potrzebie dodatkowego wsparcia i opieki. Nie oznacza to jednak, że te przekonania automatycznie zwiększają natężenie odczuwanego wstydu. Wstyd pojawia się raczej w sytuacjach, w których dochodzi do wyraźnej polaryzacji poglądów, norm i oczekiwań społecznych.

Patriarchat jest jedynym czynnikiem wpływającym na wstyd?

– Nie potrzeba patriarchatu, aby wstyd stał się istotnym elementem życia jednostki. Wystarczy, że w danej społeczności istnieje mocno ugruntowane przekonanie, iż jest jeden słuszny sposób postępowania, który gwarantuje akceptację grupy. Jeśli osoba naruszy te zasady, może zostać poddana zawstydzaniu przez innych lub – jeśli zależy jej na przynależności do grupy – sama doświadczy wstydu wynikającego z łamania norm, które uważa za ważne.

Czy zawstydzanie kobiet w tradycyjnych społecznościach jest bardziej powszechne?

– Rzeczywiście, w społecznościach, gdzie role płciowe są jasno określone i silnie przestrzegane, kobiety mogą być bardziej narażone na zawstydzanie w przypadku odstępstw od norm. Zawstydzanie takie może dotyczyć np. kwestii związanych z brakiem „odpowiedniego" zachowania czy nieprzestrzeganiem przypisanych im ról.

Dlaczego zasady grupowe wywołują tak silne emocje?

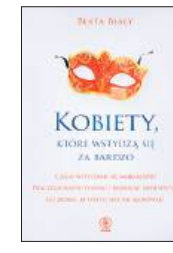
– Wstyd w takich społecznościach wynika z potrzeby akceptacji i przynależności. Im bardziej grupa jest dla jednostki istotna, tym silniejsze jest poczucie dyskomfortu, gdy osoba odczuwa, że nie spełnia jej oczekiwań. Nie chodzi tu wyłącznie o patriarchat, ale o głęboką potrzebę bycia częścią społeczności i respektowania jej zasad. Podsumowując: Wstyd, jaki odczuwają kobiety, nie jest jednoznacznie związany z patriarchatem, choć może być wzmacniany w społecznościach o silnie zakorzenionych tradycyjnych normach. Kluczowym czynnikiem wydaje się presja grupy i oczekiwania społeczne, które kształtują sposób myślenia i działania zarówno kobiet, jak i mężczyzn. (…)

Dlaczego kobiety są szczególnie podatne na presję społeczną?

– Od dzieciństwa dziewczęta są socjalizowane do funkcjonowania w grupach i dostosowywania się do oczekiwań innych. Można więc uznać, że to społeczne nastawienie – charakterystyczne dla dziewcząt i kobiet – staje się jednym z kluczowych źródeł ich wstydu.

Jak nierealistyczne wzorce wpływają na samoocenę kobiet?

– Nierealistyczne oczekiwania kultury popularnej, połączone z potrzebą akceptacji społecznej, mogą powodować głębokie poczucie niedoskonałości. Kobiety często czują, że nie spełniają tych wymagań, co prowadzi do wstydu. Ostatecznie dopasowanie się do niemożliwych standardów staje się zadaniem, które z góry skazane jest na niepowodzenie, a wstyd staje się nieodłącznym elementem tego procesu.



Fragmenty książki Beaty Biały *Kobiety, które wstydzą się za bardzo*, Rebis, Poznań 2025

eprasa.pl 4360eb2774



Bansko zimą.

Bułgaria dla narciarzy

W Europie mamy sporo nieoczywistych zimowych kurortów

Chrystian Ślusarczyk

Podczas gdy letnia oferta turystyczna Bułgarii wydaje się niepodważalna, zima w tym kraju budzi już pytania. A przecież zróżnicowane wybrzeże to tylko część propozycji, Bułgaria bowiem to przede wszystkim góry. Pasma górskie i wyżyny stanowią 65% kraju. Najbardziej znana stacja narciarska powstała w Bansku, na zboczach Pirinu, drugich pod względem wysokości górach Bułgarii, po paśmie Riła. To zdecydowanie najnowocześniejszy i najszybciej rozwijający się ośrodek narciarski. Nie tak dawno Bansko rywalizowało z Borowcem (Riła) i Pamporowem (Rodopy), jednak dziś te miejscowości nie mogą się z nim równać. Dzieje się tak, mimo że Borowec znajduje się zaledwie 60 km od Sofii, Bansko tymczasem oddalone jest aż o 150 km. Na szczęście niemal całą trasę ze stolicy do Banska można pokonać nową autostradą A3, prowadzącą z Sofii do Grecji.

Bansko jest też lepiej połączone z polskimi miastami niż niejeden ośrodek alpejski. Warszawiacy od dziesięcioleci mogli liczyć na bezpośrednie połączenie z Sofią. Od niedawna również mieszkańcy Krakowa i Wrocławia dzięki tanim liniom lotniczym dolecą do Sofii bezpośrednio, przy czym z obu tych miast lot trwa niecałe dwie godziny. A potem lokalnym transportem można dotrzeć do Banska.

Todorka i Tomba

Ośrodek narciarski Bansko Ski usytuowany jest na północnych zboczach masywu Todorka, na jego najwyższym szczycie Todorin Wrych (2746 m), oraz częściowo także na Wichrenie (2914 m), najwyższym szczycie pasma Pirin. Narciarze jeżdżą na wysokości od 1000 m, gdzie usytuowane są dolna stacja i parking, do prawie 2700 m. Długość tras zjazdowych wynosi 75 km, tras biegowych – 12 km, a liczba wyciągów – 27. Dla porównania ceniony w Polsce ośrodek pod słowackim Chopokiem chwali się 50 km nartostrad.

Gondola z dolnej stacji wywozi turystów do „narciarskiego hubu", skąd dziesiątkami wyciągów wyruszają w głąb Pirinu. Nartostrady są szerokie i zapewniają wspaniałe widoki. Pięknie wyglądają szczyty Wichren i Kuteło, zbudowane z marmurów, wyrastające wysoko ponad górną granicę lasów, składających się głównie z pirińskiej sosny. Trasy mogą być naśnieżane z dyżurujących w okolicy armatek. W obecnym sezonie z ich dobrodziejstwa może już korzystać niemal 100% nartostrad. Bansko szczególnie upodobał sobie Alberto Tomba. Jedna z tras została nazwana imieniem tego słynnego włoskiego alpejczyka.

Ogromna większość Polaków udaje się do Banska samolotem, a ponieważ zimowy sprzęt swoje waży, warto pomyśleć o jego wypożyczeniu na miejscu, co nie powinno sprawiać problemów. Wokół dolnych i górnych stacji wyciągów nie brakuje barów z przekąskami i napojami rozgrzewającymi. Są typowym przykładem postępującej globalizacji kulinarnej, niektórych serwowanych tam potraw sami Bułgarzy nie znają, więc po prawdziwe skarby pirińskiej i bułgarskiej kuchni warto wybrać się nieco niżej, do centrum Banska, tam wiele prywatnych domów gościnnych i gospód, tzw. *kashta za gosti,* oferuje lokalne dania.

Kamień i drewno

Z roku na rok obszar historycznego Banska wydaje się kurczyć. Ale to tylko złudzenie. Tak naprawdę błyskawicznie rozrasta się strefa hotelowo-apartamentowa położona powyżej starówki.

Bansko było ważną w regionie miejscowością już w X w. Pod

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4360eb2774

jarzmem tureckim (XIV-XX w.) jako jedno z niewielu bułgarskich miast zachowało większość swoich praw, dzięki statusowi materialnemu mieszkańców oraz ich buntowniczemu charakterowi. Miejscowi dumnie odnotowują, że Bansko nie zostało poddane islamizacji, a do rejestru jego mieszkańców nigdy nie został wpisany żaden muzułmanin.

Przez dziesięciolecia głównym źródłem utrzymania były tu hodowla zwierząt i rzemiosło. W okresie bułgarskiego odrodzenia narodowego (XVIII-XIX w.) zbudowano liczne młyny, tartaki, garbarnie i pracownie pisania ikon. Spod jarzma tureckiego miasto zostało wyzwolone w 1912 r. Od tego czasu rozwija się jako ośrodek kulturalny, turystyczny i sportowy.

Z miastem związanych jest wiele ważnych dla historii Bułgarii postaci. Warto zwiedzić bogate, kamienno-drewniane domy, w których urodzili się ci zacni obywatele Banska. Po dniu spędzonym na nartach można np. wybrać się do domu, w którym urodził się pisarz bułgarskiego renesansu Neofit Rilski. Budynek jest typowym przykładem ówczesnej architektury Banska, kamienno-drewnianą konstrukcją, z otwartą werandą i małym dziedzińcem. Z zewnątrz otoczony kamiennym murem *duvar,* jakich wiele w Bansku. Zachwyca przytulnym, drewnianym wnętrzem z wieloma kilimami i kominkiem. Co ciekawe, wciąż istnieje w nim tunel łączący go z cerkwią, niegdyś wykorzystywany do ewakuacji w czasie ataków Turków.

Na centralnym placu miasta znajduje się nieco nowszy dom-muzeum, w którym urodził się, mieszkał i tworzył jeden z najpopularniejszym bułgarskich poetów, Nikoła Wapcarow. Z kolei w najstarszym budynku Banska, z 1794 r., w przeszłości klasztorze Paisjusza Chilendarskiego, warto obejrzeć stałą wystawę ikon. Mieści się ona w sześciu salach, obejmuje dzieła przedstawicieli Banskiej Szkoły Malarstwa Ikon, wiodącej szkoły w Bułgarii.

Architektonicznym wyróżnikiem Banska jest cerkiew św. Trójcy ze sporą dzwonnicą, pełniącą funkcję wieży zegarowej. Chociaż dość nowa, bo z połowy XIX w., otoczona kamiennym murem, sprawia wrażenie średniowiecznej twierdzy broniącej chrześcijaństwa w całym regionie. Od 1957 r. – po 13 latach walki z religią – za zezwoleniem komunistycznych władz miejscowi mistrzowie ponownie tworzyli w cerkwi piękne freski.

Będąc w Bansku, można sobie zrobić małą przerwę w białym szaleństwie i wybrać się do oddalonego o 90 km Monastyru Rylskiego, najważniejszego bułgarskiego klasztoru. Zimą nie brakuje firm organizujących jednodniowe wycieczki do tego baśniowego i barwnego miejsca kultu z XIV w. Po drodze najpierw podziwia się widoki pasma Pirinu, które szybko zmienią się w panoramę najwyższych gór Bułgarii – Riły. Inną propozycją na popołudniowy relaks może być wizyta w wiosce Banja (10 km od Banska). W tej malowniczej miejscowości znajduje się 70 źródeł z wodą mineralną o temperaturze 55 st. C. W ostatnim czasie ten gorący skarb wykorzystywany jest obok coraz liczniejszych zewnętrznych basenów hotelowych (i nie tylko).

Długość tras zjazdowych w Bansku wynosi 75 km, tras biegowych – 12 km, a liczba wyciągów – 27.

W mehanie wszystko smakuje wyjątkowo

Kto był w Bułgarii latem, ten poznał smak szopskiej sałaty, która, popijana schłodzoną rakiją, jest typową przystawką do grillowej uczty. Zimowy stół mieszkańców Banska oraz menu w przytulnych mehanach (ludowych karczmach) wyglądają jednak inaczej. Od listopada do kwietnia w tamtejszych restauracjach nie znajdziemy potraw, które przyzwyczailiśmy się jeść latem, poza tym w regionie od wieków kuchnia jest specyficzna. W Bułgarii to, co jemy i pijemy, zależy od pory roku i panującej aury, a że Bansko położone jest w górach, gdzie klimat nigdy nie był łaskawy, zależność ta jest jeszcze bardziej widoczna.

Powstała tzw. piątka klasycznych potraw z Banska. Można ich spróbować we wspomnianych mehanach, gdzie przy drewnianych stołach pokrytych czerwonymi, zdobionymi obrusami warto spędzić przynajmniej kilka wieczorów. Jedną z charakterystycznych potraw jest *kapama*. To zimowe danie przygotowuje się z kilku rodzajów mięs, kiszonej kapusty oraz ryżu. Wspaniały smak uzyskuje się dzięki długiemu duszeniu na małym ogniu/żarze.

Kolejnym regionalnym smakołykiem gotowanym na małym ogniu jest *czomlek* z cielęciny, ziemniaków, marchewki i innych warzyw i przypraw. Warto też spróbować katino meze, potrawy z cielęciny, grzybów i cebuli, gotowanej na czerwonym winie. Smaczne i sycące są lokalne zupy, np. *szkembe czorba* (flaczki po bułgarsku).

Zimą w Bansku i w całym niemal kraju jada się również carską turszijię. To kiszone warzywa: papryka, kalafior, marchewka, kapusta i zielone pomidory, wspaniały dodatek do domowej rakii, a tę wyrabia niemal każda rodzina w Bansku.

Bansko słynie z niezwykle bogatego dziedzictwa muzycznego. Region Pirinu jest miejscem narodzin wielu bułgarskich muzyków, zachowały się tu melodie, instrumenty i style, które stanowią nieodłączną część tożsamości kulturowej Banska.

Lokalny folklor wyróżnia się tradycyjnymi pieśniami, wykonywanymi z towarzyszeniem tamburynu, dud czy bębnów. Ludowe pieśni z Pirinu często opowiadają historie o miłości, bohaterstwie i trudnej codzienności mieszkańców. Pieśni te w niezmienionej formie są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Zimą dla nieobeznanych z lokalną muzyką turystów z Zachodu organizowane są warsztaty gry na instrumentach ludowych. Goście chętnie uczestniczą w tradycyjnych festiwalach Niektórzy zarażają się górską muzyką Bułgarii na całe życie!

eprasa.pl 4360eb2774

Nie tylko Bansko

Najstarszym górskim kurortem i stacją narciarską w Bułgarii jest Borowec. Uroki tego miejsca już w 1898 r. zachwyciły księcia Ferdynanda. Monarcha zarządził wówczas, by zbudowano mu tam górską rezydencję – pałac Carska Bistrica. Na początku XX w. zamożni sofijczycy zaczęli tam budować pierwsze wille. Wkrótce pojawili się też pierwsi narciarze. Dziś Borowec to 58 km nartostrad, wyciąg gondolowy, cztery wyciągi krzesełkowe i sześć orczyków. Dwukrotnie odbywał się tu alpejski puchar świata.

W oddalonym o 20 km Samokowie urodził się najwybitniejszy bułgarski alpejczyk, Petyr Popangełow. W latach 70. wielokrotnie stawał na podium oraz punktował w pucharze świata.

Pamporowo, położone w przypominających Gorce Rodopach, zaskakuje 120 słonecznymi dniami w sezonie oraz łącznie 18 nartostradami. Także w Rodopach leży malownicze Czepełare. Mimo że to w Czepełare znajduje się najdłuższa w Bułgarii nartostrada Meczi Czał-1, stacja w sezonie nie jest zatłoczona. Z Czepełare pochodzą najsłynniejsza bułgarska biatlonistka, Ekaterina Dafowska, mistrzyni olimpijska i dwukrotna medalistka MŚ, oraz najlepszy obecnie snowboardzista, Radosław Jankow.

Największym bułgarskim masywem górskim jest Stara Płanina. Pasmo to ma aż 500 km długości. Mimo wielu szczytów powyżej 2000 m, od lat brakuje tam ośrodków narciarskich. W środkowej części masywu znajduje się stacja Uzana. Schowany w sercu bukowych lasów Starej Płaniny ośrodek, mało znany nawet Bułgarom, dysponuje ośmioma nartostradami.

Stolica i jej góry

Sofia to jedyna duża europejska stolica blisko wysokiego masywu górskiego, na którym śnieg leży dłużej niż na Kasprowym Wierchu. Będące na wyciągnięcie ręki szczyty Witoszy wrośnięte są w krajobraz stolicy. To wspaniałe miejsce głównie weekendowego wypoczynku dla mieszkańców Sofii. Przez dziesięciolecia było też świetnym ośrodkiem sportów zimowych. Stolica Bułgarii w 1992 r. kandydowała nawet na organizatora zimowych igrzysk olimpijskich. W czasach socjalizmu Witosza była tętniącym życiem ośrodkiem z ponad dziesięcioma wyciągami i nartostradami, mogącymi zaspokoić potrzeby najbardziej wymagających turystów. Jednak wraz z błyskawicznym rozwojem Banska status Witoszy jako ośrodka narciarskiego systematycznie słabnie.

W wiosce Banja znajduje się 70 źródeł z wodą mineralną o temperaturze 55 st. C.

Powodów takiego stanu rzeczy jest kilka. Biorą górę konflikty interesów, na czym cierpią przede wszystkim mieszkańcy Sofii. Poza tym powstała na początku lat 80. infrastruktura narciarska jest już przestarzała, a obecny właściciel przyznaje, że nie stać go na remonty ani tym bardziej na nowe inwestycje. Gwoździem do trumny narciarstwa na Witoszy było zamknięcie jesienią 2023 r. wyciągu gondolowego Simeonowo. Wyciąg wywoził narciarzy z jednej z sofijskich dzielnic na wysokość ponad 1800 m n.p.m. W ciągu 20 minut z milionowej metropolii można było się przenieść do serca śnieżnego królestwa. Niestety, dziś żółte kabinki, symbol dawnej narciarskiej świetności, rdzewieją w pobliżu dolnej stacji wyciągu.

Gdy dopisuje pogoda, ze szczytów rozpościera się panorama Sofii. Przez lata narciarze, szusując, rzucali okiem w dół, na swoje domy. Doskonałym punktem odniesienia zawsze były pozłacane kopuły sofijskiej cerkwi Aleksandra Newskiego – jednej z największych prawosławnych świątyń Europy.

Światełkiem w tunelu, jeśli chodzi o odrodzenie narciarskiej Witoszy, są ostatnie wypowiedzi burmistrza Sofii. Ogłosił on, że „narciarskie atrakcje stolicy zostaną przywrócone mieszkańcom", bo w życie ma wejść – znane z trochę innej rzeczywistości – hasło „uczyńmy Witoszę znów wielką!".

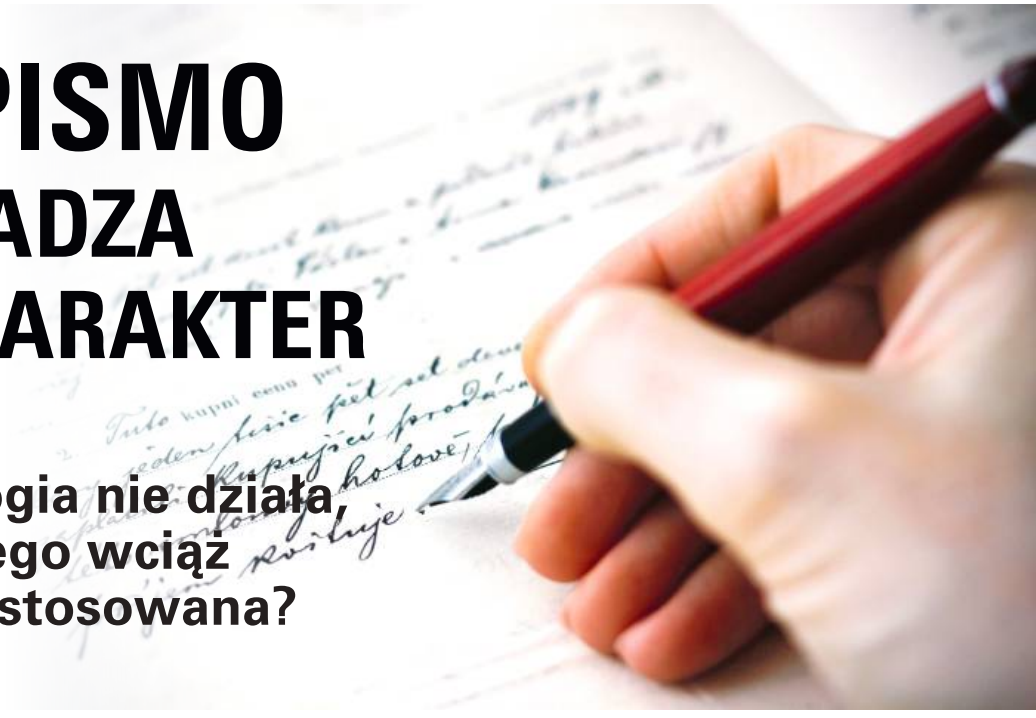
Do wyprawy w bułgarskie góry zachęca dzisiaj nie tylko łatwy transport lotniczy z trzech polskich lotnisk. Dużym i praktycznym ułatwieniem jest też zmiana, której Bułgarzy doświadczają od 1 stycznia 2026 r., kiedy kraj wszedł do strefy euro.

Chrystian Ślusarczyk



eprasa.pl 4360eb2774

CZY PISMO ZDRADZA NASZ CHARAKTER



Skoro grafologia nie działa, to dlaczego wciąż jest często stosowana?

Mateusz Adamczyk

W internecie można znaleźć nagranie, na którym James Randi – amerykański iluzjonista i przeciwnik pseudonauki – sprawdza umiejętności jednego z najsłynniejszych grafologów USA lat 90. XX w. Na podstawie charakteru pisma wspomniany grafolog miał zdecydować, jakie zawody uprawiają kobiety obecne w studiu: sprzedawczynie, informatyczki, artystki, sekretarki czy farmerki. Udało mu się to tylko w przypadku… jednej z nich. Ale od początku.

Historia grafologii sięga XVII w. Wtedy właśnie ukazała się książka pod tytułem „Jak z odręcznie napisanego listu można poznać naturę oraz jakość pisarza". Momentem przełomowym był jednak rok 1875, kiedy to francuski ksiądz Jean-Hippolyte Michon opublikował dzieło, w którym przedstawił usystematyzowany zbiór zasad analizy pisma. Od tamtej pory na całym świecie powstawały kolejne opracowania, a osoby stosujące tę metodę zaczęły zakładać stowarzyszenia, z których część przetrwała do dziś.

Współcześnie najwięcej zwolenników_czek grafologii znajdziemy we Francji. Niektóre źródła podają, że ok. 50% tamtejszych korporacji korzysta z grafologicznej analizy pisma podczas rekrutacji, choć niechętnie się do tego przyznaje. Zdaniem samych grafologów i grafolożek na podstawie analizy pisma można wskazać nawet 5 tys. cech osobowości drugiego człowieka (szczerze powiem: nie miałem pojęcia, że tyle ich jest!). A są to m.in. otwartość, poziom spontaniczności, komunikatywność, towarzyskość, pracowitość, hojność czy skąpstwo. Aby się tego dowiedzieć, należy poddać analizie takie cechy pisma jak: wielkość liter, ich szerokość czy kształt, a w przypadku niektórych liter badane są także wygląd i położenie kresek oraz kropek. Ważne są również pochylenie pisma oraz połączenia między literami.

Nie mogłem więc oprzeć się pokusie i na podstawie jednego z podręczników postanowiłem poddać się autoanalizie. Do eksperymentu wybrałem tekst, który był wykorzystywany do badania skuteczności grafologii. Jak się okazało, jestem osobą, która chce, aby inni ją dostrzegali i rozumieli, a to dlatego, że litery, które stawiam, są dosyć duże. Jestem też przyjazny, impulsywny i emocjonalny, bo moje pismo pochylone jest w prawą stronę. Ta sama cecha świadczy także o tym, że cenię rodzinę i przyjaciół. Jestem dobrym i zdyscyplinowanym pracownikiem, ponieważ moje t nie ma pętelki. W dodatku uwielbiam podróżować, bo z kolei moje y jest wystarczająco długie. No, powiem Ci, że zrobiło mi się całkiem przyjemnie.

Dobra, ale dosyć tej zabawy! Czas odpowiedzieć sobie na pytanie: co na to wszystko nauka?

Duże zainteresowanie grafologią sprawiło, że na całym świecie przeprowadzono wiele badań, które miały potwierdzić związek charakteru pisma ręcznego z cechami osobowości. Dotychczas jednak nie udało się takiego związku ustalić. I chociaż niektóre badania

Najwięcej zwolenników grafologii znajdziemy we Francji – ponoć ok. 50% tamtejszych korporacji korzysta z grafologicznej analizy pisma podczas rekrutacji.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4360eb2774

potwierdzały skuteczność grafologii, to ostatecznie okazywały się obarczone błędami metodologicznymi, np. za małą liczbą osób badanych albo nieuwzględnieniem czynników zewnętrznych. Bo przecież może się zdarzyć, że osoba, która stawia wielkie litery, robi to, ponieważ ma problemy ze wzrokiem; ta, której pismo jest krzywe i nieregularne, mogła pisać w niewygodnych warunkach lub po prostu wypić za dużo kawy, która spowodowała, że trzęsły się jej ręce. Badania pokazują ponadto, że nawet jeśli udaje się trafnie wskazać pewne cechy charakteru badanej osoby, to skuteczność grafologii porównywalna jest do… zgadywania.

Potwierdza to także Brytyjskie Towarzystwo Psychologiczne, które stawia grafologię na równi z astrologią, a jednocześnie przyznaje jej zerową wartość w ocenie umiejętności osób ubiegających się o pracę.

O nieskuteczności grafologii świadczą także głośne sprawy medialne. Na przykład ta, która miała miejsce w 2005 r. Specjalistki od grafologii zostały poproszone o analizę pisma brytyjskiego premiera Tony'ego Blaira, który sporządził krótką notatkę podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. Konsultantka „Timesa" uznała, że widoczne w zapiskach trójkąty są oznaką podświadomego pragnienia śmierci, które stanowi ryzyko dla politycznej kariery Blaira. Z kolei inna grafolożka, cytowana przez „Independent", opisała brytyjskiego premiera jako człowieka niestabilnego, niezdolnego do kończenia zadań, który jednocześnie nie jest naturalnym liderem.

Niestety, miesiąc później biuro premiera ogłosiło, że notatka nie należy do Tony'ego Blaira, a jej prawdziwym autorem okazał się… Bill Gates, któremu nie można chyba przypisać żadnej z tych cech.

W takim razie pojawia się pytanie: skoro grafologia nie działa, to dlaczego wciąż jest często stosowana?

Pewnie trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi, ale prawdopodobnie wszystkiemu winny jest tzw. efekt Barnuma – nazywany także efektem Forera lub efektem horoskopowym. Polega on na tym, że chętnie przyjmujemy za bardzo trafne opisy swojej osobowości, które tak naprawdę są opisami dwu- lub wieloznacznymi, bardzo ogólnymi, mogącymi dotyczyć większości ludzi. Przy okazji ignorujemy to, co nie pasuje do naszego wyobrażenia o sobie. Efekt ten nasila się, kiedy wiemy, że analizy zostały przygotowane specjalnie dla nas, a ich opracowaniem zajął_ęła się specjalista_ka. I kiedy tak przyglądam się temu, co wynika z analizy mojego pisma, to nie mogę się z tym nie zgodzić, bo przecież to naturalne, że chcemy, aby inni nas dostrzegali i rozumieli. Miło jest wiedzieć, że ceni się rodzinę i przyjaciół, a dodatkowo szanuje dyscyplinę pracy. No i podróże! Jestem jednak pewny, że ten opis pasuje do tysięcy innych osób.

Ale to jeszcze nie koniec! Inną metodą, która nie ma żadnego oparcia w nauce, jest grafoterapia. Zakłada ona skuteczność grafologii i na tej podstawie wyciąga wniosek, że skoro pismo oddaje nasz charakter, to jeśli zmienimy to pismo, możemy zmienić swoją osobowość…

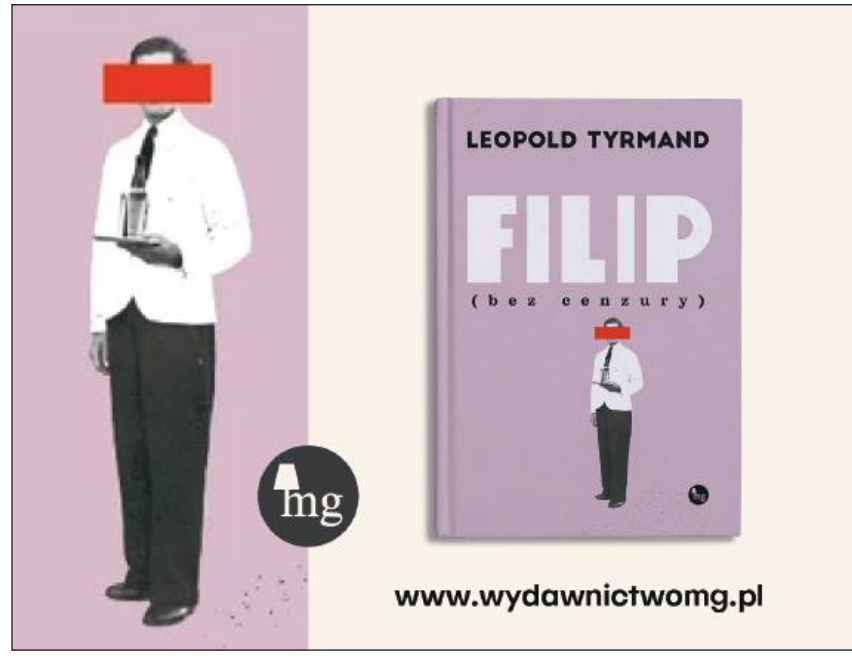
Ale żeby nie zostawiać Cię w całkowitym przekonaniu, że jakiekolwiek badanie pisma nie ma sensu, opowiem krótko o czymś, co nazywane jest badaniami pismoznawczymi. Wykonuje się je na potrzeby spraw sądowych – w celu potwierdzania lub podważania autentyczności dokumentów. Inaczej mówiąc: sprawdza się, czy np. testament został napisany przez daną osobę, czy też nie, albo czy podpis widniejący na dokumencie należy do tej osoby, do której należeć powinien. Potocznie takie badania nazywane są grafologią, ale sprzeciwiają się temu osoby profesjonalnie zajmujące się badaniami pismoznawczymi, które odcinają się od psychologicznej analizy pisma.

I może warto podążyć tą drogą…

Inną metodą, która nie ma oparcia w nauce, jest grafoterapia: jeśli zmienimy charakter pisma, możemy zmienić swoją osobowość.

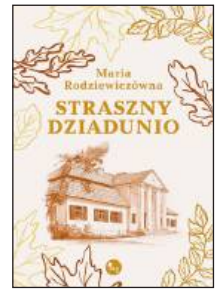


Fragment książki Mateusza Adamczyka *Jak słowo daję. Współczesny poradnik językowy*, Znak Jednym Słowem, Kraków 2025



eprasa.pl 4360eb2774

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Y ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- niejedna w otoczeniu przystojniaka
- potoczna nazwa robinii
- mniejsza od lamy
- fotograficzny z fleszem
- Jasir, przywódca palestyńskiego ruchu wyzwoleńczego
- drzewo iglaste z Ameryki Południowej, Australii
- wzór tworzony przez układ otworów
- ciasto z nimi to keks
- długi, luźny żakiet bez kołnierza
- obraźliwie o głupim i nieobytym
- budynek z desek
- nimfa leśna żyjąca w drzewie
- pokój dla pielęgniarek lub strażnika
- Janusz, muzykolog, ekspert z „Wielkiej Gry”
- druga co do wielkości wyspa Grecji
- wielbiciele, kibice
- do kreślenia linii tuszem na rysunkach technicznych
- sielanka
- krzew z różowatych lub ziemniak
- Y z grupy skandowców
- złote owoce z ogrodu Hesperyd
- Ochojska, Porazińska lub Paradowska
- naczynie na benzynę
- rybka lub odmiana jęczmienia dwurzędowego
- Pennywise z „To” Kinga
- …maku do idealnego dobrania się
- krzyż z Chrystusem
- bardzo mało czegoś, np. przyzwoitości
- utwór na cztery instrumenty
- najpopularniejszą jest Krystyna Czubówna
- grupa wywierająca wpływ na polityków
- największe jezioro Europy
- dostojeństwo, godność i władza monarchy
- likier kokosowy i miasto nad Pacyfikiem
- film z Jimem Carreyem jako Stanleyem Ipkissem
- tam jadą brudne samochody
- układ baryczny niosący deszcz
- sitowie jeziorne
- po haśle
- czarno-żółty owad z żądłem
- imię malarza Kokoschki
- ogół okoliczności towarzyszących czemuś
- ziemski, łez – miejsce życia doczesnego
- atrakcyjność, powabność
- rudy nalot na żelazie
- ryba ze „Szczęk”
- masyw w Afryce z Górą Stanleya
- sól kwasu siarkowego
- w buzi niemowlaka
- kolejne etapy, np. rozwoju
- pasmo płynącej cieczy, np. krwi
- jednostka podziału metrycznego w utworze muzycznym
- droga dla pociągu
- podarunek
- w …pracy, przygód można się rzucić
- grzeczności, myśli, ognia lub ciosów
- gdy zerwane, ze ślubu nici
- pokonał rywali
- zarobek, korzyść
- figiel, dowcip

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1256”. Do rozlosowania książki „Straszny dziadunio” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 18 stycznia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1253” z nr. 52: *Śpiewajmy kolędy.*
Nagrody otrzymują: Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Elżbieta Alicja Paszkiewicz z Warszawy, Jerzy Strzelczyk z Warszawy.

eprasa.pl 4360eb2774

Zakręty historii

Jan Emeryk Rościszewski – pisaliśmy o tym tydzień temu – zakończył z hukiem swoją przygodę z dyplomacją i huk ten postawił na porządku dziennym pytanie, jak to się stało, że do tej pory ambasadą RP w Paryżu kierował człowiek związany od początku lat 90. z partią Jarosława Kaczyńskiego. Ministrowi Sikorskiemu to nie przeszkadzało? Ufał mu?

Oczywiście dyplomaci pracujący w MSZ wiedzą, że rządy się zmieniają, a Rzeczpospolita trwa. W związku z tym pracują dla każdego ministra, bo taka zasada obowiązuje w administracji państwowej. Można długo wyliczać dyplomatów, którzy przeszli przez kolejne zawirowania, wyróżniając się fachowością, a ukrywając swoje sympatie. O, np. wiceminister Henryka Mościcka-Dendys – ważna postać w dzisiejszym MSZ, za czasów PiS ambasador w Danii, a później dyrektor departamentu.

Rzecz w tym, że Rościszewski do tej grupy nie należy. Gdy w roku 2021 obejmował po Zbigniewie Jagielle fotel prezesa PKO BP, komentowano to tak: „Jan ma tę zaletę, której nie ma Jagiełło, czyli że był kiedyś w Porozumieniu Centrum. Jednym słowem, spełnia wszystkie główne kryteria". Dodajmy, że drugą zaletą było to, że znał się od 20 lat z Mateuszem Morawieckim, więc wtedy, gdy mieliśmy wojnę między Morawieckim a Sasinem o PKO BP, jego osoba była kandydaturą kompromisową. Na krótko. Bo parę miesięcy później ekspediowano go na placówkę do Paryża.

A ponieważ była to jego pierwsza posada w dyplomacji, na zastępcę wybrano mu Wiesława Tarkę. Czyli… Tarka z wykształcenia jest germanistą, specjalistą od języka szwedzkiego. W latach 1990-1991 był współpracownikiem Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego ds. zagranicznych. Następnie rozpoczął pracę w ambasadzie RP w Sztokholmie jako II sekretarz. Funkcjonował w MSZ, a także w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Mazowieckiego. A w listopadzie 2005 r., gdy władzę objęło PiS, został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, czyli u Ludwika Dorna. Nadzorował tam Departament Unii Europejskiej i Współpracy Międzynarodowej, Departament Polityki Migracyjnej, Urząd do Spraw Repatriacji i Cudzoziemców oraz Władzę Wdrażającą Programy Europejskie, a także koordynował współpracę z obwodem królewieckim i regionem Sankt Petersburga. Był zatem ważnym urzędnikiem rządu PiS. Po wyborach z 2007 r., gdy władzę przejęła PO, został ambasadorem w Chorwacji. Potem był ambasadorem w Szwecji. Później, już w czasach PiS, zastępcą dyrektora Departamentu Polityki Europejskiej MSZ. A w roku 2022 wyjechał do Paryża jako zastępca ambasadora RP we Francji.

Wybory w październiku 2023 r. nic tu nie zmieniły. Ambasada w Paryżu pozostała w rękach starej ekipy. Zresztą nie ona jedna – Pekin, gdzie ambasadorem jest Jakub Kumoch, też nie przeszedł zmian kadrowych. Dla jednych ta sytuacja to dowód na wspaniałomyślność rządzącej ekipy. Dla drugich – na jej gnuśność. Bo trochę zmian przeprowadziła, a potem spasowała. A teraz się dogaduje. Jeszcze inni będą mówić, że takie jest po prostu MSZ, że na zakrętach historii jakaś grupa nowych wypada z pociągu, ale bardzo wielu zostaje, czy to przez niedopatrzenie, czy przez eksplozję miłości do nowej władzy. I jakoś to się uklepuje.

Chyba ta ostatnia teoria jest najbliższa prawdy…

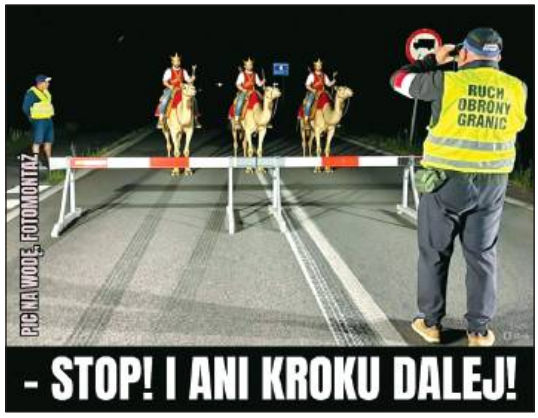
Attaché



Pogrzeb wenezuelskiego żołnierza Cesara Garcii, który zginął podczas amerykańskiej akcji pojmania prezydenta Nicolasa Madura. Caracas, 7 stycznia 2026 r.

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 4360eb2774







ZDZISŁAW RACZYŃSKI,
PUBLICYSTA

Ta wojna nie będzie miała zwycięzców na naszym kontynencie. Przegrała Ukraina, przegrała Rosja, przegrała Europa. Ukraina utraciła część terytorium, poniosła gigantyczne straty demograficzne, bo mam na myśli także emigrację i zmniejszenie liczby ludności kraju z 52 do 29 mln, oraz materialne. Przegrała Rosja – gdyż straciła wielu młodych mężczyzn, prestiż międzynarodowy, nimb wielkiej potęgi militarnej, swoje szanse rozwojowe drogą modernizacji zbliżającej do demokracji zachodnich. I nie wydaje się, aby zbliżyła się do głównego celu tej wojny, czyli do narzucenia Zachodowi swojej projekcji przyszłego ładu. Najlepsze, co teraz może czekać Rosję, to rozwijanie się pod opieką i w cieniu wielkich Chin, które – przypuszczam – odzyskają Tajwan w najbliższych 20 latach, ale bez użycia siły.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ,
BYŁY PREMIER

Kilkanaście lat temu poszedłem na posiedzenie komisji ds. żubrów. Komisja występowała do ministra środowiska z wnioskiem o zgodę na odstrzał. Pojechałem na posiedzenie, bo dotarła do mnie informacja, że na liście do odstrzału jest Maciek – zaprzyjaźniony ze mną żubr, który niemal mieszkał u mnie na podwórku. Po kilkugodzinnej obecności na posiedzeniu udało mi się ściągnąć z listy Maćka. Był już starawy, ale żył jeszcze kilka lat. (…) Namawiałem zagranicznych polityków, aby przyjmowali w prezencie dla swojego kraju żubry z Polski. Hiszpanie odpowiadali, że u nich nie, że chyba nie znam ich klimatu. Mówiłem wtedy: „Idźcie do jaskini w Altamirze, to zobaczycie, że 40 tys. lat temu malowano u was żubry". Hiszpanie mają dziś żubry z Polski. Z mojej inicjatywy żubry trafiły też do Austrii.

MACIEJ STUHR,
AKTOR

Przyszły jakieś rozróby polityczne, a ja nigdy nie miałem ambicji, żeby stać się komentatorem. Wydarzyło się samo, ale i spodobało mi się mówić rzeczy kontrowersyjne. Nie bałem się, zobaczyłem wręcz w tym swoją siłę. (…) Dopiero teraz, po odejściu taty, pozwalam sobie widzieć, że nie zawsze było łatwo być synem. Całe życie robiłem dobrą minę. Ze wszystkim sobie poradzę, jest spoko. Bycie synem Jerzego Stuhra miało niebywałe zalety, ale był to też olbrzymi ciężar. Dlatego szukałem własnej drogi. Zresztą muszę pochwalić siebie za postawę sprzed 30 lat. To był dobry pomysł, żeby wejść do show-biznesu przez kabaret, a więc tylnymi drzwiami. Nikt mi nie zarzuci, że cokolwiek komuś zawdzięczam, bo sam sobie wytuptałem.

EMI BUCHWALD,
REŻYSERKA

Jest pani orędowniczką oglądania filmów w kinie. Dlaczego?

– Obejrzenie filmu w kinie to dla mnie przede wszystkim przeżycie audiowizualne. Chłonięcie obrazów, dźwięków, muzyki. Seans filmowy to sytuacja wyjątkowa. Muszę mieć przestrzeń na to, co za chwilę zobaczę, co pochłonie moją głowę i emocje. Wyjść z kontekstu domowego, kiedy jednym uchem słyszę, że pralka wiruje i trzeba będzie zrobić pauzę, powiesić pranie. W kinie dochodzi wątek wspólnotowości, zostało stworzone po to, by poczuć coś zbiorowo. W związku z tym, że mój film jest o rodzeństwie, tym bardziej dobrze oglądać go w kinie. A potem rozmawiać. Polecam, żeby iść na seans z rodziną albo przyjaciółmi.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 4360eb2774

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter	Wyrazy z **siedmiu** liter	Wyrazy z **ośmiu** liter
1 C A L + H U B =	3 O M E N + R Y S =	5 C I S A + K O C E =
2 L Ą D + G A R =	4 K R A N + B U T =	6 M I N A + T R E L =

ROZWIĄZANIA: CHLUBA, DRĄGAL, MERYNOS, BANKRUT, KOSACIEC, TERMINAL



Aby język giętki…

JERZY RADZIWIŁOWICZ
O SKRAJNYCH POGLĄDACH

Słusznie mówi się dzisiaj o brunatniejącej Polsce i to jest przerażające.

PROF. PAWEŁ MACHCEWICZ PYTA

Czy lewica i liberalne centrum potrafią zaprezentować własne wizje wspólnoty i patriotyzmu?

ANTONI SŁODKOWSKI
O MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH

Uważam, że social media są szkodliwe dla zdrowia psychicznego, i nie korci mnie, żeby tam być.

ANDRZEJ KONOPKA
O WOJCIECHU SMARZOWSKIM

Granie u Wojtka wynosi nasz zawód piętro wyżej – nadaje mu głębszy sens.

EWA SZYKULSKA
O DOBREJ ZASADZIE

Aktorstwo nie polega na tym, żeby mówić o sobie gorzej, ale by mówić mniej.

GRZEGORZ TURNAU O KONCERTACH

Wychodzę na scenę, żeby ludzi zabrać z ponurego świata na dwie godziny i dać im poczucie, że choć nie wiemy, po co to wszystko, to jednak trzeba próbować się dowiedzieć.

WŁODZIMIERZ KORCZ
O DUECIE Z ALICJĄ MAJEWSKĄ

Jest osobowością. A że i ja nie jestem kimś, kim się da dyrygować, walczymy. Chwilami to męczące.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

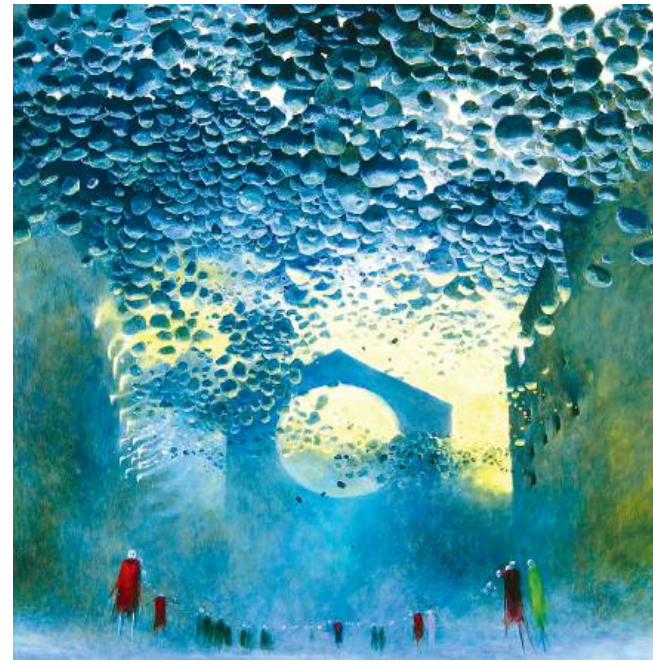
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 4360eb2774





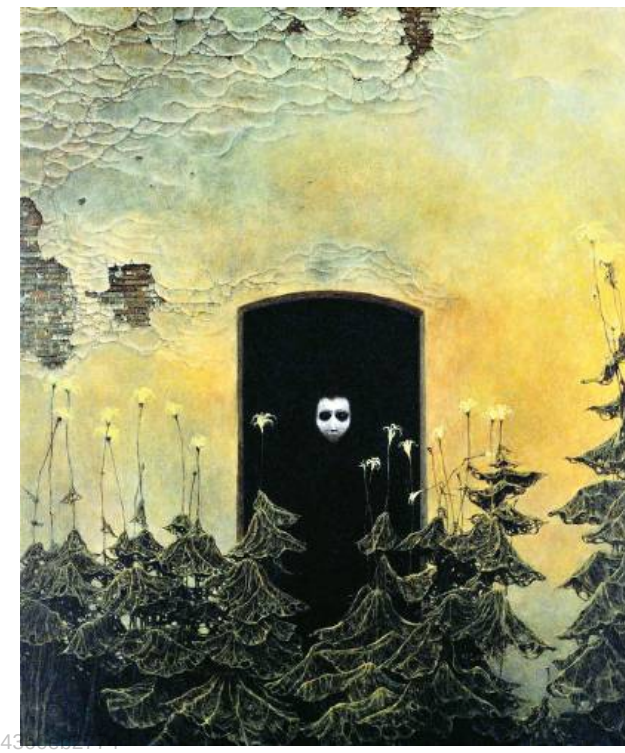
Zdzisław Beksiński
ŚWIAT WIZJI

„Świat wizji Zdzisława Beksińskiego" to przekrojowa prezentacja twórczości jednego z najbardziej rozpoznawalnych polskich artystów XX w. 35 wybitnych dzieł malarskich powstałych w ciągu kilkudziesięciu lat w pełni oddaje charakter i rozwój jego sztuki. Dla Beksińskiego malarstwo było najważniejszą formą wypowiedzi – przestrzenią nieskrępowanej wolności, w której materializowały się wizje „noszone pod powiekami". Artysta unikał jednak interpretowania własnych prac i rezygnował z ich tytułowania, podkreślając, że to, co najistotniejsze, pozostaje ukryte i powinno przemawiać bezpośrednio do odbiorcy. Jego obrazy oddziałują siłą wyobraźni, napięciem emocjonalnym i kunsztem formalnym, prowokując do refleksji.

Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie
ul. Jana III Sobieskiego 18
do 1 lutego

FOT. MATERIAŁY PRASOWE





FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

Dofinansowane przez Unię Europejską

GADKI

PROSTE ROZMOWY NA WAŻNE TEMATY

Nazywam się Maks

Porozmawiam o GADKACH z dziećmi 7–9 lat

G Gdy mówisz NIE, to znaczy NIE

A Alarmuj, gdy potrzebujesz pomocy

D Dobrze zrobisz, mówiąc o tajemnicach, które Cię niepokoją

K Koniecznie pamiętaj, że Twoje ciało należy do Ciebie

I Intymne części ciała są szczególnie chronione



eprasa.pl 4360eb2774

TOM MORELLO

ELECTRIC FULL BAND SHOW

20 26

9 CZERWCA
KLUB STODOŁA, WARSZAWA

ANTYRADIO BILETY: TICKETMASTER.PL | LIVENATION.PL | TOMMORELLO.COM LIVE NATION

Fat Freddys Drop

BASED ON A TRUE STORY



21ST ANNIVERSARY TOUR
POLAND 2026

WARSZAWA
KLUB PROGRESJA
14 CZERWCA 2026

KRAKÓW
KLUB STUDIO
16 CZERWCA 2026

BILETY: TICKETMASTER.PL LIVENATION.PL WWW.FATFREDDYSDROP.COM LIVE NATION INJECT

: yann tiersen | 2026 tour

25 lutego 2026
Klub Stodoła
Warszawa

26 lutego 2026
Klub Studio
Kraków

: new album | rathlin from a distance
: out now | the liquid hour

bilety:
ticketmaster.pl
livenation.pl
LIVE NATION

LIVE NATION POLAND BY ARRANGEMENT WITH K2 AGENCY

ADRIAN SMITH | RICHIE KOTZEN

BLACK LIGHT / WHITE NOISE
TOUR 2026



2 MARCA
KLUB PROGRESJA
WARSZAWA

SPECIAL GUESTS
KRIS BARRAS BAND

OUT NOW



SMITHKOTZEN.COM

LIVE NATION BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL ANTYRADIO

eprasa.pl